

Ks. Jan Krawiec SDB



# JAK DANTE ZA ŻYCIA PRZESZEDŁEM PRZEZ PIEKŁO

Ks. ZYGMUNT KUZAK SDB – KAPŁAN NIEZŁOMNY

OPRACOWANIE BIOGRAFICZNE

Kraków 2007

Ks. Krawiec Jan SDB

# JAK DANTE ZA ŻYCIA PRZESZEDŁEM PRZEZ PIEKŁO

Ks. ZYGMUNT KUZAK SDB – KAPŁAN NIEZŁOMNY

OPRACOWANIE BIOGRAFICZNE

Kraków 2007

© Wydawnictwo Poligrafia Inspektoratu Towarzystwa Salezjańskiego  
w Krakowie

**Imprimi potest:**

Ks. Marek Chrzan – Inspektor Prowincji św. Jacka w Krakowie  
Ks. Kazimierz Chechelski  
Sekretarz inspektorialny  
L.dz.206/KO/2007, dn. 16.08.2007, Kraków

**Korekta:**

Ks. Marian Dziubiński

**Projekt okładki:**

Poligrafia ITS – Piotr Woltyński

ISBN 978-83-88659-63-8

**Skład, łamanie, druk i oprawa:**

Wydawnictwo Poligrafia ITS  
ul. Konfederacka 6, 30-306 Kraków  
tel.: (012) 2664000, fax: (12) 2690284  
e-mail: poligrafia@salezjanie.net

# SPIS TRZĘCI

WSTĘP .....	5
-------------	---

## Rozdział I

DROGA DO KAPŁAŃSTWA .....	13
---------------------------	----

1. W gronie rodzinnym.....	13
2. W Zakładzie Salezjańskim im. ks. Jana Bosko w Oświęcimiu .....	25
3. Nowicjat w Kleczy Dolnej .....	36
4. Dalsza formacja w Salezjańskim Instytucie Filozoficznym w Krakowie.....	47
5. Asystencja.....	54
6. Studia teologiczne w Międzynarodowym Salezjańskim Instytucie Teologicznym w Turynie via Caboto 27.....	61

## Rozdział II

PRACA NAUKOWO-DUSZPASTERSKA W LATACH 1930-1941 .....	71
---	----

1. Studia na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu .....	71
2. Wykładowca w Salezjańskim Instytucie Teologicznym w Krakowie.....	78

3. Dyrektor Zakładu św. Jana Bosko w Oświęcimiu w latach 1939-1941.....	82
--	----

### Rozdział III

WIĘZIENIE OBOZÓW HITLEROWSKICH.....	99
-------------------------------------	----

1. Montelupich .....	100
2. Oświęcim.....	122
3. Brzezinka.....	132
4. Znowu Oświęcim .....	154
5. Mauthausen.....	157
6. Dachau i różne wspomnienia obozowe .....	163

### Rozdział IV

DZIAŁALNOŚĆ DUSZPASTERSKO- WYCHOWAWCZA W LATACH 1945-1988.....	199
---	-----

1. Kuracja i działalność duszpasterska w sanatoriach w Niemczech w latach 1945-1948.....	199
2. Działalność duszpastersko-formacyjna w Polsce w latach 1948-1988.....	204

POSŁOWIE .....	223
BIBIOGRAFIA .....	239
ILUSTRACJE .....	245

## WSTĘP

O działalności ks. Zygmunta Kuzaka dowiedziałem się po raz pierwszy w swoim życiu, w ostatnich dniach kwietnia 1946 roku w Salezjańskim Małym Seminarium w Marszałkach, którego dyrektor, ks. Stanisław Rokita, mówił nam o swojej akcji charytatywnej polegającej na wysyłaniu w czasie okupacji niemieckiej z Salezjańskiego Zakładu w Oświęcimiu setek paczek do różnych obozów koncentracyjnych.

Ks. Dyrektor, mówiąc o zorganizowanej działalności charytatywnej, z całą szczerością podkreślił, że nie czynił nic nowego, ale kontynuował tylko rozpoczętą działalność swojego kolegi i poprzednika na urzędzie dyrektora Zakładu Salezjańskiego w Oświęcimiu ks. Zygmunta Kuzaka, który za tajne wspieranie więźniów obozu oświęcimskiego, podnoszenie na duchu siłą i przemocą wysiedlanych w czasie okupacji Polaków z Oświęcimia oraz prowadzenie tajnego nauczania kleryków mieszkających w zabudowaniach Salezjańskiego Zakładu, którego część okupowali żołnierze niemieccy, został aresztowany i po szczęśliwym przeżyciu obozu w Oświęcimiu, Mauthausen i Dachau leczył się w 1946 roku z odniesionych obrażeń obozowych w sanatoriach w Niemczech.

Po tym pamiętnym słówku ks. Dyrektora Stanisława Rokity, chociaż wiele razy słyszałem salezjanów mówiących bardzo pozytywnie o działalności ks. Kuzaka, to jednak miałem szczęście osobiście go poznać dopiero po przyjeździe 22 sierpnia 1949 roku z nowicjatu w Kopcu na pierwszy rok filozofii do Salezjańskiego Instytutu Teologicznego w Krakowie, gdzie ks. Zygmunt Kuzak pełnił obowiązki wykładowcy i spowiednika kleryków.

Bardzo lubiłem słuchać jego dobrze przygotowanych kazań, a przede wszystkim „słówek” wieczornych, podczas których mówił nam wiele o swoich dramatycznych przeżyciach obozowych. Obserwując działalność ks. Kuzaka podziwiałem go jako gorliwego kapłana, wzorowego i przykładowego zakonnika oraz bardzo pracowitego salezjanina oddanego bez reszty Zgromadzeniu, dlatego – jak wielu kolegów – wybrałem go na swojego spowiednika i kierownika duchowego, który był gorliwym i roztropnym ojcem duchowym dla swoich penitentów.

Z okazji zorganizowanej przez ks. Inspektora Józefa Nęcka, w dniach 16-18 sierpnia 1957 roku, pielgrzymki dla 1280 ministrantów salezjańskich w Oświęcimiu, którą zaszczycił swoją obecnością ks. Kardynał Stefan Wyszyński oraz arcybiskup Antoni Baraniak, ks. Zygmunt Kuzak 16 sierpnia 1957 roku do południa oprowadził kilkudziesięciu kleryków i kapłanów salezjańskich po terenie byłego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu i Brzezince. Po przekroczeniu bramy obozu, ks. Kuzak, jako były więzień obozu, bardzo interesująco i szczegółowo, operując dziesiątkami nazwisk, dat i faktów opowiadał nam swoje tragiczne przeżycia obozowe, których słuchaliśmy nie tylko my, salezjanie, ale również grupa turystów z przewodnikiem, która dołączyła się do nas i z wielkim zainteresowaniem słuchała opowiadań naocznego świadka tragicznych wydarzeń. Podziwiając pamięć oraz znajomość różnych wydarzeń obozowych ks. Kuzaka, po wyjściu

z obozu zapytałem go, jak to robił, że taką wielką ilość nazwisk, dat i różnych wydarzeń obozowych zapamiętał?

Na to pytanie ks. Kuzak krótko odpowiedział:

– Po aresztowaniu, wspierany modlitwami i paczkami przez salezjanów, głęboko wierzyłem, że z pomocą Bożą przetrwam straszne cierpienia obozów koncentracyjnych i dlatego jako historyk starałem się zapamiętać jak najwięcej różnych wydarzeń, zapisując je na małych karteczkach – grypsach, które nosiłem w ukryciu w skarpetkach w obuwiu. Gdy miałem wolną chwilę czasu i nie byłem przez nikogo śledzony, jak student „wkuwałem” daty, nazwiska i różne fakty i po ich przyswojeniu niszczyłem grypsy, bo czekała mnie za ich posiadanie ściana śmierci lub szubienica. Zdobyte i w różny sposób przyswojone wiadomości, często leżąc na pryczy obozowej – nie mogąc zasnąć – starałem się przypominać sobie by je kiedyś innym jako fakty historyczne jak najdokładniej przekazać, co się staram obecnie czynić.

Po tym spotkaniu, gdy po latach zostałem mianowany dyrektorem wspólnoty salezjańskiej przy ul. Konfederackiej 6 w Krakowie oraz proboszczem parafii św. Stanisława Kostki w Krakowie na Dębnikach, w której ks. Zygmunt Kuzak niezależnie od pełnienia obowiązków archiwariusza Inspektorii św. Jacka pełnił obowiązki spowiednika w parafii, miałem szczęście w latach 1982-1988 bliżej poznać ks. Zygmunta i razem z nim współpracować.

Ks. Kuzak, znając moje zainteresowanie historią Zgromadzenia Salezjańskiego w Polsce, opowiadał mi wiele razy o różnych wydarzeniach w Zgromadzeniu, a głównie, o swoich makabrycznych przeżyciach obozowych. Chociaż opowiadając niektóre fakty, powtarzał dwa, a nawet więcej razy, to jednak zaznaczał, że chociaż mi już o tym mówił, to jednak wspomina to jeszcze raz dlatego, bym jako młody kapłan te wydarzenia dobrze zapamiętał i przekazał je kiedyś innym, którzy tych faktów nie znają.



Ks. Zygmunt Kuzak, gorliwie pracujący, ale powoli coraz bardziej opadający z sił, 14 marca 1988 roku poprosił mnie, bym go w pokoju odwiedził – co zresztą bardzo chętnie czyniłem, słuchając jego ciekawych opowiadań.

Słabujący 87-letni kapłan, po omówieniu ze mną wielu spraw – w ostatnim naszym oficjalnym spotkaniu – w pewnej chwili jakby chciał wyrazić swoją ostatnią wolę i prośbę, poważnie powiedział:

– Proszę ks. dyrektora, by po mojej śmierci o mnie nie pisał tzw. listu pośmiertnego. Nie znaczy to, byście o ks. Kuzaku zapomnieli, przeciwnie, proszę, by ksiądz dyrektor lub ktoś inny, po odnalezieniu kilkunastu moich wspomnień – maszynopisów – mówiących o moim życiu, a przede wszystkim o strasznych przeżyciach obozowych, które ktoś z archiwum wypożyczył, lub gdzieś się wśród różnych nie dobrze jeszcze uporządkowanych dokumentów zawieruszyły, po ich odnalezieniu je przepisał i opracował, by stało się tak, jak w jednym ze swoich wspomnień napisałem:

„NIECH KARTY TE NIE ZGINĄ! NIECH NABIORĄ TRWAŁOŚCI PERGAMINU!

NIECH SŁOWA TE ZŁOCĄ SIĘ I JAŚNIEJĄ, JAK JAŚNIAŁA I ZŁOCIŁA SIĘ WASZA MIŁOŚĆ”.

Zaskoczony tą dziwną prośbą słabnącego ks. Kuzaka, próbując podnieść go na duchu, powiedziałem:

– Proszę ks. Profesora, musimy wspólnie z księdzem nie tylko zawieruszone dokumenty odnaleźć, ale postaramy się je jak najszybciej przepisać i jako cenniejsze dokumenty historyczne troskliwie przechowywać.

Niestety, po tej rozmowie, ks. Zygmunt Kuzak zgodnie ze swoim przeczuciem 19 marca 1988 roku, o godz. 1 w nocy zakończył w 87. roku życia swoje doczesne pielgrzymowanie.

Na zakończenie uroczystości pogrzebowej (22 marca 1988 roku), która była piękną manifestacją wdzięczności zgromadzo-

nych licznie współbraci i wiernych, zgodnie z życzeniem Zmarłego przemawiając krótko nad wspólną mogiłą salezjanów na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, podziękowałem ks. Biskupowi Kazimierzowi Górnemu i wszystkim wiernym za bardzo liczny udział w pogrzebie. O liście pośmiertnym nie zapomniałem, ale sądziłem, że piękne, treściwe kazanie ks. Inspektora Adama Śmigielskiego, opublikowane w Biuletynie Salezjańskim „Nostra”, jest równocześnie listem pośmiertnym. Gdy jednak jako wicepostulator zacząłem poszukiwać materiałów źródłowych potrzebnych do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego Sł. Bożego ks. Józefa Kowalskiego, odnalazłem również wspomniane maszynopisy napisane przez ks. Zygmunta Kuzaka. Zajęty jednak różnymi sprawami, zachęcałem niektórych kleryków piszących prace magisterskie na Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, by opracowali życie i działalność ks. Zygmunta Kuzaka.

Niestety, klerycy, nie znając bliżej osobiście ks. Kuzaka, nie podjęli się opracowania tego tematu. W tej sytuacji, czując się przynaglony do spełnienia przyrzeczenia danego kiedyś ks. Profesorowi, postanowiłem jego prośbę i życzenie spełnić. Realizując ten plan, w oparciu o dostępne mi w Archiwum Inspektorii św. Jacka w Krakowie dokumenty – pamiętniki, maszynopisy zredagowane pod różnymi tytułami – napisałem niniejszą krótką biografię ks. Zygmunta Kuzaka pt. „Jak Dante przeszedłem za życia przez piekło”.

W niniejszej biografii opartej o źródła historyczne przedstawiłem w skrócie:

- Beztroskie lata Zygmunta spędzone w domu rodzinnym, gdzie budziło się i rozwijało jego powołanie kapłańskie.
- Zdecydowane – można powiedzieć – bohaterskie dążenie młodego Zygmunta za głosem powołania, który w bardzo trudnych warunkach ekonomicznych i mieszkaniowych istniejących w podczas pierwszej wojny światowej i po jej zakończeniu w Zakładzie

Oświęcimskim, a szczególnie w nowicjacie w Kleczy Dolnej oraz podczas dalszych studiów przygotowywał się do upragnionego kapłaństwa w Zgromadzeniu Salezjańskim.

- Gorliwą pracę kapłańską przed aresztowaniem.
- Aresztowanie oraz straszną gehennę przeżył w obozach koncentracyjnych.
- Duszpastersko-formacyjną działalność po uzyskaniu wolności.

Zgodnie z tematem, istotą, centrum i głównym celem opracowania są przeżyte i opisane przez naocznego świadka makabryczne warunki panujące w więzieniu na Montelupich w Krakowie oraz w obozach koncentracyjnych: Oświęcimiu – Birkenau, Mauthausen i Dachau oraz dokonane tam przez zbrodniarzy hitlerowskich wstrząsające, mrozące krew w żyłach potworne zbrodnie ludobójstwa na niewinnych ludziach.

Mówiąc o ks. Kuzaku, naocznym i wiarygodnym świadku, który to, co widział, co szczęśliwie przeżył i opisał, należy podkreślić, że żaden z 145 aresztowanych salezjanów w czasie drugiej wojny światowej, z których aż 61 zostało zamordowanych, tak dokładnie, wiarygodnie, krytycznie i obiektywnie nie opisał bestialskich zbrodni dokonanych w obozach koncentracyjnych, jak to uczynił ks. Zygmunt Kuzak. Autor oprowadzający nas jak Wergiliusz Dantego w Boskiej Komedii po piekle hitlerowskich obozów koncentracyjnych, widzi w tym potwornym Hadesie i oceanie zła, zbrodni i cierpienia również isierki dobra i życzliwości, podkreślając dobitnie, że nie wszyscy Niemcy byli zbrodniarzami, a nawet nie wszyscy esesmani i kapowie w obozie byli zwyrodniałymi, zezwierzęconymi ludobójcami, gdyż nawet wśród esesmanów i kapów byli ludzie dobrzy, uczciwi, bo żaden esesman i kapo nie urodził się zbrodniarzem, ale się nim stał przez wychowanie i wytreśowanie przez grupę zdegenerowanych ludzi, którzy odrzuciwszy

wiarę w Boga, depcząc przykazania Boże, próbowali po swojemu i według swoich absurdalnych ateistycznych, bezbożnych założeń, przy pomocy wytresowanych, pozbawionych własnego sumienia i myślenia zwyrodnialców, na zgliszczach cywilizacji europejskiej i cmentarzysku wymordowanych milionów niewinnych ludzi zbudować tysiącletnią rzeszę bez Boga, poszanowania, człowieka oraz jego godności i praw ludzkich.

Biorąc pod uwagę wielką wartość krytycznych, wiarygodnych i obiektywnych relacji ks. Zygmunta Kuzaka zawartych w maszynopisach, napisanych kiedyś na bardzo lichym papierze, z którego już dzisiaj trudno odczytać niektóre wiadomości, by ich treści nie zniekształcić lub po swojemu nie zinterpretować, zgodnie z wolą ich Autora dosłownie je przepisałem, by jako autentyczne, wiarygodne, bezstronne i nie skażone źródła służyły kiedyś historykom do dalszych poszukiwań i badań naukowych oraz były historyczną przestrogą dla wielu ateistycznych liberałów, że bez Boga, bez zachowania i poszanowania Jego przykazań oraz godności każdego człowieka nie da się zbudować dobrobytu i szczęścia na ziemi, którego pragnie serce każdego człowieka.

# ROZDZIAŁ I

## DROGA DO KAPŁAŃSTWA

### 1. W gronie rodzinnym

Ks. Zygmunt Kuzak, syn Piotra Kuzaka, rolnika z Kaminy, oraz Marii zd. Brandys, również córki rolnika pochodzącej z Brzeźnicy, woj. krakowskie, urodził się 16.06.1901 roku w miejscowości Przysucha w diecezji sandomierskiej. Głęboko wierząca matka po chrzcie świętym, który odbył się w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Jana Nepomucena w Przysusze, nie tylko swoje najmłodsze szóste dziecko, któremu na chrzcie świętym nadano imię Zygmunt, złożyła na ołtarzu i ofiarowała Bogu, ale gorąco prosiła Chrystusa, by jeżeli taka jest wola Boża, powołał jej syna do stanu kapłańskiego.

Zygmunt swoje dzieciństwo przeżył w gronie czterech braci: Adama, Tadeusza, Jana, Stanisława i siostry Wandy. Po śmierci brata i siostry Wandy, którzy zmarli w młodym wieku oraz po ukończeniu szkoły elementarnej w Przysusze przez pozostałych braci, którzy wyjechali do Krakowa na dalszą naukę, był troskliwie wychowywany przez swoich głęboko wierzących rodziców w rodzinnej miejscowości, liczącej w latach dziecięcych Zygmunta 3000 mieszkańców. W ciągu dziejów mieszkańcy Przysuchy przeżyli piękne, radosne ale także bolesne i tragiczne chwile.

Przysucha, zamieszkała przez ludność pochodzenia polskiego, niemieckiego oraz żydowskiego, po uzyskaniu na początku XVIII wieku praw miejskich, po pierwszym rozbiórce Polski w 1775 roku dostała się pod zabór austriacki, a od 1815 roku, należąc do tzw. Królestwa Polskiego została zagarnięta przez Rosję carską i aż do pierwszej wojny światowej, podobnie jak inne zajęte tereny polskie, podlegała systematycznej rusyfikacji.

Mimo że po uzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku, Przysucha, obecnie miasto, liczące około 7000 mieszkańców, leżące przy głównej trasie prowadzącej z Radomia do Opoczna i Piotrkowa Trybunalskiego oraz przy otwartej w 1949 roku linii kolejowej biegnącej z Radomia do Tomaszowa Mazowieckiego i Łodzi, w czasie drugiej wojny światowej bardzo dużo wycierpiała, gdyż hitlerowcy wywieźli stąd lub wymordowali przeszło 2,5 tysiąca mieszkańców pochodzenia żydowskiego oraz z powodu toczących się w okolicach walk partyzanckich wymordowali bardzo dużo Polaków i spacyfikowali oraz spalili wiele wiosek, to jednak mimo różnych trudności obecnie miasto i cały powiat powoli się

rozbudowuje i w miarę możliwości modernizuje swoje życie i działalność gospodarczą.<sup>1</sup>

Za chłopięcych lat Zygmunta Przysucha miała różne dzielnice: Przysuską Wieś, Rynek Żydowski, murowany Rynek Niemiecki, również murowany Rynek Polski oraz kilka osiedli, jak: Księża Wieś, Bugaj, Piaski i inne. Centralnymi budowlami miasteczka były: świątynia katolicka zbudowana w 1786 roku oraz bożnica żydowska, zbudowana, jak się sądzi, w czasach kazimierzowskich. Ludność miasta, po upadku wytopienia z mało procentowej rudy surówki żelaza oraz niektórych warsztatów, żyła w trudnych warunkach, głównie z rolnictwa i słabo rozwijającego się rzemiosła. Mieszkańcy pochodzenia żydowskiego żyli z handlu, gdyż tylko jeden dobrze prosperujący sklep w mieście był prowadzony przez obywatela polskiego, któremu dopomógł go zorganizować ks. proboszcz Szynkiewicz. Warunki sanitarne w Przysusze i okolicy były bardzo trudne. Mieszkający w mieście jedyny lekarz, dr Libiszewski, mimo że był w ciągłych rozjazdach, zwywany do chorych w mieście i okolicy, to jednak bardzo często odwiedzał chorującego Zygmunta, który wyraźnie podkreśla, że w dużym stopniu zawdzięcza mu zdrowie i życie, które ratował lekarsstwami nabywanymi w aptece Szermera, znanej i jedynej w całej okolicy. Wspomnianemu zapracowanemu lekarzowi często pomagało w leczeniu chorych

---

<sup>1</sup> Archiwum Salezjańskiej Inspektorii Krakowskiej – ASIK B 2849; Zygmunt Kuzak SDB, Przysucha 1901-1916, mps, s.1 i 1a; ASIK: Kartoteka osobista – wykaz zmarłych współbraci salezjanów, Kuzak Zygmunt, mps, s. 1; Przysucha, w: Nowa Encyklopedia Powszechna PWN Warszawa 1997, s. 385; Jerzy Kwiatek i Teofil Lijewski, Leksykon miast polskich, Warszawa 1998, Przysucha s. 689; Encyklopedia II wojny światowej, Warszawa 1975, Przysuskie Lasy, s. 525; Informator Diecezji Radomskiej 2004/5, Radom 2004, Przysucha s. 76 i 77.

i cierpiących trzech felczerów, którzy usuwali zęby, a także pełnili funkcję fryzjerów.

Mała miejscina Przysucha miała szkołę elementarną trzyklasową, do której jej nauczyciel, a zarazem kierownik, przyjmował z miasta i okolicy niezależnie od narodowości i wyznania około 60 uczniów i uczennic. Nauka w szkole trwała praktycznie pięć lat, gdyż każdy przyjęty uczeń musiał przejść w pierwszym roku przez tzw. „oślą ławkę” a po czterech latach nauki nauczyciel nie chciał wydawać świadectw, ale domagał się, by uczeń w piątym roku powtarzał czwartą klasę, by pod koniec piątego roku w Opocznie zdał wymagany egzamin, który w 12 roku życia złożył pomyślnie nasz Zygmunt, ciesząc się bardzo, że zakończyła się uciążliwa i trudna nauka. W przysuskiej szkole, jak na ówczesne czasy, panowały fatalne warunki nie tylko sanitarne, lokalowe, ale przede wszystkim wychowawcze, dlatego rodzice tylko z konieczności wysyłali do niej swoje dzieci, które niechętnie do szkoły uczęszczały, nie tylko dlatego, że nie chciały się uczyć języka rosyjskiego, ale się bały i nienawidziły swego nauczyciela, nerwowego i gwałtownego, który za byle głupstwo bił, maltretował i znęcał się nad nimi. W drugiej klasie wymagał od dzieci znajomości tabliczki mnożenia i gdy odpytywał przestraszone dzieci, lewą ręką trzymał dłoń ucznia, w drugiej ręce trzymał linijkę lub kij i za najmniejszą pomyłkę bił po „łapach”. Szczególnie karał dzieci podczas lekcji języka rosyjskiego, gdyż po dobrze przeczytanej całej stronicy za jeden źle postawiony akcent bił przestraszone dzieci, które też nieraz chciały mu coś na złość zrobić. Pewnego dnia podczas próby śpiewu różnych piosenek rosyjskich oraz hymnu rosyjskiego: „Boże, cara chrań” (Boże, chroń cara) umówiły się, że na powitanie wizytatora rosyjskiego, przyjeżdżającego w pięknym mundurze wojskowym, zaśpiewają „Boże, zabij cara...”



Gdy o tym nieprzemyślanym planie dowiedział się nauczyciel, gdyż jeden z chłopców tak na próbie zaśpiewał, nie tylko bardzo się zdenerwował, ale bojąc się poważnych konsekwencji takiego czynu, nie tylko hymnu już nie ćwiczył, ale w ogóle nie kazał go w czasie wizytacji śpiewać.

Nauczyciel terroryzujący dzieci, bojąc się o utratę posady – pracy wymagał aktualnej w tamtym czasie wiedzy. Rachunków, geografii a zwłaszcza historii Rosji mówiącej głównie o panujących carach, dzieci nie chciały się uczyć w języku rosyjskim. Podczas lekcji geografii na ścianie wisiały dwie mapy polityczne, jedna z nazwami miast i rzek, a druga: „ślepa” – pusta. Podczas pytania nauczyciel wskazywał na pustej mapie kijem miejsce, w którym pytany uczeń musiał dokładnie podać znajdujące się tam miasto lub płynącą rzekę. Nauczyciel nie znający dobrze wiary uczył dzieci również religii. Nauka polegała na tym, że nauczyciel otwierał przed uczniem katechizm, a uczeń nie tylko sam stawiał sobie pytania, ale po kolei bezbłędnie musiał na nie odpowiadać, gdyż w razie pomyłki otrzymywał odpowiednią porcję uderzeń w lewą lub prawą „łapę”.

Do Pierwszej Komunii świętej przygotowywał dzieci organista, a po pewnym doksztalceniu egzaminował je i do komunii dopuszczał ks. proboszcz. Pierwsza Komunia święta, którą tradycyjnie dzieci przyjmowały każdego roku w uroczystość Trójcy Świętej, była uroczystością liturgiczną, kościelną, gdyż nie było wtedy mowy o zapraszaniu bliższych i dalszych krewnych i innych gości, jak to ma miejsce dzisiaj.

Mimo panującego w szkole terroru i wielkiej niechęci do nauczyciela, dzieci bardzo chętnie uczyły się języka polskiego, ucząc się na pamięć pięknych wierszy Marii Konopnickiej i innych poetów polskich oraz czytając podane w podręczniku polskim różne

budujące opowiadania, których treść musiały swoimi słowami opowiedzieć pytającemu ich nauczycielowi.

Rodzice polscy mieszkający w Przysusze, troszcząc się o religijne i patriotyczne wychowanie swoich pociech, robili wszystko, by ich szkoła popierana przez władze rosyjskie nie zrusyfikowała uczęszczających do niej dzieci. Realizując ten plan Rembiński, dziedzic przysuski, w porozumieniu z rodzicami, wykorzystując czas pewnej odwilży i większej swobody politycznej jaka nastąpiła w państwie rosyjskim osłabionym, z powodu przegrania rozpoczętej w lutym 1904 roku wojny japońsko-rosyjskiej oraz wielkiego niebezpiecznego wrzenia rewolucyjnego w Rosji i na zagarniętych przez cara ziemiach polskich, grożącego upadkiem i zawaleniem się potężnego imperium carskiego zbudowanego na glinianych nogach, w 1905 roku, za zezwoleniem władz carskich w jednym ze swoich budynków folwarcznych przeznaczył dwie salki na ochronkę dla dzieci polskich. Sprowadzona z Warszawy „ochroniarka”, pani Rajkowska, miała zajmować się głównie dziećmi służby dworskiej, z tym że do zorganizowanej ochronki przychodziły dzieci nie tylko z Przysuchy, ale i z okolicy, by się wspólnie cieszyć i bawić. Do salek zorganizowanego „przedszkola” za zgodą dziedzica i rodziców wniesiono ławki, stoliki, kałamarze, tablice i inne potrzebne rzeczy do nauczania dzieci. Obok przedszkola zorganizowano ogródek z kwiatami, a na podwórku ustawiono huśtawki i różne przyrządy gimnastyczne służące do zabawy. Dzieci pielęgnowały także kwiaty i posadzone drzewka, a uzdolniona nauczycielka uczyła nawet niektóre zdolne dziewczynki haftu, śpiewu i różnych zabaw, które jednak nie były celem konspiracyjnego przedszkola polskiego, gdyż nauczycielka za zgodą rodziców i dziedzica przede wszystkim uczyła dzieci po polsku czytać i pisać. Uczyła dzieci rachunków oraz opowiadała im wiele ciekawych i budujących faktów histo-

rycznych o bohaterskich Polakach walczących o wolność ojczyzny, a nawet organizowała z nimi Jasełka i inne przedstawienia.

Ta zakazana konspiracyjna praca patriotyczna była dobrze zorganizowana, gdyż ile razy miała odbyć się w „ochronce” wizytacja inspektora carskiego, pani Rajkowska była o tym powiadamiana i z pomocą dzieci, rodziców i innych osób wynosiła z salki na strych ławki i stoliki, a do drewnutni inne rzeczy potrzebne do nauczania dzieci. Gdy przyjechał wizytator, dzieci pięknym śpiewem piosenek polskich a nawet rosyjskich oraz tańcem, deklamacjami oraz popisami gimnastycznymi bawiły wizytatora, który zadowolony wyjeżdżał z Przysuchy, a przedszkolanka dalej uczyła dzieci miłości do Boga i Ojczyzny oraz poprawnego języka polskiego, przekazywanego ze zwyczajami i kulturą narodową z pokolenia na pokolenie.<sup>2</sup>

W małym miasteczku Przysucha do najgorliwszych katolików i patriotów należeli młodzi małżonkowie Piotr i Maria Kuzak, którzy byli czynnymi i aktywnymi animatorami i organizatorami życia religijnego i patriotycznego w rodzinie i swojej parafii. Pan Piotr Kuzak, obywatel austriacki, po odświeżeniu służby wojskowej w austriackim wojsku podczas pracy miał okazję nie tylko zwiedzić Francję, Włochy, Węgry, Czechy, poznać życie Polaków mieszkających na Litwie i wschodnich rubieżach dawnej wolnej ojczyzny, ale przeczytawszy wiele historycznych książek opowiadał wieczorami gromadzącym się w jego domu starszym i młodszym mężczyznom a nawet dzieciom różne ciekawe wydarzenia.

---

<sup>2</sup> ASIK: Z. Kuzak, Przysucha, cyt., s. 2 a ; Tenże, Oświęcim 1916-1919, mps., s. 1-4; Władysław Podbóg-Malinowski, Najnowsza Historia Polski okres 1864-1914, Gdańsk 1991, t. I, s. 505-507; Józef Piłsudski 1867-1935, Mała oficyna Wydawnicza Kraków 1935, s. 45-48; Ks. Z. Kuzak, Ustne relacje o szkole elementarnej w Przysusze.

Mówił o historii uciskanego i gnębionego przez zaborców narodu polskiego, mówił o bohaterskich Polakach walczących o wolność Ojczyzny, z których wielu, szczególnie podczas powstania styczniowego zostało powieszonych na szubienicach, rozstrzelanych, zamordowanych w więzieniach lub wywiezionych na daleki Sybir, gdzie jeszcze żyją i marzą o Polsce, której już nigdy nie zobaczą, gdyż ich śmiertelne ciała zostaną pogrzebane na dalekiej ziemi syberyjskiej. Te podniosłe i smutne opowiadania narrator zawsze kończył przypomnieniem, że upragnionej wolności i niepodległości żaden z zaborców nam nie da, ale wolność i niepodległość musimy sobie sami wywalczyć broniąc otwarcie i odważnie swojej kultury narodowej, przywiązania do wiary i swojej ojczyzny. Interesujących i ciekawych opowiadań p. Piotra wszyscy z wielkim zainteresowaniem słuchali i głęboko je przeżywali. Szczególne wrażenie wywołały one na jego dorastającym synu Zygmuncie, który rozczarowany i zniechęcony pewnego dnia oświadczył ojcu, że on nie będzie się uczył języka narodu rosyjskiego, który tyle krzywdy wyrządził i wyrządza okupowanemu narodowi polskiemu. Roztropny ojciec, chociaż przekonał syna, że jeśli chce być dobrym Polakiem, to musi znać nie tylko język polski, ale i rosyjski, w którym będzie mógł skuteczniej bronić siebie oraz uciskanych i prześladowanych Polaków, ale nie zmienił nastawienia, niechęci, a nawet nienawiści syna do cara, którego Zygmunt uważał za największego wroga i prześladowcę Polaków.

Zygmuntowi, patrzącemu na lekcjach języka rosyjskiego na portret cara wiszącego na ścianie, wydawało się że imperator i nieprzyjaciel narodu polskiego, gdy widział, że dzieci dobrze czytają, akcentują wyrazy rosyjskie, a nawet śpiewają piosenki rosyjskie, bardzo się cieszył się i radował, ale gdy któreś z dzieci nie przygotowało lekcji lub źle akcentowało poszczególne wyrażenia, car poważniał, denerwował się i gdyby mógł to bardziej niż sadystycz-

ny nauczyciel biłby kijem lub prętem dzieci po łapach, by je jak najprędzej zrusyfikować.

Pewnego dnia, gdy Zygmunt razem z innymi kolegami po lekcjach został w „kozie”, podenerwowany, niewiele myśląc, postanowił zemścić się na carze. Znużony długim siedzeniem, wykorzystując hałas i szum panujący w klasie wyciągnął z kieszeni swój pistolet sprężynowy, zasypał go śrutem i strzelił w portret cara. Na szczęście hałasujący chłopcy nie zauważyli nierozważnego czynu kolegi, a nauczyciel również nie zwrócił lub nie chciał zwracać uwagi na podziurawiony portret w obawie o pracę, gdyż wiedział, że za taki czyn nie tylko uczeń i jego rodzice zostaną surowo ukarani, ale nawet cała szkoła w Przysusze może być zlikwidowana z powodu złego wychowania dzieci i ich wrogiego nastawienia do cara, którego podziurawiony przez śruty portret dalej wisiał na ścianie i nikt nie dochodził przyczyny jego uszkodzenia.<sup>3</sup>

Wspominając o głęboko wierzącej rodzinie państwa Kuzaków, należy podkreślić, że dom rodzinny Zygmunta, gdy szkoła w tym czasie dokonywała planowanej rusyfikacji, był prawdziwą kuźnią życia patriotycznego oraz świątynią życia religijnego i kulturalnego. W tym domu ojciec był mózgiem kierującym sprawami ekonomicznymi, a matka Maria była sercem i „rozrusznikiem” życia religijnego, rodzinnego i patriotycznego. Gorliwa i praktykująca rodzina w każdą niedzielę udawała się regularnie na Mszę świętą do parafialnego kościoła. Szanowany w parafii ojciec stał wśród mężczyzn i z dużej jak brewiarz książeczki do modlenia odmawiał z pobożnością różne modlitwy. Matka z dziećmi siadała w ławce, a gdy starsi bracia udali się na dalszą naukę do Krakowa, matce towarzyszył Zygmunt, który niedługo siedział w ławce, bo gdy na-

---

<sup>3</sup> ASIK: Z. Kuzak, Oświęcim 1916-1919, cyt., s. 2; tenże, Przysucha, cyt., s.1; Relacja osobista ks. Kuzaka o swoim ojcu.

uczył się ministrantury, udawał się do zakrystii, by jako ministrant gorliwie służyć do Mszy świętej. Mały ministrant cieszył się, gdy od gorliwego proboszcza usłyszał kilka ciepłych słów dotyczących grzecznego zachowania, a matka rozmawiająca często z duszpa-sterzem była szczęśliwa słysząc różne pochwały dotyczące wzoro-wego zachowania się jej syna, który po pierwszej Komunii świę-tej nie tylko z nią w każdy pierwszy piątek miesiąca przystępował do spowiedzi i komunii świętej, ale nauczony przez matkę Koronki do Serca Pana Jezusa oraz w 10. roku życia zapisany u OO. Do-minikanów w Krakowie do różańca, pobożnie odmawiał koronkę, różaniec i inne modlitwy wieczorne lub poranne, do czego zachę-cali go rodzice, nie słowem, ale przykładem własnego życia. Dom rodziców Zygmunta był prawdziwą kaplicą – świątynią, w której w jednym pokoju, gdzie było wiele obrazów świętych, przed wize-runkiem Matki Bożej Staroskrzyńskiej we dnie i w nocy paliła się oliwna lampka. W dużym pokoju rodziców na środku stał okrągły stolik, na którym był umieszczony krzyż, dwa lichtarze i lampka wieczna. W pokoju tym często gromadziła się na wspólnej mod-litwie rodzina oraz pod przewodnictwem matki, która, należąc do Trzeciego Zakonu i Żywego różańca, gromadziła i modliła się z dziewczynkami – kandydatkami, które pragnęły zapisać się do Trzeciego Zakonu św. Franciszka z Asyżu. Do tej „domowej kaplicy” przychodziły również dorosłe kobiety i koleżanki matki i tu prowadziły poważne rozmowy oraz wspólnie modliły się.

Matka Zygmunta – animatorka życia religijnego w parafii, wie-dząc, że wiara bez uczynków jest martwa, nie przechodziła obo-jętnie obok cierpiących i żyjących w trudnych warunkach osób, których w parafii nie brakowało. Dom rodzinny dość zamożnych Kuzaków był zawsze dla ubogich otwarty. Prawie w każdą nie-dzielę matka wracając z kościoła zapraszała na serdeczną poga-wędkę jakąś uboższą niewiastę oraz na przygotowany dla wszyst-

kich obiad. W ciągu tygodnia, gdy zjawiali się w porze obiadowej ubodzy, otrzymywali posiłek lub kilka groszy, a nawet kopiejek, wręczanych przez Zygmunta, którego w aktywną pomoc charytatywną starała się zaangażować. Matka Zygmunta udając się często do osób chorych lub rodzin potrzebujących pomocy materialnej, czyniła to bardzo dyskretnie i by ich nie krępować, nigdy osobiście w ciągu dnia nie dostarczała im żadnych rzeczy ani produktów żywnościowych, ale zlecała to Zygmunтови, który z polecenia matki późnym wieczorem jechał fornalskim wózkiem lub włożywszy na nogi kalosze idąc po błotnistej drodze lub polnej ścieżce, niósł potrzebującym rodzinom w koszyku produkty żywnościowe lub inne potrzebne rzeczy, a nawet lekarstwa, prosząc zadowolonych odbiorców w imieniu swojej mamy, by nikomu nie mówili o tym, że był u nich syn znanej w parafii Marii Kuzakowej.<sup>4</sup>

Zygmunt, po ukończeniu w Przysusze w czerwcu 1912 roku szkoły elementarnej, pewnego dnia usiadł spokojnie obok swojej matki i poważnie jej powiedział:

- Mamusiu, szczęśliwie ukończyłem szkołę elementarną i co dalej mam robić?

Matka zaskoczona tymi słowami rzekła:

- A no właśnie, jestem ciekawa, co ty zamierzasz?

- Mam zamiar dalej się uczyć, by w przyszłości zostać kapłanem.

Uszczęśliwiona tym oświadczeniem matka ze łzami radości w oczach ucałowała syna i powiedziała:

- Drogi synu, jestem bardzo szczęśliwa i zadowolona, gdyż po chrzcie świętym składając cię w kościele na ołtarzu ofiarowa-

---

<sup>4</sup> Z. Kuzak, Przysucha, cyt., s. 1-3; Relacja osobista ks. Z. Kuzaka o działalności religijno-charytatywnej swojej matki.

łam cię Bogu, gorąco się modliłam i dalej się modłę o to, abyś, jeżeli jest taka wola Boga, pozostał dobrym i gorliwym kapłanem.

Zadowolona i szczęśliwa matka natychmiast o tym oświadczeniu syna powiadomiła męża, który z wielką radością przyjął tę wiadomość i spokojnie powiedział:

- Jeżeli Zygmunt pragnie pozostać kapłanem, to musimy go jak najprędzej wysłać do Radomia, aby tam zamieszkał u jakiejś dobrej rodziny, by po ukończeniu szkoły średniej mógł wstąpić do Seminarium Duchownego w Sandomierzu.

Matka Zygmunta, chociaż prawie zawsze zgadzała się z decyzją małżonka, to jednak w tym wypadku, nie wyraziła na to zgody.

Dlaczego?

Dlatego, że знаła wielu zdolnych i dobrych uczniów, których rodzice wysłali ze spokojnej Przysuchy na dalszą naukę do rozbudowującego się Radomia z cichą nadzieją, że się wykształcą, a nawet zostaną kapłanami. Niestety, wielu z nich z powodu złego towarzystwa i nowych warunków życia, nie tylko nie zostało kapłanami, ale nawet nie ukończyło rozpoczętej nauki.

Ojciec Zygmunta, zaskoczony sprzeciwem małżonki, podekscytowany powiedział:

- Co więc w tej sytuacji zrobimy?

Żona spokojnie odpowiedziała:

- Wyślemy syna do salezjańskiego zakładu i Szkoły w Oświęcimiu.

Matka i ojciec Zygmunta słyszeli o niej wiele pozytywnych opinii, czytali także w „Wiadomościach Salezjańskich” i prasie katolickiej, która w superlatywach przedstawiała działalność Szkoły, która nie tylko kształciła ale zgodnie z systemem salezjańskim wychowywała swoich uczniów w duchu religijnym i patriotycznym. Natomiast prasa liberalna zaborców – zwłaszcza pruska – którzy chcieli jak najszybciej Polaków zgermanizować, mając sprzymie-



rzeńców nawet wśród niektórych liberałów polskich, szkołę salezjańską obrzucali błotem wymyślonych złośliwych oszczerstw oraz za wszelką cenę chcieli ją zniszczyć i zlikwidować, jako ośrodek życia religijnego i patriotycznego oddziałującego ze względu na swe dogodne położenie na Polaków we wszystkich trzech zaborach.

Bezwzględne i zaciekle prześladowanie salezjańskiej szkoły w Oświęcimiu przez zaborców przekonało państwo Kuzaków, religijne i patriotycznie wychowujących swoje dzieci, by wysłać syna Zygmunta do oświęcimskiej salezjańskiej szkoły, która na pewno nie tylko go solidnie wykształci, ale co najważniejsze dobrze wychowa w duchu religijnym i patriotycznym.<sup>5</sup>

## **2. W Zakładzie Salezjańskim im. ks. Jana Bosko w Oświęcimiu**

Rodzice Zygmunta Kuzaka, po podjętej decyzji wysłania syna do salezjańskiej szkoły w Oświęcimiu, zaraz napisali podanie do Dyrekcji Szkoły prosząc o przyjęcie Zygmunta pochodzącego z zaboru rosyjskiego do salezjańskiej szkoły i nie czekając nawet na odpowiedź, zakupili mu potrzebne rzeczy do nauki oraz polecili, by w domu korzystał z korepetycji języka łacińskiego, niemieckiego i matematyki.

Z Oświęcimia nadeszła pozytywna odpowiedź z zaleceniem, aby Zygmunt stawił się 1 sierpnia 1914 roku w salezjańskiej szkole. Rozradowany i uszczęśliwiony Zygmunt, po otrzymaniu wizy,

---

<sup>5</sup> Z. Kuzak, Oświęcim 1916-1919, cyt., s. 5; Relacja ustna ks. Z. Kuzaka o swoim powołaniu; ASIK A 2025/37, Te. Dokumenty, Z. Kuzak, Curriculum vitae, Kraków 15.02.1923; Ks. Jan Krawiec, Działalność religijno-patriotyczna salezjanów w Oświęcimiu, Kraków 2006, s. 113-119.

wyjechał furmanką z ojcem do Radomia, skąd udał się pociągiem do Oświęcimia. Był to pamiętny i radosny dzień dla chłopca, który podczas długiej podróży z pędzącego pociągu podziwiał zmieniające się szybko jak w kalejdoskopie krajobrazy oraz rozległe łąki, lasy i rozsiane wśród nich wiejskie chaty. Szczęśliwemu młodemu pasażerowi patrzącemu z podziwem na dużą, żelazną, czarną lokomotywę sapiącą i ziejącą dymem, ogniem i parą, wydawało się, że rozpędzona potężna maszyna jak galopujący koń bardzo szybko wyprzedza idących piechurów oraz posuwające się po ścieżkach polnych i błotnistych drogach powoli, jak ślimaki, jadące naprzód furmanki konne.

Niestety, radość i uniesienie nie trwały długo, bo podróżujący 1 sierpnia 1914 roku podczas przekraczania granicy austriacko-rosyjskiej dowiedzieli się o wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej i z tego powodu mieli duże trudności z wjazdem do monarchii austriacko-węgierskiej. Po otrzymaniu zezwolenia, gdy pędzący pociąg zbliżał się do Oświęcimia, ojciec i Zygmunt z wielkim zainteresowaniem z okna pociągu spoglądali na wysoki kościół i majestatyczny piękny zakład salezjański górujący nad zabudowaniami miasta, o którym wiele słyszeli. Po przyjeździe do Oświęcimia z zatłoczonego dworca udali się dorożką konną do zakładu salezjańskiego, który na Zygmuncie zrobił imponujące, a zarazem przykre wrażenie, gdyż na wielkim i okazałym korytarzu zakładu nie zobaczył, jak sobie wyobrażał, rozbawionych i rozradowanych chłopców, ale kilkunastu spacerujących austriackich żołnierzy. Gdy weszli do kancelarii ks. dyrektora Stanisława Pływaczyka, radość Zygmunta i jego ojca zamieniła się w smutek, gdyż ks. dyrektor zakładu, mimo że bardzo miło i serdecznie przyjął przybyłych gości, to jednak podał im smutną wiadomość, że zakład w ostatnich dniach z powodu wybuchu wojny został zabrany na szpital wojskowy i salezjanie w tej sytuacji nie mogą w nim rozpocząć

nowego roku szkolnego, muszą niektórych wychowanków wysłać do Austrii, do zakładu w Unterwaltersdorfie, by tam ukończyli rozpoczętą naukę. Do zasmuconego i załamane go Zygmunta ks. dyrektor na pociechę powiedział: „Zanim liście spadną z drzew, wojna się skończy i po jej zakończeniu natychmiast listownie zostanie powiadomiony, kiedy ma przyjechać do oświęcimskiej szkoły”. W tej trudnej sytuacji ojciec z synem udali się na dworzec kolejowy w Oświęcimiu, by powrócić do domu. Niestety, z powodu przejeżdżających setek długich transportów z wojskiem, działami, amunicją i innym sprzętem wojskowym przez węzłową stację w Oświęcimiu o dostaniu się do cywilnego pociągu i dojechaniu do Radomia i domu nie było mowy. W tej tragicznej sytuacji musieli skorzystać z furmanek konnych i tak dotarli szczęśliwie do Krakowa, gdzie Zygmunt miał zatrzymać się i po przeczekaniu krótkiej burzy wojennej powrócić do Oświęcimia.

Niestety, rozpętana wojna nie tylko się nie uspokajała, ale rozwijała, gdyż armia austriacka pobita przez Rosjan 3 września 1914 roku opuściła Lwów, natomiast zwycięska armia rosyjska rozlała się po całej Galicji wschodniej, posuwając się bardzo szybko na zachód oraz w kierunku Krakowa, z którego – Twierdzy Kraków (Festung Krakau) – Austriacy wywozili tysiące mieszkańców z mającego się bronić zabytkowego grodu.

W tym ogólnym zamieszaniu i panice mieszkający w Krakowie Zygmunt po kilku tygodniach opuścił miasto i dorożką konną wyjechał do Michałowic, skąd chłopskim wozem udał się do majątku hrabstwa Dembińskich znajdującego się w Górach pod Pińczowem, gdzie miał dalej czekać na szybkie zakończenie się działań wojennych. Ojciec Zygmunta, zaniepokojony przedłużającą się wojną, by syn nie tracił czasu, chciał go wysłać do salezjańskiego zakładu w Unterwaltersdorfie, by tam razem z innymi uczniami wysłanymi z Oświęcimia kontynuował naukę. Na tę propozy-

cję nie zgodziła się matka Zygmunta, która martwiąc się o swoich trzech synów przebywających na froncie i nie wiedząc gdzie przebywają i czy wszyscy żyją, nie chciała wysłać w warunkach wojennych czwartego i ostatniego syna do nieznanego i odległego salezjańskiego zakładu.

Trzynastoletni Zygmunt przebywający u państwa Dembińskich, czekając na zakończenie wojny, na życzenie swoich rodziców jesienią 1914 roku, mimo toczącej się wojny powrócił furmanką do domu rodzinnego w Przysusze. W domu nie tracił czasu. Pilnie prywatnie uczył się czekając nie trzy miesiące, ale przeszło rok na powrót do zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu. Podczas toczącej się wojny do Przysuchy z rozległych frontów napływały wiadomości dobre i złe. Pokonana armia austriacka połączona z armią niemiecką po poniesionych porażkach tak się zorganizowała i zmobilizowała, że w toczących się walkach nad Dunajcem, szczególnie w bitwie pod Gorlicami w dniach od 2 do 6 maja 1915 roku, zadała armii rosyjskiej tak wielką i dotkliwą klęskę, że ta ostatnia się już z niej podźwignąć nie zdołała i zaczęła się wycofywać z terenów polskich coraz dalej na wschód. Po oddaleniu się frontu na wschodnie rubieże okupowanych przez Rosję ziem polskich wojsko austriackie 15 lipca 1915 roku opuściło salezjański zakład w Oświęcimiu, w którym salezjanie natychmiast przystąpili do organizowania szkoły powiadamiając o tym swoich wychowanków, wśród których znalazł się również Zygmunt Kuzak.<sup>6</sup>

---

<sup>6</sup> Z. Kuzak, Oświęcim 1916-1919 cyt., s. 5 i 6; Wspomnienia ustne ks. Z. Kuzaka o swojej podróży do Oświęcimia; J. Krawiec, Działalność religijno-patr., cyt., s. 121-126; Ks. W. Wróbel, Troska biskupa Adama Sapiehy o wysiedlonych uchodźców w latach 1914-1916, Kraków 1999, s. 24 i 25.

Zygmunt, po powiadomieniu o wznowieniu nauki, już 15 marca 1916 roku, mimo toczącej się wojny, znalazł się w Oświęcimiu. Po serdecznym powitaniu przez przełożonych i kolegów rozpoczął zaraz klasę pierwszą. Prywatna nauka w Przysusze, zdolności i pilność Zygmunta sprawiły, że pierwszą klasę ukończył z wynikiem celującym. Po zakończeniu roku ks. dyrektor Teodor Kurpisz wezwał do siebie Zygmunta i 9 innych najlepszych uczniów z klasy i polecił im skrócić do dwóch tygodni wakacje i po przyjeździe do zakładu w czasie kolejnych tygodni przerobić drugą klasę, a po wakacjach rozpocząć trzecią. Po pogłębieniu głównie łaciny, polskiego, matematyki i zdaniu egzaminu z innych przedmiotów wybrani uczniowie rozpoczęli klasę trzecią. Z nauką Zygmunt – jak świadczą zachowane w Archiwum Szkolnym w Oświęcimiu odpisy świadectw – nie miał trudności, chociaż po zachorowaniu z trzydziestoma kolegami na tyfus już nie był w następnych klasach prymusem. Życie w zakładzie mimo toczącej się wojny tętniło radością. Urozmaicali je i ożywiali wśród młodzieży klerycy studiujący w zorganizowanym dla nich w zakładzie Instytucie Teologicznym. Przebywało w nim około 30 kleryków, między innymi włoskich, którzy zamiast przebywać jako jeńcy wojenni wzięci do niewoli, za zgodą władz austriackich przebywali w Instytucie Teologicznym w Oświęcimiu. Pożywienie, mimo trudności i braku żywności spowodowanym wojną, nie było najgorsze. Atmosfera była miła, radosna i rodzinna, którą podtrzymywali przełożeni, ustawicznie przypominając wychowankom, że chociaż pochodzą z trzech walczących ze sobą zaborów, to jednak mają pamiętać o tym, że wszyscy niezależnie od tego, z którego zaboru pochodzą, są synami jednej matki, której na imię Polska.

Uczniowie niezależnie od zdobywania wiedzy, na co kładziono wielki nacisk, głównie pod przewodnictwem ks. dyrektora Antoniego Hlonda organizowali dla publiczności wieczorki muzyczno-

deklamacyjne, występy patriotyczne i inne widowiska, na które – przede wszystkim na Jasełka – przychodziło bardzo dużo ludzi. Przełożeni, przepojeni duchem patriotycznym, troszcząc się o ożywienie u młodzieży miłości ojczyzny, mimo toczącej się wojny, starali się uroczystości obchodzić w zakładzie różne rocznice narodowe, np. w uroczystość Trzeciego Maja 1916 roku wychowankowie nie tylko nie mieli lekcji, ale mimo okupacji austriackiej na czapkach nosili polskiego orzełka udekorowanego polskimi barwami narodowymi, a na wieży zakładu powiewała majestatycznie biało-czerwona flaga narodowa. Po południu młodzież zakładowa, orkiestra dęta licząca 70 osób, a smyczkowa posiadająca przeszło 40 członków grała na wolnym powietrzu, a pozostała młodzież zakładowa deklamowała i z bardzo licznie zgromadzoną publicznością Oświęcimia całą piersią śpiewała pieśni patriotyczne, jakby żyła już w wolnej i niepodległej Polsce. Mimo że okupacyjne władze austriackie z konieczności to tolerowały, to jednak z drugiej strony obawiały się, że Galicja oderwie się od Austrii. Dlatego władze wojskowe używając siły terroryzowały Polaków, rozstrzeliwując lub wieszając nawet przed kościołami tysiące galicyjskich chłopów podejrzanych o spisek lub sympatyzowanie z Rosją. Wprowadzony i zaostrzony terror, aresztowanie 22 lipca 1917 roku Józefa Piłsudskiego spowodowały, że legionści walczący po stronie Austrii oraz całe społeczeństwo polskie nie tylko mówiło, ale myślało o tym, jak przy użyciu siły wyzwolić się z niewoli strasznych zaborców osłabionych i wykrwawionych przeciągającą się długotrwałą wojną. W tej dramatycznej sytuacji, szczególnie w ostatnich miesiącach krwawej wojny, przełożeni zakładu z całym narodem polskim przeżywali tragedię swojego kraju, zachęcając chłopców, rwących się do walki o wolność i niepodległość ojczyzny, do spokoju i żarliwej modlitwy w intencji ojczyzny, by po wielu latach niewoli i przesładowania jak najprędzej doczekała się radosnego i tryumfalnego

zmarłychwstania, które z każdym miesiącem i tygodniem stawało się coraz to bliższe i realniejsze.

W pierwszych dniach listopada 1918 roku do Oświęcimia oraz do zakładu salezjańskiego zaczęły napływać dziwne, trudne do uwierzenia nadzwyczajne wiadomości mówiące, że w nocy z 30 na 31 października 1918 roku członkowie Tymczasowej Komendy Wojsk Polskich w Krakowie pod dowództwem brygadiera Bolesława Roi z legionistami oraz porwaną duchem patriotycznym młodzieżą z bronią w ręku dokonali bezkrwawej rewolucji i rozbroili 12-tysięczny austriacki garnizon wojskowy w Krakowie i objęli władzę. Porucznik Antoni Stawarz, po zdobyciu austriackiej radiostacji wojskowej w Krakowie, nadał do wszystkich stacji kolejowych w Galicji nadzwyczajny komunikat: „Rewolucja w Krakowie! Rząd Polski objął władzę. Wstrzymać transporty, które chciałyby wyjechać poza granice kraju i skierować na Kraków”. Za przykładem Krakowa poszedł Lwów, Lublin, Warszawa i inne miasta. Zaskoczeni wierni zebrani w świątyniach katolickich, słuchając Listu Episkopatu Galicji odczytanego w pierwszą niedzielę listopada 1918 roku, popierającego dążenia wolnościowe podczas uroczystego śpiewu dziękczynnego „Te Deum” ze szczęścia płakali, a młodzież polska oraz uczniowie w zakładzie salezjańskim w Oświęcimiu z radości szaleli, szczególnie gdy zwolniony z więzienia naczelnik Józef Piłsudski po 123 latach niewoli ogłosił 11 listopada 1918 roku Polskę wolną i niepodległą.<sup>7</sup>

O tych wielkich i niezapomnianych wydarzeniach, a przede wszystkim o dniu 11 listopada i następnych dniach 1918 roku,

---

<sup>7</sup> Z. Kuzak, *Oświęcim 1916-1919*, cyt., s. 5, 6, 7 i 8; Ks. J. Krawiec, *Powstanie Towarzystwa św. Franciszka Salezego oraz jego organizacja i działalność na ziemiach polskich*, Kraków 2004, s. 127; Tenże, *Działalność religijno-patr.*, cyt., s. 135-136; „*Pokł. Sal.*”, nr 10-11/1917, s.4 i 5.

które razem z innymi wychowankami przeżywał w Zakładzie Zygmunt Kuzak, mówił po latach 11 listopada 1984 roku przy stole w jadalni na Dębnikach w Krakowie i na prośbę piszącego krótko je opisał w swoich wspomnieniach pt. „11 listopad 1918 roku.”

Według relacji autora, po ogłoszeniu niepodległości Polski, zorganizowane polskie władze w Oświęcimiu zaraz zwróciły się z prośbą do przełożonych zakładu oświęcimskiego, by wydelegowali kilku bardziej wyrosniętych uczniów do zorganizowanej w mieście Straży Obywatelskiej pilnującej porządku publicznego w nowej rodzącej się rzeczywistości. Przełożeni zakładu, zdając sobie sprawę, że w tym wypadku nie chodzi o pomoc kilku chłopców, ale o poparcie przez salezjanów organizującej się polskiej władzy, bardzo chętnie wyznaczyli kilku starszych dobrze prezentujących się uczniów do pełnienia zaproponowanej im funkcji. Znalazł się wśród nich również Zygmunt Kuzak, którego przełożeni wyznaczyli na „dowódcę”, czyli kierownika odpowiedzialnego za działalność i zachowanie się wydzielonej grupy. Wyznaczeni uczniowie po odpowiedniej instrukcji, chociaż nie otrzymali broni tylko odznaki, to jednak według polecenia mieli patrolować ulice miasta i w razie naruszenia porządku natychmiast informować uzbrojonych strażników i polskich policjantów. W chłodny, ale radosny dzień 11 listopada – jak mówi ks. Kuzak – w mieście panował porządek i spokój, gdyż Żydzi siedzieli cicho jak trusie w swoich domach, a Polacy też tłumnie nie wychodzili na ulice. W tym pamiętnym dniu 11 listopada 1918 roku niektórzy przedstawiciele Straży Obywatelskiej patrolujący ulice miasta, jako przedstawiciele organizującej się władzy, postanowili urządzić pogrzeb Austrii oraz publicznie zamanifestować na granicy niemieckiej, że prześladowana i uciskana przeszło sto lat Polska nie zginęła.

Realizując ten plan, patrol Straży Obywatelskiej składający się z wychowanków salezjańskich, pod przewodnictwem Zygmunta



Kuzaka, udał się na koniec ulicy Jagiełły i ze stojącego tam słupa zerwał znieprawionego dwugłowego orła austriackiego i po dośściu z nim do rynku, na oczach czuwającego, ale nie reagującego strażnika austriackiego zerwano z budynku miejskiego drugiego orła austriackiego. Z zerwanymi godłami austriackimi przedstawiciele Straży Obywatelskiej z dołączoną dużą grupą młodzieży miejskiej idąc i bębniąc na żelaznych orłach, udali się gromadnie na most oświęcimski na Sole. Po przybyciu na miejsce, stare, zabrudzone i zardzewiałe orły austriackie, które były symbolem wielu krzywd wyrządzonych podczas długiej niewoli narodowi polskiemu, zostały zrzucone z mostu i utopione w Sole, aby już więcej nie krzywdziły polskiego białego orła.

Po wykonaniu tej osobliwej „egzekucji” na znieprawionych godłach austriackich, członkowie Straży Obywatelskiej z wielką grupą młodzieży miejskiej udali się ze śpiewem pieśni patriotycznych na granicę austriacko-niemiecką, obecnie już polsko-niemiecką znajdującą się na Wiśle pod Nowym Bieruniem, gdzie wszyscy zatrzymali się na środku mostu, przez który przebiegała granica i ustawili się dwójkami z towarzyszeniem grającego kornetu – który na tę imprezę przyniósł członek Straży Obywatelskiej uczeń zakładu salezjańskiego Józef Karkoszka – śpiewali pieśni patriotyczne i wiwatując krzyczeli głośno: Niech żyje wolna i niepodległa Polska; Niech żyje Naród Polski! Przyglądający się patriotycznej manifestacji Polaków strażnicy niemieccy, pilnujący jeszcze granicy na Wiśle, nie reagowali, nawet wtedy, gdy zebrani na moście manifestanci przeszli na teren niemiecki i stojąc na baczność odśpiewali całą piersią hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Śpiewający wychowankowie salezjańscy należący do Straży Obywatelskiej i towarzysząca im młodzież miejska, chcieli dać do zrozumienia słuchającym ich żołnierzom niemieckim, że prześladowana i wynarodowiona Polska nie tylko nie zginęła,

ale że niedługo Polacy przejdą przez Wisłę i Wartę i zabiorą zagarnięte po drugiej stronie leżące tereny polskie okupowane jeszcze przez Niemców.

Po dobrze spełnionej misji wychowankowie salezjańscy powrócili zadowoleni do zakładu i swoich codziennych zajęć, by przez zdobywanie wiedzy i urabianie swoich charakterów jak najlepiej przygotować się do służby Bogu i wolnej niepodległej ojczyźnie. Po ogłoszeniu niepodległości Polski życie w zakładzie pozornie niewiele się zmieniło. Rozkład zajęć nie uległ zmianie. Pożywienie było skromne, ale wystarczające. Nauczyciele zgodnie z programem zwracali dalej wielką uwagę na zdobywanie przez uczniów wiedzy i urabianie swoich charakterów. Wszyscy wychowankowie, niezależnie od tego z jakiego zaboru pochodzili, ciesząc się odzyskaną wolnością, przekonali się, że żyjąc w wolnej i niepodległej ojczyźnie mają ją kochać jak swoją matkę, a w tych trudnych chwilach dla niej się poświęcić i jej bronić. Pomoc ta była bardzo potrzebna, gdyż rodząca się wolna i niepodległa Polska musiała siłą wyrwać okupowane przez Prusaków ziemie Górnego Śląska, bohatercko walczyć zbrojnie o przyłączenie Wielkopolski do swojej Ojczyzny, bronić przed Czechami Śląska Cieszyńskiego, przed Litwinami Suwalszczyzny oraz terenów wschodnich przed napierającymi na zachód komunistycznymi bolszewikami.

W tych trudnych i dramatycznych chwilach przeżywanych przez przełożonych zakładu oraz uczniów bardzo ważne i podnoszące na duchu były odwiedziny 12 czerwca 1919 roku zakładu przez generała Józefa Hallera wracającego z Cieszyna oraz wizyta generała Franciszka Latnika, obrońcy ziem Śląska Cieszyńskiego 28 czerwca. Krótkie, żołnierskie przemówienie generała Hallera zachęcające młodzież do umiłowania Ojczyzny i w razie potrzeby do bronięcia jej własnymi pierściami, podniosło młodzież na duchu i zapaliło w niej ogień jeszcze gorętszego patriotyzmu.

Mimo że salezjańska szkoła w Oświęcimiu nie była niższym seminarium duchownym, ale zwyczajną prywatną szkołą zawodową i gimnazjum, które dobrze przygotowywało swoich wychowanków do życia w rodzinie oraz uczciwego i solidnego wykonywania wyuczonego zawodu, to jednak przełożeni zachęcali tych, którzy otrzymali łaskę powołania kapłańskiego, do pójścia za wezwaniem Bożym.

Ks. dyrektor Kurpisz, który na niektórych konferencjach wygłaszanych do uczniów z ostatnich klas mówił o powołaniu do życia rodzinnego lub kapłańskiego i zakonnego – jak podkreśla ks. Kuzak – przemawiał już do powołanych do Zgromadzenia Salezjańskiego, gdyż „cała atmosfera ówczesnego Zakładu Księdza Bosko w Oświęcimiu: kontakt ciągły z salezjanami, ich przyjacielskie i ojcowskie traktowanie nas, wiadomości o naszym Zgromadzeniu na całym świecie, zdjęcia naszych zakładów we Włoszech i Ameryce, przyjazdy każdego roku ks. biskupa Sapiehy, a zwłaszcza ks. biskupa Nowaka, wychwalającego ks. Bosko i Zgromadzenie Salezjańskie, oraz chór, orkiestra, to wszystko przywiązywało nas do salezjanów i powoli kształtowało i umacniało powołanie”. Oprócz nauki, organizowanych przedstawień, akademijek, różnych zabaw i rozgrywek sportowych, każdy uczeń, aby czuł się odpowiedzialny za dobre i radosne funkcjonowanie zakładu, miał wyznaczone konkretne zajęcia związane z pewną odpowiedzialnością za utrzymanie porządku i czystości w sypialniach, uczelniach, jadalni, korytarzach, kaplicy i kościele, w którym troszczyli się nie tylko o czystość i porządek, ale organizowali i swoimi występami urozmaicali odprawiane, uroczyste nabożeństwa.

Pod koniec czwartej klasy ks. inspektor Piotr Tirone, mieszkający w zakładzie, pewnego dnia spotkawszy Zygmunta zapytał go, co będzie robił po ukończeniu czwartej klasy?

Zaskoczony tym pytaniem uczeń krótko odpowiedział:

– Wstąpię do Seminarium Duchownego w Sandomierzu.

Po tych słowach ks. inspektor poklepał ręką Zygmunta po ramieniu i powiedział:

– Ty nie wstąpisz do seminarium, ale pójdziesz do salezjańskiego nowicjatu, by jako kapłan przez wychowanie młodzieży służyć Bogu i Kościołowi.

Wypowiedź ks. inspektora głęboko przemyślał Zygmunt i powiadomił swoich rodziców, że pragnie zostać kapłanem w Zgromadzeniu Salezjańskim. Rodzice Zygmunta pragnący, by syn został kapłanem, nie spodziewając się od niego żadnej korzyści i pomocy materialnej, bardzo chętnie wyrazili zgodę, by został kapłanem zakonnym – salezjaninem.

Po wyrażeniu zgody przez rodziców Zygmunt z aż 15 wychowankami zakładu napisał do ks. dyrektora Kurpisza prośbę o przyjęcie go do nowicjatu salezjańskiego, do którego 4 lipca 1919 roku został oficjalnie przyjęty.<sup>8</sup>

### **3. Nowicjat w Kleczy Dolnej**

Nowicjat jest to czas i miejsce próby dla tych, którzy pragną złożyć profesję, czyli śluby zakonne w obranym instytucie zakonnym. Podczas nowicjatu kandydat powinien dokładnie przemyśleć

---

<sup>8</sup> ASIK: Z. Kuzak, Oświęcim 11 listopad 1918 r. – Vivat Polonia, mps, s. 1 i 2; Osobiste relacje ks. Z. Kuzaka z dnia 11.11.1984 roku; ASIK A 2025 – Dokumenty, Zaświadczenie ks. T. Kurpisza z dnia 19.06.1919 roku; Z. Kuzak, Klecza Dolna k. Wadowic 1919-1920, mps, s. 1; J. Krawiec, Działalność religijno-patr., cyt., s. 136-142; Ks. A. Świda, ks. St. Rokita, w: Inspektorzy polskich prowincji salezjańskich, cz. III, Warszawa 1990, s. 11.

i przemodlić swoje powołanie oraz przekonać się, czy jest zdolny podjąć się życia i pracy zgodnie z wymogami wybranego zgromadzenia zakonnego, a przełożeni formujący i obserwujący nowicjusza mają się upewnić, czy kandydat posiada odpowiednie przymioty fizyczne, intelektualne i moralne do życia i pracy w obranym instytucie.

Pierwsi polscy salezjanie: bł. ks. August Czartoryski, ks. Wiktor Grabelski, ks. kardynał August Hlond i inni zajmujący się organizacją życia salezjańskiego we Włoszech oraz w ojczyźnie swoją pierwszą formację nowicjacką przeżyli we Włoszech w salezjańskich domach: Valsalice, Foglizzo, Ivrea i w Lombiasco pod Turynem.

Po tym jak w 1898 roku salezjanie rozpoczęli w Oświęcimiu swoją działalność, już w 1903 roku zorganizowali w Oświęcimiu również swój własny nowicjat dla 15 braci. Z powodu braku miejsca w przepelnionym zakładzie został on w 1904 roku przeniesiony do zakładu zorganizowanego w Daszawie koło Stryja. Dyrektorem i mistrzem nowicjatu w Daszawie został mianowany ks. Piotr Tirone.

Mimo że nowicjusze w Daszawie czuli się bardzo dobrze, to jednak po zorganizowaniu w zakładzie również Salezjańskiego Instytutu Filozoficznego, z powodu braku miejsca razem z klerykami studiującymi filozofię zostali przeniesieni z Daszawy do nowo otwartego w 1907 roku domu w Radnej nad Sawą w Słowenii. W opróżnionym domu w Daszawie przełożeni zorganizowali w 1907 roku pierwsze na ziemiach polskich Małe Seminarium Duchowne pod nazwą „Dom Synów Maryi”, do którego przyjmowano ze wszystkich trzech zaborów młodzieńców w wieku od 16 do 30 roku życia, którzy mimo spóźnionego wieku pragnęli pozostać kapłanami lub braćmi zakonnymi.

Niestety, po wybuchu pierwszej wojny światowej Radna znalazła się na terenie objętym działaniami wojennymi i dlatego z powodu utrudnionej komunikacji nowicjusze i studiujący klerycy z konieczności w 1916 roku powrócili do swojej ojczyzny. Nowicjusze od 12 września 1916 roku zamieszkali w Pleszowie pod Krakowem w tymczasowo wydzierżawionym na dwa lata od państwa Kochanowskich zamku, w którym warunki mieszkaniowe były trudne.

Pod koniec kończącej się dzierżawy pomieszczeń w Pleszowie salezjanom udało się nabyć od hrabiego Zdzisława Tarnowskiego z Dzikowa niewielką realność z domem położonym wtedy nad samą Wisłą pod Krakowem. Do zakupionego domu zwanego przez salezjanów „Łosiówką” we wrześniu 1918 roku przenieśli się z Pleszowa klerycy studiujący filozofię i zamieszkali razem z tymczasowo przebywającymi tu również nowicjuszami, dla których z powodu braku miejsca na Łosiówce poszukiwano innego pomieszczenia na zorganizowanie nowicjatu.<sup>9</sup>

W tej trudnej sytuacji, mimo trwających jeszcze działań wojennych, ks. inspektor Piotr Tirone nawiązał kontakt z panią Zofią Wysocką z Polanki, by wydzierżawić od niej znajdujący się w Kleczy Dolnej koło Wadowic folwark dworski wraz z przynależną do niego ziemią. Niestety, wspomniany folwark z zabudowaniami i ziemią okupowały wojskowe władze austriackie, które, jak wynika z pisma dowództwa austriackiego z siedzibą w Morawskiej

---

<sup>9</sup> Codex Iuris Canonici Auctoritate Ioannis Pauli PP. II Promulgatus, Libreria Editrice Vaticana 1983; can. 646, 648; Kronika Salezjańskiego Nowicjatu w Pleszowie 1916-1917 r., s. 1; Dwudziestopięciolecie działalności salezjanów w Polsce 1898-1923, Mikołów 1923 – Studentat Filozoficzny w Krakowie, s. 55; Tamże, Zakład Salezjański w Daszawie, s. 33; Tamże, Nowicjat w Kleczy Dolnej, s. 59; J. Krawiec, Powstanie Towarzystwa..., cyt., s. 114-116.

Ostrawie, nie tylko 23 kwietnia 1918 roku jeszcze dwór okupowały, ale na razie wojsko austriackie nie miało zamiaru opuścić zagarniętej posiadłości. Mimo tej trudności, z powodu poniesionej w wojnie klęski konającej potęgi monarchii austriackiej, już 1 października 1918 roku salezjanie podpisali z panią Zofią Wysocką kontrakt dzierżawy o następującej treści:

### KONTRAKT DZIERŻAWY

1. „JWna p. Zofia ze Sławińskich Odrowąż Wysocka wypuszcza w dzierżawę Zgromadzeniu XX Salezjanów w Oświęcimiu, a Zgromadzenie XX Salezjanów w Oświęcimiu bierze w dzierżawę dobra tabularne Klecza dolna i Klecza średnia część I i część II objęte wykazami hipotecznymi L. 266-267-268 księgi tabularnej c.k. Sądu Obwodowego w Wadowicach z wyłączeniem jednak parcel i przedmiotów wyszczególnionych w ustępie 2gim tego kontraktu – o łącznym obszarze 242 h. 61 a. 78 m. czyli 421 morgów 963 sążnie kw. Wraz ze wszystkimi przynależnościami na dwanaście (12) lat od dnia 1 października 1918 roku do włącznie dnia 30 września 1930 roku za umówionym rocznym czynszem dzierżawnym licząc po 70 K za każdego morga w łącznej sumie 29500 K. wyraźnie dwadzieścia dziewięć tysięcy pięćset koron płatnym z góry w ratach półrocznych po 14750 K.”

Dalej Umowa dokładnie podaje na 10 stronicach obowiązki i prawa wydzierżawiającego właściciela oraz obowiązki i prawa dzierżawcy, gdzie jest powiedziane m.in.: „Dzierżawca obowiązany jest prowadzić gospodarstwo ze starannością dobrego i porządnego gospodarza i dążyć do podniesienia stanu i do rozwoju tego gospodarstwa.”<sup>10</sup>

---

<sup>10</sup> ASIK A 41 Te. Klecza Dolna – Dzierżawa 1918-1920; Kontrakt Dzierżawy z 1 X 1918 r., s. 1-10; Tamże, Odpowiedź ks. Prowincjałowi

Salezianie zgodnie z umową, po wyprowadzeniu się wojska austriackiego, w trudnych warunkach, ale już w wolnej i niepodległej Polsce objęli zabudowania dworskie z ziemią przygotowując powoli zabudowania do umieszczenia w nim nowicjatu, którego dyrektorem i mistrzem nowicjuszków został mianowany ks. Wojciech Balawajder a prefektem ks. Józef Strauch, którym do pomocy ks. inspektor dał jeszcze innych kapłanów i koadiutorów, by pomagali formować i wychowywać mających przybyć do nowicjatu w Kleczy zgłoszonych kandydatów.

Zygmunt Kuzak, przyjęty do nowicjatu, po krótkich wakacjach z radością udał się do Oświęcimia, gdzie razem z innymi kandydatami w dniach od 14 do 23 lipca 1919 roku odprawił rekolekcje święte. Po odprawionych rekolekcjach z 16 nowicjuszami udał się 24 lipca do nowicjatu w Kleczy Dolnej, gdzie bardzo serdecznie zostali przywitani przez przełożonych na czele z ks. dyrektorem i magistrem. Najwięcej nowicjuszków przybyło z Oświęcimia, bo aż 15. Z Jugosławii przyjechało 11, wśród nich był jeden kapłan, oraz 7 z Daszawy. We wrześniu dojechało jeszcze kilku kandydatów, tak że dnia 17 września 1919 roku w nowicjacie w Kleczy Dolnej przebywało 40 nowicjuszków.

Mimo że wioska Klecza Dolna położona blisko Wadowic ma malowniczy krajobraz, zdrowe powietrze górskie, piękny widok na wznoszące się od wschodu i południa pagórki podnóża karpackiego, to jednak przybyli nowicjusze z oświęcimskiego dużego zakładu posiadające wygodne jasne sale, elektryczne oświetlenie, centralne ogrzewanie, łazienki kanalizację, wielki korytarz i obszerne boiska sportowe, byli rozczarowani widokiem starego niewielkiego pałacu państwa Wysockich z Polanki oraz murowanym

---

Salezjanów w Oświęcimiu na pismo z dnia 19 III 1918 roku, s. 4; KUK Militärkommando Lemberg In Mähr Ostrau z 23 IV 1918 roku.



budynkiem folwarcznym i ogromnymi stajniami, w których podczas wojny światowej stały konie wojska austriackiego.

Nowicjusze, idący za głosem swego powołania, nie zniechęcali się zdewastowanymi przez wojsko austriackie zabudowaniami, częściowo już naprawionymi, ale przystąpili z wielkim zapałem do ich adaptowania do potrzeb nowicjatu.<sup>11</sup>

Trudną i mozolną pracę rozpoczęto od przygotowania i wyposażenia kaplicy domowej, w której na siedząco mogło się pomieścić kilkadziesiąt osób. Skromnie wyposażona i odnowiona kaplica stała się centrum życia religijnego i duchowego mieszkańców nowicjatu urozmaiconego i ubogaczonego uroczyscie odprawianymi nabożeństwami liturgicznymi.

Niezależnie od urządzania kaplicy i wnętrza domu, postanowiono wykorzystać dwie ogromne stajnie, w których przebywały wojskowe konie armii austriackiej. Jedną przeznaczono na oborę dla krów, koni, trzody chlewnej i drobiu gospodarstwa, a w drugiej zdecydowano urządzić salę rekreacyjną dla nowicjuszków oraz salę teatralną, która na razie była cała pokryta grubym „dywanem” mocno ubitego nawozu końskiego i warstwą suchej twardej mierzwy ubitej kopytami setek stojących tu kiedyś koni. Podczas kilkudniowego wywożenia ubitej mierzwy nowicjusze dotarli do znajdującej się pod „dywanem” nawozu polepy, która dla nowych użytkowników miała służyć na razie jako twarda „podłoga”. W dużym odnowionym i odczyszczonym pomieszczeniu zbudowano również scenę, którą z powodu braku desek usypano z ziemi i od widowni oddzielono drewnianą boazerią.

---

<sup>11</sup> Nowicjat w Kleczy Dolnej, w: 25-lecie..., cyt., s. 59 i 60; Archiwum Nowicjatu w Czerwińsku nr 21 – Kronika Nowicjatu Salezjańskiego w Kleczy Dolnej 24 VII, 1 IX 1919 roku; Z. Kuzak, Klecza Dolna, cyt., s. 1 i 3.

W powstałej sali rekreacyjnej nowicjusze nie tylko spędzali wolny czas, ale od 13 listopada 1919 roku urządzali akademie ku czci św. Stanisława Kostki, Niepokalanej, Wspomożycielki Wiernych oraz grali różne przedstawienia: Syn Marnotrawny, Jasełka, Misterium Męki Pańskiej, na które bardzo licznie przychodzili nie tylko mieszkańcy Kleczy ze swoim proboszczem Franciszkiem Miśkowcem, ale również z innych wiosek, a nawet z Wadowic.

Do salezjańskiego „teatru”, jedynego w okolicy, wierni bardzo chętnie przychodzili lub przyjeżdżali ze swoimi duszpasterzami, nie tylko dlatego, by tu głębiej przeżyć historię naszego odkupienia, szczególnie podczas Misterium Męki Pańskiej, ale by spokojniej i pogodniej przeżyć bardzo trudne warunki życia w wolnej i niepodległej ojczyźnie, mężnie i bohatersko walczącej o swoje słuszne prawa i granice państwa.

W budynku folwarcznym, który znajdował się w zaniedbanym, ale bogatym w drzewostan ogrodzie było latem miło i przyjemnie. Na parterze znajdowała się kaplica, jadalnia i kuchnia. Na piętrze były: studium dla nowicjuszków, pokoje dla przełożonych i sypialnia dla nowicjuszków, w której w zimie z powodu złych starych pieców temperatura była tak niska, że przyniesiona wieczorem do domu z drewnianego wodociągu woda znajdująca się w wiadrach i miednicach w nocy zamarzała i nowicjusze nie mieli się rano czym umyć. Mimo tej niskiej temperatury nowicjusze nie odczuwali zimna, gdyż mieli dużo koców, które chroniły ich przed zimnem. Warunki sanitarne pozostawiały dużo do życzenia, gdyż nie było umywalk ani łazienek. Studium znajdujące się na piętrze było przyjemne i dobrze ogrzewane nie tylko przez kaflowy piec, ale również przez duże lampy naftowe, które nie tylko jasno oświetlały pomieszczenie, ale częściowo je również ogrzewały.

Najgorzej – można powiedzieć tragicznie – przedstawiała się sytuacja żywienia i utrzymania personelu przebywającego

w nowicjacie w Kleczy Dolnej. Porcje żywności – głodowe – były ściśle wymierzane. Na śniadanie nowicjusze otrzymywali kawę bez cukru zabarwioną odrobiną mleka oraz niewielką kromkę suchego chleba bez masła, smalcu lub margaryny. Na obiad każdy otrzymywał talerz chudej zupy, a na drugie danie w określonej ilości ziemniaki z kapustą, burakami lub grochem i tylko we czwartek oraz w niedziele otrzymywali nowicjusze na obiad odrobinę jakiegoś mięsa. Mimo tak skąpego pożywienia przełożeni i nowicjusze nie narzekali ani się nie buntowali, bo zdawali sobie sprawę, że w wolnej niepodległej ojczyźnie wszyscy prawie Polacy mieszkający w miastach, a nawet na wioskach żyjąc w nędzy i głodzie byli dziesiątkowani przez zakaźne choroby, a głównie czerwonkę, która zaatakowała również wielu nowicjuszów, ale dzięki opiece medycznej i przestrzeganej diecie nie spowodowała wypadku śmierci wśród chorujących. Dlaczego było tak źle? Odpowiedzi należy szukać w fakcie, że nasi zaborcy podczas pierwszej wojny światowej nie tylko krwawo ze sobą walczyli, głównie na terenach jęczącej w niewoli Polski i z powodu przesuwającego się straszne-go frontu ze wschodu na zachód, a następnie z zachodu na wschód, wysadzali w powietrze mosty, niszczyli drogi, zakłady przemysłowe oraz palili i niszczyli zabudowania i chaty wiejskie, ale także pozostawiali bardzo często ograbioną ze wszystkiego ludność cywilną bez środków do życia. Rząd zorganizowany w zmartwychwstałej niepodległej Polsce musiał w bardzo trudnych warunkach troszczyć się o dostarczenie żywności głodującej, głównie w miastach, ludności oraz o utrzymanie liczącej przeszło 700 tysięcy armii polskiej, która przed Czechami broniła ziem Śląska Cieszyńskiego, przed Ukraińcami Lwowa, Litwinami Suwalszczyzny oraz z pomocą powstańców wypędziła przy użyciu siły okupantów pruskich z Wielkopolski oraz z części Górnego Śląska, a co najważniejsze w 1920 roku po bardzo ciężkich walkach zniszczyła i zdruzgotała

potężną armię bolszewicką, która pod wodzą marszałka Michała Tuchaczewskiego z polecenia Lenina miała ponownie zagarnąć i podbić nie tylko Polskę, ale opanować i zalać Europę.

W tej dramatycznej sytuacji wojsko polskie z polecenia władz z konieczności musiało przeprowadzać rewizje w większych i mniejszych gospodarstwach rolnych, konfiskując często chłopom ostatnie resztki zboża lub innych produktów żywnościowych, by ratować ludzi przed głodową śmiercią. Od przeprowadzanej rewizji nie był wolny również zdewastowany w czasie wojny dzierżawiony przez salezjanów majątek w Kleczy Dolnej. Salezjanie, troszcząc się o przebywających nowicjuszków, by nie cierpieli, a nawet nie umierali z głodu, podobnie jak inni rolnicy ukrywali w różnych miejscach resztki posiadanego zboża.

Pewnego razu nowicjusz Zygmunt Kuzak pełniący obowiązki zakrystiana spostrzegł rano, że w prezbiterium obok ołtarza jest rozsypane trochę pszenicznych ziaren. Skąd się tu wzięły? Kto je rozsypał?

Gdy uniósł nieco drewnianą mensę ołtarza, przekonał się, że z powodu spodziewanej rewizji z polecenia administratora kilku zaufanych nowicjuszków w nocy wypełniło pustą, zbitą z desek podstawę i podium ołtarza pszenicą, którą po przeprowadzonej przez wojsko rewizji zużyto na wypieczenie tak bardzo brakującego w zakładzie chleba.<sup>12</sup>

Mimo bardzo trudnych warunków, w których żyli nowicjusze polscy, słoweńscy i chorwaccy, w nowicjacie panowała bardzo miła, wesoła i rodzinna atmosfera, którą podtrzymywał wśród

---

<sup>12</sup> Z. Kuzak, Klecza Dolna, cyt., s. 2, 3, 5; J. Piłsudski 1867-1935, cyt., s. 104-108; Elenchus Venerabilis Cleri Dioeceseos Cracoviensis pro anno 1920, s. 51; J. Krawiec, Powstanie Towarzystwa św. Franciszka..., cyt., s. 131 i 132.

nowicjuszków ks. magister, spowiednicy zachęcający do pracy nad sobą i do świętości życia, oraz inni przełożeni uczący: liturgii, śpiewu gregoriańskiego, języka polskiego, łacińskiego, greckiego, włoskiego i innych przedmiotów, ale również starsi nowicjusze, którzy wstąpili do nowicjatu po odbytej służbie wojskowej w czasie pierwszej wojny światowej. Można powiedzieć, że ci starsi weterani wojenni, którzy walczyli w bardzo trudnych warunkach na froncie rosyjskim, francuskim i włoskim podtrzymywali na duchu nowicjuszków opowiadając swoim młodszym kolegom narzekającym na trudne warunki życia o swoich przeżyciach frontowych: jak nieraz w czasie ataku całymi godzinami leżeli w błotnistym dole wykopanym łopatką saperską, albo w czasie obrony stali w głębokich rowach strzeleckich w wodzie, błocie lub śniegu, broniąc się przed atakującym nieprzyjacielem, drzemiąc w nocy na siedząco, nakryci mokrym a nawet zmarzniętym kocem, głodni i spragnieni, gdyż zdarzały się wypadki, że z powodu rozbicia połowej kuchni lub bardzo silnego ataku i ostrzału nieprzyjaciela nawet w ciągu dwóch dni nie dostarczono do pierwszej linii frontu wycieńczonym i głodnym żołnierzom ani kilograma żywności. Niezależnie od różnych trudności i kłopotów wewnętrznych i domowych, niektórzy nowicjusze pod koniec nowicjatu nie tylko tragicznie przeżywali smutne wiadomości mówiące o klęsce armii polskiej, która rozbita w wielkiej panice i nieładzie wycofywała się na zachód, w kierunku Warszawy, ale obawiając się, że bolszewicka armia zaleje całą naszą ojczyznę, myśleli nawet o chwilowym zdjęciu sutanny, by jako ochotnicy wstąpić do wojska i bronić przed ateistycznym komunizmem i bolszewizmem zagrożoną ojczyznę. Tych gorliwych patriotów przełożeni, a głównie byli weterani wojenni przekonywali, by tego nie czynili, gdyż dziesięciu a nawet więcej ochotników-żołnierzy nie zmieni trudnej sytuacji frontowej, ale powinni modlić się za ojczyznę i jak najlepiej przygotować

się do kapłaństwa, gdyż na pewno w wolnej i niepodległej Polsce będą bardzo potrzebni, by jako kapłani-salezjanie uczyć młodzież miłości Boga i swojej drogiej ojczyzny, żyjąc nadzieją, że po profesji zakonnej udadzą się do Krakowa, gdzie będą lepsze warunki do dalszego urabiania swoich charakterów i zdobywania wiedzy.

Przełożeni patrząc na nowicjuszków uczących się oraz pomagających w pracy w polu, podziwiali ich zdecydowaną i silną wolę pójścia za Chrystusem powołującym ich do swojej służby, gdyż tylko dwóch, a raczej jeden nowicjusz opuścił nowicjat, bo drugi, odchodząc smutny z nowicjatu, na przyszły rok do niego powrócił i został salezjaninem, co dotąd nie zdarzyło się w żadnym nowicjacie, by podczas rocznej próby nowicjackiej tylko jeden kandydat opuścił szeregi nowicjuszków usiłujących iść za głosem swojego powołania.

Mimo bardzo trudnych warunków czas próby nowicjackiej bardzo szybko upłynął i nowicjusz Zygmunt Kuzak razem z innymi nowicjuszami złożył na ręce ks. inspektora Piotra Tirone 31 lipca 1920 roku w Kleczy Dolnej czasową – trzyletnią profesję zakonną oddając się całkowicie w ofierze umiłowanemu Bogu w Zgromadzeniu Salezjańskim, w którym postanowił pracować i uświęcać się aż do końca ziemskiego życia.<sup>13</sup>

---

<sup>13</sup> ASIK A 42 Te. Sprawozdanie kasowe domu Klecza Dolna z 1919-1925 roku wysłane do Turynu w języku włoskim; Tamże, Te. 2025/37 Dokumenty – zaświadczenie złożonej profesji zakonnej kl. Z. Kuzaka, Foglio di... nr 00228; Osobiste ustne wspomnienia ks. Z. Kuzaka; J. Krawiec, Powstanie Towarzystwa Salezjańskiego, cyt., s. 132.

#### **4. Dalsza formacja w Salezjańskim Instytucie Filozoficznym w Krakowie**

Po złożeniu pierwszej profesji zakonnej, którą nowicjusze przeżyli bardzo głęboko i bez niepotrzebnych roztargnień, gdyż nie było wtedy zwyczaju zapraszania na tę uroczystość żadnych gości, oraz podziękowaniu przełożonym za trud formacyjny, jako młodzi współpracownicy opuścili Kleczę i wyjechali pociągiem przez Wadowice i Kalwarię Zebrzydowską do zabytkowego Krakowa. Z okien przejeżdżającego pociągu przez Borek Fałęcki z wielką ciekawością klerycy oglądali z daleka wystające ponad drzewa parku dwie wieżyczki dawnego zamku – Łosiówki w którym mieli zamieszkać.

Gdy po chwili młodzi pasażerowie wysiedli na dworcu Głównym, z radością, z niewielkim bagażem w rękach, przechodząc przez rynek Główny oraz most Dębnicki podziwiali nie tylko Sukiennice i zabytkowe kościoły Krakowa, ale przede wszystkim zabytkowe mury i zabudowania zamku wawelskiego z górującymi nad nim wieżami Katedry Wawelskiej, kąpiącymi się w blaskach powoli zachodzącego słońca. Gdy z mostu skręcili w prawo i zaczęli z trudem iść najpierw wzdłuż naprawionego wału Wisły błotnistą drogą prowadzącą do Tyńca, ich wrażenia powoli się zmieniły. Po prawie godzinnym forsownym marszu dotarli wreszcie do celu, tj. leżących nad brzegiem płynącej Wisły zabudowań zabytkowej Łosiówki. Pierwotna budowla miała 27 m długości i 16 m szerokości, a dobudowane przez salezjanów skrzydło powiększyło ją o dalsze 13 metrów długości i 14 metrów szerokości. Po serdecznym powitaniu przez nowych przełożonych, rozpakowaniu się i kilkudniowym pobycie, nowi mieszkańcy przekonali się, że mimo iż Łosiówka ma piękne położenie z widokiem na Wawel, klasztor Sióstr Norbertanek, kopiec Kościuszki, klasztor OO.

Kamedułów na Bielanach, Krzemionki i klasztor OO. Reformatów na Podgórzu, to jednak warunki życia i pracy niewiele się w niej różnią od trudnej sytuacji z jaką się spotkali w Kleczy Dolnej.

Dojście z miasta do Łosiówki, jak już wspomniałem, było fatalne. Domów w pobliżu ani istniejących dzisiaj bloków i innych zabudowań nie było. Autobusy były jeszcze nieznanne i dlatego ludzie nawet z Tyńca, Kostrza i innych miejscowości do miasta chodzili pieszo, a zamożniejsi dojeżdżali wozami. Małe gospodarstwo prowadzone przez salezjanów i uprawiany ogród, który klerycy pomagali uprawiać, nie dostarczały im wystarczającej ilości produktów żywnościowych, a ks. inspektor z powodu braku funduszy nie mógł wiele wspierać materialnie istniejących domów formacyjnych. W tej trudnej sytuacji warunki życia dla przeszło sześćdziesięciu współbraci mieszkających na Łosiówce w Krakowie nie były wiele lepsze niż w nowicjacie w Kleczy Dolnej. Pożywienie było bardzo słabe i racjonowane. W niedzielę na obiad klerycy otrzymywali regularnie tzw. płucka, a w czwartek cienki plasterk kielbasy. Do potrawy często zamiast sosu podawano zupę. W święta jedzenie było nieco lepsze i nie tak ściśle wydzielone. Klerykom brakowało bielizny i skarpetek, w otrzymanych w nowicjacie sutannach chodzili tylko w niedziele, natomiast dni powszednie używali starych sutann przysłanych z innych domów. Niektórzy klerycy, kiedy chcieli wyjść na miasto, pożyczali od kl. Kuzaka nową sutannę, którą sprawiła mu matka. Na szczęście dom posiadał bieżącą wodę, którą każdego dnia z głębokiej studni pompowało 8 kleryków do basenu znajdującego się na jednej z wieżyczek, skąd była rozprowadzana rurami po całym domu. Życie w tych trudnych warunkach powodowało częste zachorowania, tak że kilku z kleryków w czasie studiów lub podczas asystencji zmarło na gruźlicę. Ponadto położona nad Wisłą Łosiówka z dala od innych zabudowań nie była bezpieczna. Niekiedy nawiedzali



ją bandyci, uzbrojeni w broń palną. Pewnej nocy pobiwszy dotkliwie ks. Krygiera oraz grożąc bronią ks. Harazimowi i klerykom zabrali pieniądze, zegarki i inne rzeczy. Między innymi w Wigilię Bożego Narodzenia i Wielkanocy weszli w nocy przez piwnicę do kuchni i jadalni i zrabowali przygotowane na święta pokarmy, co spowodowało, że mieszkańcy Łosiówki po głęboko przeżytych uroczystościach liturgicznych, podczas świąt siedzieli w jadalni przy prawie pustych stołach.

W tych niebezpiecznych warunkach przełożeni postarali się o zezwolenie władz państwowych na posiadanie w seminarium broni. Prośba była uzasadniona, dlatego władze wyraziły zgodę na posiadanie w seminarium dwóch karabinów i amunicji. Klerycy, którzy nie służyli w wojsku, po pewnym przeszkoleniu, z karabinami na ramieniu w każdą noc patrolowali i pilnowali gmachu seminaryjnego oraz niewielkiego gospodarstwa.<sup>14</sup>

Niezależnie od wspomnianych różnych trudności, najgorszymi i najtragiczniejszymi dla mieszkających na Łosiówce przełożonych i kleryków były trzy miesiące: czerwiec, lipiec i sierpień 1920 roku, które bardzo nerwowo przeżył z innymi kl. Zygmunt Kuzak, pochodzący z zaboru rosyjskiego. Powodem tej – można powiedzieć – tragedii narodowej były bardzo smutne i niepokojące wiadomości napływające z frontu wschodniego, którego ofensywa wojska polskiego po zdobyciu Kijowa nie tylko się załamała, ale po sześciu tygodniach panicznego wycofywania się całego frontu, bolszewicka armia licząca ponad 400 tysięcy żołnierzy znalazła się na przed-

---

<sup>14</sup> ASIK B 2849: Z. Kuzak, Kraków Tyniecka 39 „Łosiówka” 1920-1923 mps., s. 1, 2, 5; Osobiste ustne wspomnienia ks. Kuzaka o życiu i nauce na „Łosiówce” w latach 1920-1923; Studentat Filozoficzny w Krakowie, w: 25-lecie, cyt., s. 55 i 58; Elenco Generale della Societa di San Francesco di Sales, Antico Continente 1921, s. 61 i 62; 1922, s. 60 i 61.

mieściach Warszawy, której zdobycia armie bolszewickie były tak pewne, że wiozły ze sobą komunistyczny rząd, który po zdobyciu Warszawy pod przewodnictwem Juliana Marchlewskiego i Feliksa Dzierżyńskiego i innych komunistów miał w Polsce objąć władzę.

W tej dramatycznej sytuacji około 40 wychowanków przebywających w salezjańskim zakładzie w Daszawie wstąpiło ochotniczo do wojska, by bronić zagrożonej ojczyzny. Pozostali uczniowie 19 sierpnia 1920 roku, przed zbliżającym się bolszewickim frontem, opuścili dom i po kilku dniach tułaczki trzema wagonami towarowymi dotarli szczęśliwie do Kleczy Dolnej z nadzieją na szybki powrót do Daszawy zajętej przez bolszewików 20 sierpnia 1920 roku. Również tętniący życiem zakład salezjański w Różanymstoku, po zajęciu 20 lipca 1920 roku przez bolszewików Grodna, został zabrany przez utworzony „Komitet rewolucyjny”, a mieszkający w nim salezjanie, aby uniknąć aresztowania, ukrywali się w wiejskich chatach życzliwych katolików. Obok tych dramatycznych wydarzeń Polacy nie przechodzili obojętnie. Podobnie jak tysiące studentów, uczniów szkół średnich oraz alumnów seminariów duchownych, również 18 kleryków Instytutu Filozoficznego w Krakowie złożyło za zgodą przełożonych chwilowo sutannę i wstąpiło jako ochotnicy do wojska, by w błękitnej armii generała Józefa Hallera walczyć z komunistyczną i ateistyczną armią bolszewicką zalewającą naszą ojczyznę. Komendant Józef Piłsudski, patrząc w tych dramatycznych chwilach na jakieś dziwne zjednoczenie całego narodu i chęć bohaterskiej walki i obrony ojczyzny, powiedział: „Tej wojny nie przegramy, bo komunizm pasuje do Polski jak siodło do krowy”, a 1 sierpnia 1920 roku udając się z Warszawy do Puław, skąd miał dowodzić armią, która w sile pięciu wyborowych dywizji miała uderzyć znad Wieprza na tyły wroga atakującego Warszawę – żegnając się z żoną i córką z wiarą powiedział: „Wszystko jest w ręku Boga”. I rzeczywiście nie pomylił się, bo żołnierze

i ochotnicy polscy, porwani i rozpaleni ogniem walki, bronili zagrożonej ojczyzny, a w Warszawie, Częstochowie i we wszystkich świątyniach w Polsce modlono się o zwycięstwo. Brawurowe i huraganowe ataki polskich dywizji walczących na wszystkich frontach podczas tzw. „Cudu nad Wisłą” nie tylko rozbiły, zniszczyły i zdruzgotały bolszewickie armie, zabierając do niewoli z całym uzbrojeniem około 80 tysięcy bolszewików, ale po odniesionym zwycięstwie nad Niemnem zmusiły Moskwę po strasznej klęsce do niekorzystnej dla niej kapitulacji, ratując Polskę i Europę przed zalewem walczącego ateistycznego komunizmu. Odniesionym zwycięstwem wszyscy Polacy bardzo się cieszyli, a szczególnie przełożeni Instytutu Filozoficznego w Krakowie, gdyż 12 listopada 1921 roku powrócili szczęśliwie do seminarium wszyscy ochotnicy, którzy swoją pierś bohatersko bronili zagrożonej ojczyzny i wiary.<sup>15</sup>

Mimo wspomnianych trudności ekonomicznych i politycznych w seminarium życie normalnie toczyło się zgodnie z rozkładem dnia i zajęć. Kleryk Zygmunt Kuzak, zaraz po przyjeździe do Krakowa zabrał się ze swoimi kolegami do trudnej pracy naukowej. Mówię trudnej, gdyż zgodnie z programem klerycy nie posiadający matury musieli w ciągu trzech lat zdobyć maturę oraz ukończyć studium filozoficzne.

Pod przewodnictwem ks. dyrektora Tadeusza Kurpisa przełożeni wykładający filozofię stawiali słuchaczom duże wymagania. Ks. Kazimierz Matuszak i ks. Feliks Zamjen wykładali traktaty filo-

---

<sup>15</sup> J. Krawiec, *Cierpieć i być wzgardzonym*, Kraków 1999, s. 20-23; Tenże, *Działalność salezjanów w Daszawie*, w: *Wiadomości Inspekcyjne* listopad 2004, s. 35 i 36; *Daszawa*, w: *25-lecie*, cyt., s. 35; Tamże, *Różanostok*, s. 67; Tamże, *Studentat Filozoficzny*, cyt. s. 57; J. Piłsudski, cyt., s. 107-108; „*Pokłosie Salezjańskie*” nr 1(1921) s. 30.

zoficzne, ks. Aleksy Siara psychologię i logikę. Wykłady z filozofii były prowadzone w języku łacińskim, w którym studenci zdawali również przepisane egzaminy.

Księża przygotowujący kleryków posiadających tylko małą maturę do złożenia dużej matury uczyli: ks. Adam Ciešlar historii, ks. Ignacy Jakubczyk języka niemieckiego, prowadził także lekcje dobrego wychowania, ks. Marcin Jankowski uczył języka łacińskiego i greckiego, ks. Stanisław Olszewski języka polskiego, ks. Ignacy Kuczkowicz fizyki, a ks. Stanisław Wójcik matematyki. Wymienieni i inni nauczyciele starali się jak najlepiej przygotować uczniów, którzy jako uczniowie prywatnego salezjańskiego gimnazjum zdawali dużą maturę w państwowym gimnazjum św. Anny w Krakowie i innych szkołach państwowych. Ponieważ profesorowie, szczególnie w Gimnazjum św. Anny w Krakowie, stawiali zdającym bardzo wysokie wymagania, dlatego do zdawania matury w seminarium dopuszczano tylko dobrze przygotowanych kleryków, wśród których w 1923 roku znalazł się kl. Zygmunt Kuzak, który bez trudności złożył egzamin dojrzałości, czyli dużą maturę. O wymaganiach, a może i pewnej niewyrozumiałości niektórych profesorów świadczy fakt podany przez ks. Zygmunta Kuzaka, który wspomina, że jeden z jego kolegów, zdolny i bardzo dobrze przygotowany do egzaminu, został zapytany podczas zdawania egzaminu z języka polskiego przez profesora A. Butrymowicza: „kto nauczył nas Dziesięciu Przykazań Bożych”? Zdenerwowany uczeń bez zastanowienia się pewnie powiedział: Pan Jezus. Po tej odpowiedzi profesor jeszcze raz powtórzył to samo pytanie i otrzymał taką samą odpowiedź, po której profesor już nie pytał dalej, ale dał mu ocenę niedostateczną. Podczas konferencji, mimo że inni profesorowie bronili „spalonego” ucznia, który u nich bardzo dobrze odpowiadał, to jednak profesor Butrymowicz nie ustąpił i kolega

musiał po raz drugi w jesieni przystąpić do matury, którą zdał bez najmniejszych trudności.

Wspomniane kłopoty związane ze zdawaniem dużej matury wkrótce się skończyły, gdy prywatne gimnazjum istniejące przy Salezjańskim Instytucie Filozoficznym w Krakowie, po kilku wizytacjach przeprowadzonych przez przedstawicieli Kuratorium w Krakowie otrzymało w 1925 roku pełne prawa szkół państwowych pod nazwą: Gimnazjum Męskie im. Franciszka Salezego Ks. Ks. Salezjanów w Krakowie. Otrzymanie przez gimnazjum praw państwowych było ważnym wydarzeniem nie tylko dla uczących się kleryków, ale i dla Zgromadzenia Salezjańskiego w Polsce, którego klerycy nie musieli zdawać matury przed obcymi, różnie nastawionymi profesorami, ale przed swoimi nauczycielami, którzy starali się dobrze przygotować alumnów nie tylko do egzaminu dojrzałości, ale również do praktycznego życia salezjańskiego, przez organizowanie różnych występów i akademijek oraz dobrze zorganizowanego przez ks. Antoniego Guzika chóru kleryckiego, który często śpiewał w kościele parafialnym na Dębnikach i w wielu innych klasztorach i kościołach Krakowa, w których z okazji różnych uroczystości występowała również dobrze grająca salezjańska orkiestra dęta.<sup>16</sup>

---

<sup>16</sup> Z. Kuzak, Kraków Tyniecka 39, cyt., s. 3 i 4; Elenco Generale. cyt., 1921 rok, s. 61; Ks. Waldemar Żurek, Salezjańskie szkolnictwo ponadpodstawowe w Polsce 1900-193, Lublin 1996, s. 69-70.

## 5. Asystencja

W Towarzystwie św. Franciszka Salezego, zgodnie z Konstytucjami i Regulaminami Ogólnymi, klerycy zdążający do kapłaństwa i koadiutorzy, po ukończeniu w seminarium filozofii mają pod kierunkiem doświadczonych wychowawców odbyć praktykę wychowawczo-pedagogiczną w salezjańskich zakładach, która obecnie trwa zazwyczaj dwa lata. Dawniej praktyka ta zwana asystencją trwała trzy lata. Podczas praktyki pedagogicznej młodzi współpracownicy mogą się praktycznie bliżej zapoznać z salezjańskim systemem wychowawczym, zwanym uprzedzającym, oraz przekonać się, czy będą zdolni w przyszłości pełnić obowiązki wychowawców w salezjańskich zakładach i szkołach.

W salezjańskim systemie wychowawczym rola kleryka – asystenta jest bardzo ważna, gdyż asystent nie tylko w ciągu dnia ale i nocy znajduje się wśród wychowanków i jak starszy kolega pod kierunkiem doświadczonych wychowawców ma być bezpośrednim animatorem życia duchowego, religijnego i kulturalnego wychowanków. Można powiedzieć, że młodzi dobrze przygotowani i uformowani asystenci są duszą i „rozrusznikiem” w salezjańskich wspólnotach radosnego i religijnego życia młodzieży.<sup>17</sup>

Kleryk Zygmunt Kuzak, po ukończeniu filozofii w Krakowie i otrzymaniu świadectwa dojrzałości, w 1923 roku otrzymał od ks. inspektora Piotra Tirone list posłuszeństwa, na mocy którego został wysłany do macierzystego Zakładu Salezjańskiego w Oświęcimiu w charakterze asystenta uczniów działu ślusarskiego.

---

<sup>17</sup> Konstytucje Towarzystwa św. Franciszka Salezego, art. 115; Regulaminy Ogólne, art. 96; Regulaminy Towarzystwa Salezjańskiego, O asystentach, art. 210-216; J. Krawiec, *Cierpieć i być wzgardzonym*, cyt., s. 54.

Wyznaczenie kleryka Zygmunta na asystenta do największego zakładu salezjańskiego w Polsce sprawiło mu wielką radość, gdyż jako wychowanek tego zakładu znał w nim wielu przełożonych, zwyczajnie, zachowanie się uczniów oraz życie wśród młodzieży.

Klerykowi Zygmuntowi Kuzakowi, przybyłemu do Oświęcimia w 1923 roku na konferencji pedagogicznej wyznaczono asystowanie chłopców w pracowni, na rekreacjach, w sypialniach, na przechadzkach oraz z powodu braku personelu kwalifikowanego – nauczycieli dyplomowanych – nie tylko w szkole salezjańskiej w Oświęcimiu, ale i w innych organizowanych po wojnie szkołach państwowych, polecono mu uczyć w szkole rzemiosł liczącej około 200 uczniów: języka polskiego, fizyki, chemii i korespondencji przemysłowej.

Kierownikiem szkoły rzemiosł był ks. Franciszek Czapla, który z ks. katechetą Ignacem Antonowiczem, instruktorami i majstrami mogli się cieszyć nie tylko dobrymi wynikami naukowymi, ale również kilkoma powołaniami na koadiutorów.

Klerykowi Kuzakowi niezależnie od nauczania powierzono opiekę nad Hufcem przysposobienia wojskowego oraz razem z klerykiem Stanisławem Rokitą troskę nad teatrem zakładowym, tj. reżyserią różnych sztuk wystawianych na scenie zakładowej.

Kleryk Zygmunt, gorliwie pracujący wśród młodzieży w Oświęcimiu, szybko się spostrzegł, że w ciągu jego trzechletniej nieobecności w zakładzie niewiele się zmieniło. Zakład jak za jego czasów tętnił jak dawniej radosnym życiem i atmosferą salezjańską. Orkiestra zakładowa dęta licząca ponad 50 osób oraz smyczkowa – przeszło 50 grających wychowanków, razem z chórem zakładowym urozmaicały i uświetniały różne uroczystości kościelne i narodowe. Burmistrz miasta często zapraszał kapelę zakładową, by na stacji kolejowej w Oświęcimiu witała lub żegnała zacniejszych gości, których w imieniu władz miasta żegnał lub witał w ję-

zyku angielskim ks. Aleksander Kotuła. Również przedstawienia wystawiane na scenie zakładowej, a szczególnie Jasełka i Misterium Męki Pańskiej, ściągały do Oświęcimia bardzo licznych wiernych i dobrodziejów salezjańskich.

Zorganizowane i dobrze prowadzone w zakładzie towarzystwa religijne: Niepokalanej, Najśw. Sakramentu i Towarzystwo Misyjne, wśród których wyróżniał się gorliwością i działalnością uczeń Józef Kowalski, przyszyły błogosławiony, męczennik obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, zamordowany w sposób okrutny 4 lipca 1942 roku w Oświęcimiu, przyczyniały się do rozwoju i pogłębienia życia religijnego w zakładzie.

Ks. inspektor Piotr Tirone widząc, że kleryk asystent Zygmunt Kuzak i jego kolega kl. Stanisław Rokita świetnie sobie radzą z prowadzeniem lekcji, asystencją i prowadzeniem teatru wezwał ich do siebie i polecił, by niezależnie od dotychczasowych zajęć zapisali się w 1925 roku na studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie; kl. Rokita rozpoczął studia polonistyczne, a kl. Zygmunt historii, gdyż Zgromadzenie bardzo potrzebuje nauczycieli dyplomowanych.

Mimo że z tej decyzji i zapisania się kl. Kuzaka i kl. Rokity na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie dyrektor zakładu oświęcimskiego ks. Jan Świerc nie był bardzo zadowolony, to jednak ks. radca szkoły Franciszek Czapla tak ułożył program zajęć i asystencji, że zapisani studenci ucząc i asystując jak dotąd chłopców, mogli dwa razy w tygodniu wyjeżdżać z Oświęcimia na wykłady do Krakowa. Podczas nieobecności któregoś z nich zastępował jego kolega i inni przełożeni, którzy wyjeżdżających w różnych dniach tygodnia studentów wyręczałi w asystencji chłopców.

Kleryk Kuzak będąc równocześnie asystentem w zakładzie oraz studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, w każdy poniedziałek wstawał bardzo wcześnie rano i udawał się pieszo na dworzec



kolejowy w Oświęcimiu skąd o godz. 5.00 odjeżdżał pociągiem do Krakowa. Po przybyciu o godz. 7.00 do Krakowa zaraz z dworca spieszył do Collegium Novum, które już było otwarte. Od godz. 8.00 do 12.00 uczestniczył w wykładach i ćwiczeniach, po których udawał się na obiad do prowadzonego przez salezjanów Schroniska im. księcia Aleksandra Lubomirskiego przy ul. Rakowickiej nr 27. Po obiedzie o godz. 16.00 szedł na wykłady lub do czytelnicy, gdzie się uczył do godz. 20.00. Koło godz. 20.30 spożywał w zakładzie kolację, po której razem z chłopakami udawał się do kaplicy na modlitwy i spoczynek. Ponieważ krakowski zakład był przepelniony wychowankami, polecono kl. Zygmuntowi sypiać w infirmerii, tj. zakładowym szpitaliku, który był nieogrzewany i wyposażony w puste bez pościeli łóżka, bo gdy zachorował jakiś chłopiec – co zdarzało się bardzo rzadko – przynosił do szpitalika własną pościel. W pierwszych tygodniach swoich przyjazdów zmęczony kl. Zygmunt kładł się na pustym łóżku bez prześcieradła, koca i poduszki. Pod głowę kładł teczkę z książkami i śpiąc w ubraniu nakrywał się swoim płaszczem. Po pewnym czasie kl. Kuzak otrzymał dwa stare koce, pod którymi spał. Jakże się zdziwił, gdy pewnej nocy wszedł do szpitalika zmartwiony ks. administrator Wojciech Pływaczyk i przepraszając śpiącego kleroika poprosił go, by mu pożyczył jeden koc, gdyż chce nim okryć zziębniętego chłopca, który zmoknięty i zmarznięty w nocy zapukał do zakładu prosząc serdecznie, by się mógł w schronisku salezjańskim przemocować. Gdy nadeszła zima, z nieogrzewanego szpitalika przeniesiono kl. Zygmunta do pokoju gościnnego, w którym było miło i ciepło. Po dwóch dniach trudnych zajęć w Krakowie zmęczony student późnym wieczorem wracał do zakładu około północy, by następnego dnia rozpocząć regularne zajęcia szkolne i asysten-

cję, po której drugi raz rano jechał do Krakowa na wykłady i tego samego dnia późno w nocy wracał do Oświęcimia.<sup>18</sup>

Ponieważ rozpoczęty i ukończony 1925/26 rok akademicki przez studiujących i normalnie pracujących w zakładzie oświęcimskim kleryków Zygmunta Kuzaka i kl. Stanisława Rokitę nie przyniósł spodziewanych rezultatów, gdyż nie pozdawali wszystkich egzaminów, następcą ks. inspektora Piotra Tirone, ks. inspektor Antoni Hlond przeniósł kl. Stanisława Rokitę i kl. Zygmunta Kuzaka do Krakowa w charakterze studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kl. Rokita zamieszkał na Łosiówce w Krakowie, a kl. Zygmunt Kuzak w Schronisku księcia Aleksandra Lubomirskiego przy ul. Rakowickiej 27. Ks. dyrektor Adam Cieślar bardzo serdecznie powitał i przyjął przysłanego do zakładu współbrata, choć panowały tu bardzo trudne warunki. Dlaczego w tym pięknym, majestatycznym i okazałym gmachu życie było tak trudne?

Dlatego, bo prowadzony przez salezjanów zakład wychowawczy został podczas pierwszej wojny światowej w 1914 roku zajęty przez wojsko austriackie na szpital wojskowy, w którym po 1915 roku leczono setki żołnierzy chorujących głównie na choroby zakaźne, a po wojnie był siedzibą zorganizowanego w nim Kuratorium, które na usilne prośby salezjanów, pragnących kontynuować dobroczynną działalność dla biednych i opuszczonych dzieci i młodzieży, przekazało salezjanom zabudowania zakładu. W uroczystym przekazaniu zakładu salezjanom, które się odbyło 17.10.1925 roku, uczestniczył ks. biskup Adam Sapieha, wojewoda Kowalkowski oraz ks. generał Filip Rinaldi, który w tych dniach wizytował domy salezjańskie w Polsce.

---

<sup>18</sup> ASIK B 2849: Z. Kuzak, Oświęcim-Kraków, mps., s. 1-2; W. Żurek, Salezjańskie szkolnictwo, cyt., s. 59, 62; J. Krawiec, Cierpieć i być wzgardzonym, cyt., s. 28, 33, 159.

Dyrektorem otwartego nowego zakładu został mianowany ks. Adam Cieślar, który z pomocą innych współbraci z wielką gorliwością i entuzjazmem zabrał się w bardzo trudnych i opłakanych warunkach do przystosowania pięknego na zewnątrz, okazałego, ale pustego gmachu do potrzeb internatu dla dzieci nie posiadających rodziców lub pochodzących z bardzo ubogich rodzin.

W tych trudnych warunkach wyposażenie zakładu w potrzebne sprzęty, a przede wszystkim utrzymanie około 150 wychowanków nie było sprawą łatwą. Skromne urzędowe dotacje oraz okazjne ofiary od różnych dobrodziejów nie wystarczały na utrzymanie chłopców, z których wielu za przebywanie w zakładzie nie płaciło nic, albo było utrzymywanych za bardzo niską opłatę. Dobry, kochający młodzież ks. dyrektor Cieślar, nie pytał chłopców proszących o przyjęcie o zapłatę, ale z pomocą współbraci a nawet innych chłopców starał się o potrzebne źródła finansowe, by chłopcom przebywającym w schronisku, uczęszczającym do różnych szkół lub warsztatów w mieście nie brakowało chleba. W tej trudnej sytuacji ks. dyrektor Cieślar, znając zdolności przybyłego kleryka – studenta Zygmunta Kuzaka, zwrócił się do niego z prośbą, by niezależnie od studiów zajął się w zakładzie organizacją i prowadzeniem różnych przedstawień teatralnych, z okazji których wierni będą składać ofiary na potrzeby znajdującego się w bardzo trudnych warunkach zakładu wychowawczego.

Kleryk Zygmunt, prowadzący w Oświęcimiu wiele różnych spektakli teatralnych, zgodził się na przyjęcie tego bardzo czasochłonnego obowiązku. Po wyrażeniu zgody, musiał w zakładzie organizować różne akademijki religijne, oraz przygotować poważne spektakle teatralne. Była to praca na jedną osobę bardzo trudna, gdyż nie tylko musiał się starać o odpowiednie sztuki, ale je musiał rozpisać, dostarczyć różnym wybranym aktorom, a potem poprowadzić pracę reżyserską, co czyniono późnymi wieczorami, a na-

wet do 12 w nocy. Dzięki jednak zapałowi chłopców, którzy rwali się do występów, gdyż wiedzieli, że ofiary składane z okazji przedstawień idą na ich utrzymanie i inwestycje w zakładzie, przygotowano i wystawiono: „Jasełka”, „Misterium Męki Pańskiej”, operetkę „Pszonka”, i przedstawienie misyjne „Puszcza”. Niektóre przedstawienia wystawiano nie tylko w domu, ale także w teatrze miejskim „Bagatela” oraz w Oświęcimiu i Katowicach. Największym powodzeniem cieszyły się Jasełka i Męka Pańska. Biorący udział w przedstawieniach wierni a szczególnie zaproszeni zaniejsi i bogatsi goście, z okazji uczestniczenia w przedstawieniu składali nawet większe ofiary na potrzeby organizującego się Schroniska, które borykało się z różnymi trudnościami finansowymi.

Mimo tych różnych obowiązków kl. Zygmunt zajmował się zgodnie z poleceniem ks. Inspektora nauk. Regularnie uczęszczał na wykłady, zdawał u profesorów egzaminy oraz zaliczał kolokwia. Jeden z wykładowców, profesor Kot, wiedząc, że Zygmunt chwilowo przerwie studia na uniwersytecie i wyjedzie na studia teologiczne do Włoch, dał mu temat pracy doktorskiej do wyboru: „Kallimach” lub „Polacy we Włoszech”, którą po ukończeniu teologii i zakończeniu rozpoczętych studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim przedstawi do zatwierdzenia.

W tej sytuacji ks. inspektor, przerywając studia uniwersyteckie, zgodnie z Regulaminami Towarzystwa Salezjańskiego wysłał kl. Zygmunta Kuzaka i kl. Stanisława Rokitę do Włoch, do Międzynarodowego Instytutu Teologicznego w Turynie przy ul. Caboto 27, aby tam po złożonej 13.07.1926 roku wieczystej profesji zakonnej oraz ukończeniu studiów teologicznych mogli otrzymać święcenia kapłańskie i powrócić do Polski, by kontynuować rozpoczęte studia na państwowych uniwersytetach w swojej ojczyźnie, dające

im uprawienia państwowe do nauczania w salezjańskich zakładach i szkołach średnich.<sup>19</sup>

## **6. Studia teologiczne w Międzynarodowym Salezjańskim Instytucie Teologicznym w Turynie via Caboto 27**

Kleryk Zygmunt Kuzak, po szczęśliwym zakończeniu trzechletniej asystencji oraz rozpoczętych studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim, wyjechał razem z kl. Stanisławem Rokitą na krótki wypoczynek do zakładu salezjańskiego w Aleksandrowie Kujawskim, skąd ks. inspektor Antoni Hlond wezwał ich do Warszawy, i biorąc pod uwagę ich gorliwą pracę oraz brak asystentów – podsunął im myśl pozostania jeszcze jeden rok na asystencji i kontynuowania rozpoczętych studiów.

W tej sytuacji kleryk Zygmunt przypomniał ks. inspektorowi zapewnienie, że po trzech latach wyśle ich na studia teologiczne do Włoch, gdzie niezależnie od innych zajęć będą mogli spokojnie kontynuować studia teologiczne i przygotować się duchowo i intelektualnie do upragnionych święceń kapłańskich.

Ks. inspektor, wysłuchawszy zdania przybyłych kleryków, wyraził zgodę na ich wyjazd do Włoch, aby tam kontynuowali studia teologiczne. Zaraz po otrzymaniu zgody kl. Kuzak udał się do admi-

---

<sup>19</sup> Z. Kuzak, *Oświęcim-Kraków*, cyt., s. 3, 5, 6; Andrzej Świda, *Inspektorzy polskich prowincji salezjańskich*, Warszawa 1989, cz. 1, s. 86; Regul. Tow. Sal., art. 324-328; W. Żurek, *Dzieje fundacji księcia Aleksandra Lubomirskiego w Krakowie 1893-1950*, praca magisterska, Lublin 1981, mps., s. 21-23, 59, 60; Jacek Puchała, *Fundacja księcia Aleksandra Lubomirskiego w 100-lecie Gmachu Akademii Ekonomicznej w Krakowie*, Kraków 1993, s. 43; Z. Kuzak, *Kartoteka osobista* – cyt., s. 2.

nistratora inspektorii ks. Antoniego Kotarskiego z prośbą o pieniądze na podróż do Turynu. Po otrzymaniu 120 zł (bilety kosztowały 118 zł) oraz uzyskaniu wiz kl. Zygmunt w towarzystwie kleryków: Rajmunda Otahalika, Karola Lewandowskiego, Stanisława Rokity i Mariana Szczodrowskiego udali się pod koniec września pociągiem do słonecznej Italii.

Podczas celowo przerywanej podróży kl. Kuzak ze swoimi kolegami zatrzymali się w Wiedniu, Wenecji oraz z klerykiem Otahalikiem w Mediolanie, by zwiedzić zabytki tych sławnych historycznych miast.

Polaków przybyłych do Międzynarodowego Instytutu w Turynie na Crocetta bardzo serdecznie powitali przełożeni oraz studenci, szczególnie polskiego pochodzenia.

Międzynarodowy Instytut Teologiczny erygowany pod wezwaniem ks. Jana Bosko w Turynie przy ul. Caboto 27 – który nadal jest Międzynarodowym Instytutem św. Jana Bosko, w którym obecnie studiuje około 60 kleryków z różnych inspektorii – został zorganizowany w tym celu, by klerycy studiujący teologię, pochodzący z różnych krajów i kontynentów świata, nie tylko poznali kolebkę Zgromadzenia, ale otrzymali dobrą, głęboką formację duchową oraz przekonali się, że niezależnie od narodowości i rasy stanowimy jedną wielką rodzinę salezjańską złączoną ze sobą węzłem braterskiej miłości.

W Międzynarodowym Salezjańskim Instytucie Teologicznym w Turynie w 1927/28 studiowało 216 teologów z 47 narodowości, a wśród nich 23 Polaków. W 1928/29 Międzynarodowy Instytut Crocetta liczył 190 teologów, w tym 18 Polaków. W roku 1929/30 liczba ta spadła do 181 teologów, wśród których było 16 Polaków.

Dlaczego liczba kształcących się salezjanów, zwłaszcza Polaków, w Międzynarodowym Instytucie w Turynie tak bardzo szybko spadła? Odpowiedzią na to pytanie jest fakt, że ks. inspektor Anto-

ni Hlond, biorąc pod uwagę wysokie koszty związane z wykształceniem kleryków we Włoszech, zgodnie z 325 artykułem Regulaminów oraz uchwałami XIII Kapituły Generalnej w inspektorii św. Stanisława Kostki w Polsce, w 1929 roku otworzył swój własny Instytut Teologiczny w Oświęcimiu, w którym 11 kleryków polskich rozpoczęło swoje studia teologiczne na ziemi polskiej, a na studia do Włoch wysyłano tylko nielicznych kleryków z nadzieją, że będą oni w przyszłości profesorami lub formatorami polskich salezjańskich kleryków studiujących w Polsce.<sup>20</sup>

Dyrektorem Międzynarodowego Instytutu w Turynie w 1927 roku był dawny długoletni inspektor Ludwik Costa, a profesorami, którzy nie tylko swoją głęboką wiedzą, ale przede wszystkim przykładem własnego życia formowali duchowo swoich słuchaczy, byli:

Ks. Borasio Karol, obdarzony znakomitą pamięcią wykladał bardzo interesująco prawo kanoniczne prawie nie posługując się podręcznikiem.

Ks. Vismara wykladał dogmatykę, liturgikę i teologię ascetyczną z głęboką wiarą i umiłowaniem wykładanych przedmiotów.

Ks. Gennaro, posługując się swoim podręcznikiem napisanym z teologii moralnej, jasno i błyskawicznie rozwiązywał przedstawiane mu przez słuchaczy trudności i wątpliwości.

Ks. Mezzaca, wykładowca Pisma Świętego, ponieważ kilka lat przebywał w Ziemi Świętej, ubogacał swoje wykłady własnymi spostrzeżeniami.

---

<sup>20</sup> ASIK B 2849: Z. Kuzak, Włochy – Crocetta 1926-1930, mps., s. 2-4; Salesiani di don Bosco, Annuario 2005 volume primo Roma 2004, s. 331-332; Ks. Jacek Ryłko, Wyższe Seminarium Duchowne Towarzystwa Salezjańskiego w Krakowie „Łosiówce” w perspektywie stulecia obecności salezjanów w Polsce, w: Seminare nr 14 (1998) s. 64.

Ks. Nigara, wykładający historię Kościoła, bardzo dobry znawca swojego przedmiotu, w wielkim napięciu w czasie godzinnego wykładu trzymał słuchających go studentów.

Z innych profesorów również klerycy byli zadowoleni, bo mówili językiem prostym i zrozumiałym dla obcokrajowców. Wszystkie wykłady odbywały się w języku łacińskim i włoskim i w tych językach trzeba było zdawać przepisane egzaminy, z którymi kl. Kuzak nie miał trudności, gdyż wyjeżdżając do Włoch dość dobrze znał język łaciński i włoski.

Wykłady odbywały się w dwóch dużych pomieszczeniach: w większym dla triennium, czyli trzech kursów, i w nieco mniejszym dla kursu pierwszego. Oprócz wspomnianych sal, w których w godzinach popołudniowych klerycy przygotowywali się do wykładów, była obszerna aula, w której w razie potrzeby, odbywały się również wykłady, a z okazji różnych uroczystości spotkania i akademie.

Niezależnie od formacji intelektualnej, przełożeni wielką uwagę zwracali na formację duchową oraz dobre przygotowanie do życia praktycznego w zakładach i szkołach salezjańskich. Życie w zakładzie rozpoczynało się rozmyślaniami i Mszą świętą, po której następowało śniadanie.

Wyżywienie było dobre i smacznie przygotowane. Po obiedzie był czas rekreacji i studium a potem było czytanie duchowe z krótkim nabożeństwem eucharystycznym, po którym była kolacja, a po niej studium lub próby śpiewu, zakończone w kaplicy modlitwami wieczornymi i tradycyjnym „słówkiem” na dobranoc.

W każdą niedzielę klerycy, podobnie jak w innych domach salezjańskich, uczestniczyli w dwóch Mszach świętych. Rano we wspólnej Mszy św. a przed południem w uroczystej sumie ubogaconej pięknym śpiewem chóru kleryckiego. Po Mszy świętej i uroczystych nieszporach były wygłaszane homilie, a raczej bardzo interesująca i dobrze opracowana przez kaznodzieję egzegeza jakiegoś tekstu



odczytanego z Pisma św. na którą alumni z radością i ciekawością czekali. Inne praktyki religijne były regularnie, zgodnie z przepisami Ustaw i Regulaminów Towarzystwa Salezjańskiego, pobożnie odprawiane.<sup>21</sup>

Szarzyznę roku akademickiego rozpoczynającego się 1 października, a kończącego się święceniami kapłańskimi w pierwszą niedzielę lipca, urozmaicały i ubogacały przechadzki, wycieczki, a przede wszystkim różne bardzo uroczyste odprawiane uroczystości religijne.

Regularnie raz w tygodniu od obiadu do podwieczorku była przechadzka, która w miesiącach letnich była nieco przedłużona. Raz w roku organizowano całodniową autobusową wycieczkę, podczas której zwiedzano miejscowości historyczne oraz niektóre domy naszego Zgromadzenia we Włoszech. Podczas wakacji klerycy wyjeżdżali na wypoczynek do salezjańskiego domu znajdującego się w Ulks w Alpach. Kl. Kuzak z kl. Rokitą i kl. Mazerskim w 1928 roku wakacje spędzili w salezjańskim domu św. Bonifacego we Fulpmes koło Innsbrucka, wspinając się na wysokie pokryte lodowcem szczyty Alp. Drugie wakacje w 1929 roku kl. Kuzak spędził w Lyonie w Francji, by podksztalić się w języku francuskim, którego uczył się prywatnie podczas odbywanych studiów. W tym czasie wielu dygnitarzy kościelnych, tj. biskupów i kardynałów, odwiedzało Międzynarodowy Instytut Teologiczny w Turynie. Spośród gości najuroczyściej powitano ks. Kardynała Prymasa Polski Augusta Hłonda, o którym rozchodziły się plotki, że gdy został kardynałem, to już nie czuje się salezjaninem. Gdy dostojny purpurat w 1928 roku odwiedził Instytut Salezjański Crocetta, po wejściu na wielką aulę – gdzie byli

---

<sup>21</sup> ASIK: Kronika Salezjańskiego Instytutu Teologicznego 1929-1939, s. 1-4; Regul. Tow. Sal., art. 325; J. Krawiec, Zarys historyczny Salezjańskiego Instytutu Teologicznego w Krakowie, w: „Nostra” 2 (1962) s. 8; Z. Kuzak, Włochy-Crocetta, cyt., s. 4-6.

zgrupowani wszyscy przełożeni oraz klerycy – wyciągnawszy szeroko ramiona do zgromadzonych, rozpoczęli od zwrotu: „Carissimi Confratelli!” swoje piękne i serdeczne przemówienie, podkreślające wdzięczność i przywiązanie do Zgromadzenia Salezjańskiego, które go wykształciło i wychowało. Rozradowani i podniesieni na duchu współbracia obsypali go niemilknącą burzą oklasków i wiwatów, ciesząc się, że Prymas Polski August Hlond czuje się nie tylko salezjaninem, ale starszych i młodszych salezjanów uważa za swoich najdroższych braci.

Podczas swoich studiów w Turynie kl. Kuzak uczestniczył w wielu podniosłych uroczystościach religijnych, ale najgłębiej z nich przeżył uroczystą beatyfikację Sługi Bożego ks. Jana Bosko w Rzymie, tryumfalny pochód jego relikwii zorganizowany po beatyfikacji ulicami Turynu oraz uroczystą procesję Figury MBW Wiernych, którą organizowano każdego roku 24 maja ulicami Turynu.

Papież Pius XI, który osobiście znał ks. Jana Bosko, uwieńczył jego proces beatyfikacyjny rozpoczęty 3 czerwca 1900 roku ogłoszeniem go w Bazylice św. Piotra w Rzymie 2 czerwca 1929 roku błogosławionym Kościoła Katolickiego. Potężna bazylika nie pomieściła 60 tysięcy wiernych posiadających karty wstępu, dlatego wiele tysięcy przybyłych wiernych uczestniczyło w uroczystości stojąc na Placu św. Piotra przed bazyliką, która z polecenia papieża była razem z wielką kopułą przez całą noc precudnie iluminowana tysiącami ogromnych płonących kaganków oliwnych, podziwianych przez olbrzymią rzeszę zgromadzonych wiernych na Placu św. Piotra. Wśród rozmodlonych salezjanów i wiernych była również grupa pielgrzymów z Oświęcimia pod przewodnictwem ks. prałata i dziekana oświęcimskiego Jana Skarbka, który 15 czerwca o godz. 8.00 rano przywiózł pociągiem z Turynu do Oświęcimia relikwie bł. ks. Jana Bosko bardzo uroczysto powitane na dworcu kolejowym, skąd przy biciu dzwonów, dźwiękach grającej orkiestry, w uroczystej

procesji przeniesiono je do kościoła parafialnego, gdzie rozpoczęły się uroczystości religijne.

Po uroczystej beatyfikacji, w której kl. Zygmunt uczestniczył z całym Instytutem Teologicznym z Turynu, odbywały się uroczyste nabożeństwa ku czci bł. Jana Bosko w wielu świątyniach rzymskich.

Do uczczenia nowego błogosławionego ks. Jana Bosko szczególnie przygotował się Turyn przez uroczystą dziewięciodniową nowennę. Uroczyste nabożeństwo odprawiane każdego dnia, w którym uczestniczyła bardzo wielka rzesza wiernych, było ubogacone i urozmaicone występami chóru Międzynarodowego Instytutu Teologicznego w Turynie.

W niedzielę 9 czerwca po różnych nabożeństwach liturgicznych w godzinach popołudniowych cały Turyn wyległ na ulice, by oddać cześć błogosławionemu ks. Bosko, którego relikwie w pięknym sarkofagu w uroczystej procesji przewożono z Zakładu na Valsalice do oddalonej około cztery kilometry świątyni Maryi Wspomożenia Wiernych w Turynie.

Majestatyczna procesja, w której uczestniczyła niezliczona rzesza wiernych, posuwała się powoli ulicami miasta, na których dziesiątki tysięcy wiernych witało modlitwą, śpiewem i oklaskami relikwie błogosławionego Jana Bosko, które spoczęły w precudnie iluminowanej przez całą noc tysiącami palących się żarówek elektrycznych bazylice otoczonej niezliczoną rzeszą rozmodlonych wiernych.<sup>22</sup>

Ks. arcybiskup Turynu Ricardi, w obecności wielu zaproszonych biskupów i różnych dygnitarzy świeckich oraz zgromadzonego wielkiego tłumu wiernych, dokonał 9 czerwca 1868 roku uroczystej kon-

---

<sup>22</sup> Z. Kuzak, Włochy-Crocetta, cyt., s. 4, 6, 7, 14; Pietro Stella, Don Bosco nella storia della religiosità cattolica, volume III, Las-Roma 1988, s. 247-249.

sekcacji wybudowanej przez ks. Jana Bosko świątyni ku czci Matki Bożej Wspomożenia Wiernych, w której głęboko wierzącym i rozmodlonym wiernym nie tylko Matka Najświętsza udzielała wielu łask, ale doznawała szczególniejszego kultu. O wybudowanej wspaniałej majestatycznej Bazylice ks. Bosko powiedział: „Każdy kamień, każda ozdoba, oznacza jakąś łaskę, gdyż sama Maryja wybudowała sobie tę świątynię”.

Szczególniejszej czci doznawała Matka Najświętsza w wybudowanej świątyni w miesiącu maju, który każdego roku cały był poświęcony Wspomożyciele.

Wspaniałe uroczyste nabożeństwa, w których uczestniczyły wielkie rzesze wiernych, ubogacone i uświęcone w czasie nowenny przez klerycki chór Międzynarodowego Salezjańskiego Instytutu Teologicznego w Turynie, kończyły się po uroczystych Mszach świętych odprawionych w Uroczystość MBW Wiernych 24 maja w świątyni wspaniałą, tryumfalną procesją, w której uczestniczyło ponad sto tysięcy mieszkańców Turynu oraz pątników przybyłych z okolicy. W triumfalnym pochodzie zorganizowanym w godzinach popołudniowych uczestniczyli przedstawiciele wszystkich stanów: biskupi miejscowi i obcy, duchowieństwo Turynu, zakonnicy i zakonnice, różne organizacje katolickie i wielka rzesza wiernych. Uformowana procesja po opuszczeniu Bazyliki posuwała się wolno ulicami Wspomożycielki i Królowej Małgorzaty między szpalarami wiernych i rozśpiewanej rzeszy wiernych, którzy piękną figurę Wspomożycielki, stojącą wśród kwiatów na wielkiej udekorowanej platformie prowadzonej przez kolorowo ubranych paziów, witali okrzykami zachwytu i radości. Po wprowadzeniu pięknej figury MBW Wiernych do bazyliki i po zakończonym nabożeństwie, wierni zebrani w bazylice i przed świątynią do późnych godzin nocnych śpiewali pieśni religijne ku czci Wspomożycielki Wiernych.

Trzyletni pobyt kl. Zygmunta Kuzaka w Międzynarodowym Instytucie Teologicznym na Crocetta urozmaicany różnymi uroczystościami i przeżyciami duchowymi powoli dobiegał końca. Po otrzymaniu w 1929 roku subdiakonatu, a w 1930 diakonatu i zdaniu ostatnich egzaminów otrzymał 6 lipca 1930 roku w Bazylice MBW Wiernych w Turynie upragnione święcenia kapłańskie.

Usczęśliwiony neoprezbiter ks. Zygmunt Kuzak dzień swoich święceń przeżył bardzo głęboko – można powiedzieć – sam na sam z Chrystusem, gdyż nie było wtedy zwyczaju zapraszać na święcenia gości z dalekich krajów.

Po załatwieniu różnych formalności ks. Kuzak z 11 kolegami Polakami wyświęconymi na kapłanów udał się pociągiem do Polski zwiedzając w czasie podróży: Mediolan, Padwę, Wenecję, Gorycję i Zagrzeb.

Ks. Zygmunt Kuzak, po szczęśliwym przyjeździe do domu rodzinnego, otrzymaniu od szczęśliwych rodziców błogosławieństwa, zgodnie z tradycją polską odprawił w 3 niedzielę lipca 1930 roku w swoim kościele parafialnym w Przysusze uroczystą Mszę świętą prymicyjną, dziękując Bogu za łaskę powołania kapłańskiego, rodzicom za dobre katolickie i religijne wychowanie oraz za otrzymaną od Boga siłę i moc, że mimo piętrzących się różnych trudności doszedł szczęśliwie do upragnionego i wymodlonego przez matkę kapłaństwa w zgromadzeniu salezjańskim, by gorliwie pracować dla dobra duchowego wiernych, a zwłaszcza młodzieży.<sup>23</sup>

---

<sup>23</sup> Z. Kuzak, *Włochy-Crocetta*, cyt., s. 8, 20; Tenże, *Wspomożycielka św. Jana Bosko*, Wydawnictwo Salezjańskie, Warszawa 1937, s. 37; Z. Kuzak, *Kartoteka osobista*, cyt., s. 2.

## ROZDZIAŁ II

### PRACA NAUKOWO-DUSZPASTERSKA W LATACH 1930-1941

#### **1. Studia na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu**

Kilka dni po podniosłej uroczystości prymicyjnej ks. Zygmunt Kuzak, marzący o ukończeniu rozpoczętych studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, otrzymał od ks. inspektora Antoniego Hlonda list kierujący go na kontynuowanie studiów na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zmiana uczelni była dla młodego kapłana nieoczekiwanym i bardzo trudnym poleceniem, które bez większego oporu wykonał, gdyż domagało się tego dobro Zgromadzenia.

Ks. kardynał Prymas Polski Edmund Dalbor, który brał udział w 1923 roku w uroczystości 25-lecia działalności Zakładu Wychowawczego im. ks. Jana Bosko w Oświęcimiu, zapoznawszy się bliżej z pozytywną działalnością salezjanów wśród młodzieży, postanowił ich sprowadzić do stolicy Wielkopolski – Poznania, by zajęli się w tym rozwijającym się mieście młodzieżą, potrzebującą opieki i wychowania katolickiego.

Realizując ten program, ks. kardynał Dolbor zaproponował w 1926 roku ks. inspektorowi Antoniemu Hlondowi objęcie przez salezjanów ruin zabudowań dawnego klasztoru sióstr dominikanek z XV wieku razem z kościołem św. Katarzyny przy ul. Wronieckiej 9 w Poznaniu. Niestety, tak kościół, jak też i klasztor znajdował się w opłakanym stanie. W świątyni podczas wojny napoleońskiej w latach 1811-1814 żołnierze francuscy urządzili magazyn wódek i win, a Prusacy w 1822 roku zamienili ją na magazyn wojskowy, który jeszcze w wolnej i niepodległej Polsce służył za magazyn szmat i wełny. Ten cenny historyczny sprofanowany zabytek ks. kardynał postanowił oddać salezjanom, by przy pomocy społeczeństwa nie tylko go odbudowali, ale ożywili w nim życie religijne.

Ks. inspektor Antoni Hlond, po obejrzeniu zrujnowanego klasztoru i świątyni, mimo sprzeciwu niektórych współbraci, by nie przyjmować ruin, biorąc pod uwagę: życzliwość kardynała i mieszkańców Poznania, położenie klasztoru w centrum miasta, a zwłaszcza wielką liczbę młodzieży i dzieci potrzebujących pomocy i odpowiedniego wychowania, ufając Opatrzności Bożej, wyraził zgodę na objęcie ruin. Po wyrażeniu zgody przez ks. inspektora, ks. kardynał Dalbor dekretem z dnia 8 stycznia 1926 roku przekazał salezjanom ruiny kościoła i klasztoru, by rozwinęły w nim życie zakonne i religijne.

Do nowo erygowanego domu salezjańskiego w Poznaniu przy ul. Wronieckiej 9, pod wezwaniem MBW Wiernych, ks. inspektor Antoni Hlond wysłał jako przełożonego dobrego organizatora ks. Antoniego Śródkę, który w lutym 1926 roku z pomocą innych współbraci zabrał się energicznie do odbudowy ruin oraz zorganizowania w nich Oratorium Salezjańskiego mającego na celu dobre i religijne wychowanie dzieci i młodzieży, zwłaszcza tej, która wymaga większej troski.

Pierwszy przełożony zajął się przy pomocy różnych dobrodziejów odnowieniem zdewastowanego i zniszczonego kościoła, który nie tylko odrestaurował ale zbudował w nim trzy ołtarze: MB Wspomożenia Wiernych, Serca Pana Jezusa, Bł. ks. Jana Bosko, sprawił konfesjonały, ławki oraz wiszące ołtarzyki św. Teresy i św. Antoniego. Do odnowionego i obsługiwanego przez salezjanów kościoła ściągaly coraz to liczniejsze rzesze wiernych i dobrodziejów salezjańskich, którzy podziwiali i pozytywnie oceniali gorliwą pracę salezjanów wśród młodzieży, gdyż w miarę zwiększającej się liczby chłopców uczęszczających do Oratorium zmniejszyła się w centrum miasta na ulicach ilość wałęsającej się i rozchuliganionej młodzieży.

Salezjanie rozpoczynający pod przewodnictwem ks. Antoniego Śródki pracę w Oratorium przeżyli boleśnie śmierć swojego dobrodzieja i fundatora ks. kardynała Dalbora, która nastąpiła 13 lutego 1926 roku, zastanawiali się, jak zostaną potraktowani po jego śmierci.

Na szczęście po śmierci ks. kardynała Ojciec Święty Pius XI wbrew wszelkim przewidywaniom mianował 24 czerwca 1926 roku na konsystorzu arcybiskupem i metropolitą gnieźnieńsko-poznańskim i Prymasem Polski salezjanina biskupa śląskiego ks. dra Augusta Hlonda, który jak jego poprzednik popierał działalność



salezjanów – swoich współbraci – wśród opuszczonej młodzieży w Poznaniu.<sup>24</sup>

W 1934 roku na miejsce ks. Śródki, który wyjechał do Stanów Zjednoczonych, został mianowany dyrektorem domu w Poznaniu ks. Jan Kasprzyk, a w następnym roku ks. Augustyn Piechura, obaj zajęli się kapitalnym remontem i odnową zniszczonego klasztoru.

Nowo mianowany dyrektor, ks. Kasprzyk, po dokonanych zmianach w domu poznańskim, prosił ks. inspektora o przysłanie mu przynajmniej jednego młodego, zdrowego i gorliwego kapłana, który z pomocą innych współbraci przyczyniłby się do pogłębienia i ożywienia życia religijnego przychodzących licznie wiernych do odnowionej świątyni, do której salezjanie 31 maja 1930 roku z Dworca Głównego w Poznaniu, ulicami miasta w tryumfalnej procesji sprowadzili relikwie bł. Ks. Jana Bosko, które uczcił biorący udział w uroczystej procesji 1 czerwca 1930 roku ks. kardynał August Hlond.

Za takiego gorliwego kapłana ks. inspektor uznał ks. Zygmunta Kuzaka, który 15 sierpnia 1930 roku przybył do Poznania.

Ks. dyrektor domu, z którym współpracowali w organizowaniu Oratorium klerycy studiujący na uniwersytecie w Poznaniu: kl. Kasperlik Leopold, kl. Ostrowski Jan, kl. Strada Lucjan i kl. Strus Józef, po miłym i serdecznym przywitaniu ks. Zygmunta Kuzaka, przedstawił mu krótko plan całorocznej pracy mówiąc, że niezależnie od studiów uniwersyteckich ma czynnie pomagać w pracy duszpasterskiej w kościele. Według programu ma w każdą niedzielę odprawić dwie Msze święte z kazaniami. W dni powszednie

---

<sup>24</sup> Z. Kuzak, Włochy-Crocetta, cyt., s. 8; Ks. Jan Krawiec, Błogosławieni Świadkowie Chrystusa, Kraków 2000, s. 26-28 i 32; Nowe placówki salezjańskie w Polsce, w: „Pokł. Sal.”, nr 9 (1926) s. 110-112; Tamże, Salezjanin – Prymasem Polski, s. 107.

o godz. 8.00 będzie miał spowiedź, która we wtorki z powodu targów ma trwać tak długo, jak wierni będą przychodzili. W sobotę od godz. 19.00 spowiedź będzie bardzo często trwała do godziny 11.00 w nocy, gdyż tak późno przychodzą penitenci. W niedzielę poza mszami, od godziny 7.00 do 13.00 będzie trzeba spowiadać, a po południu o godz. 16 odprawić uroczyste nieszpory. Ks. dyrektor, mówiący ks. Zygmuntowi o kazaniach, nie tylko dostarczył mu dostępne w owych czasach podręczniki i pomoce homiletyczne, ale na prośbę ks. Zygmunta sprowadził mu je z Turynu w języku włoskim.

Ks. Zygmunt przyjął spokojnie do wiadomości przedstawiony w skrócie program pracy, gdyż uważał, że jest to normalny obowiązek duszpasterski studiującego kapłana, ale zdziwił się i przeżalił fatalnymi i tragicznymi warunkami w jakich mieszkali pracujący gorliwie w Poznaniu współbracia, które jednak z powodu ograniczeń finansowych wszyscy cierpliwie znosili. Gdy ks. Kuzak przybył do Poznania, klerycy studenci i organizatorzy Oratorium mieszkali wspólnie w jednym pokoju. Podłoga tej salki była sufitem piwnicy wynajętej rzeźnikowi, w której prawie zawsze stał wózek rzeźniczy, z którego przez duże szpary w starej podłodze – przez które można było przesunąć dłoń – wionął nieznośny zapach. Podczas wichury wiatr hulał po pokoju, w którym zimową porą, chociaż wielki kaflowy piec pękał od żaru, w odległości kilku metrów od pieca trzeba było siedzieć w płaszczu, gdyż w pokoju było zimno. W pokoju była jedna umywalka i jeden ustęp. Łazienki nie było. Również słabo był wyposażony pokój, w którym mieszkał ks. Kuzak, a stary kaflowy piec był tak zniszczony, że trudno go było ogrzać, dlatego ks. Zygmunt palił w nim tylko w sobotę i niedzielę, gdyż cały tydzień przebywał na uczelni lub w kościele, bo w pokoju było bardzo zimno. Na szczęście w tym trudnym okresie nie brakowało żywności. Salezjanie dzielili się nią z potrze-

bującymi, dla których kuchnia każdego dnia przygotowywała kilkanaście porcji chleba z masłem, szynką lub kielbasą, gdyż „biedak poznański” nie przyjął chleba bez okładu wędliną. Kromkę chleba posmarowaną tylko masłem lub smalcem przyklejał do płotu z desek i odchodził niezadowolony.

Po wyjeździe ks. Kasprzyka i przygotowaniu pomieszczeń koniecznych dla organizującego się Oratorium nowo mianowany w 1931 roku dyrektor, ks. Augustyn Piechura, zabrał się do porządkowania domu wewnątrz i na zewnątrz. Dla kleryków studiujących i pracujących w Oratorium urządził osobną salkę, którą wyposażył w potrzebne sprzęty, lampy i inne rzeczy. Wyremontował i odnowił ich sypialnie. Wyremontował i wyposażył pokój gościnny oraz rozmównice. Wymienił stare podłogi. Urządził potrzebne sanitaria i łazienkę, tak że nie potrzeba było się myć w miednicy lub iść do łaźni miejskiej. Z odnowionego i ogrodzonego siatką domu byli zadowoleni nie tylko salezjanie, ale cieszyli się również przyjaciele i dobrodziejcy Oratorium widząc, że salezjanie pracują i mieszkają w lepszych warunkach.<sup>25</sup>

W latach trzydziestych w pracy duszpasterskiej i organizacyjnej w Oratorium i kościele szczególnie wyróżniali się: ks. dyrektor Augustyn Piechura, muzyk oraz kompozytor wielu utworów religijnych, który przez organizację chóru i prowadzenie innych zespołów ożywił życie religijne w Oratorium i kościeła, oraz ks. Zygmunt Kuzak, studiujący historię na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Młody kapłan był nie tylko płomiennym kaznodzieją, który swoimi dobrze przygotowanymi kazaniami przyciągał wiernych przychodzących do kościoła, ale również

---

<sup>25</sup> Elenco Generale, cyt., rok 1930, s. 151 i 152, oraz rok 1931, s. 150; J. Krawiec, Błogosławieni Świadkowie, cyt., s. 29-32; ASIK B 2849: Z. Kuzak, Poznań Wroniecka 9 1930-1934, mps., s. 1, 4, 5.

gorliwym spowiednikiem, który początkowo sam, a od 1933 roku z księdzem studentem Walentym Dębskim długie godziny słuchali spowiedzi wiernych i chłopców.

Ks. Kuzak nie pracował bezpośrednio w Oratorium wśród chłopców, gdyż był dla nich dobrze widzianym spowiednikiem. Z jego posługi sakramentalnej i kierownictwa duchowego korzystali m.in. oratorianie: Czesław Józwiak, Edward Kaźmierski, Franciszek Kęsy, Edward Klinik i Jarosław Wojciechowski, przyszli animatorzy i organizatorzy życia religijnego i kulturalnego w Oratorium. Wyżej wspomniani oratorianie, aresztowani w 1941 roku przez gestapo, po wielu torturach zgilotynowani przez hitlerowców 24 sierpnia 1942 roku w Dreźnie, zostali przez Ojca Św. Jana Pawła II, 13 czerwca 1999 roku, ogłoszeni w Warszawie najmłodszymi błogosławionymi męczennikami polskimi. W Oratorium w Poznaniu, jak w rozpalonym tyglu, uszlachetniali się i przygotowywali się do działalności apostołskiej, a nawet do bohaterskiej śmierci.

Ks. Zygmunt Kuzak, mimo że wiele czasu poświęcał pracy duszpasterskiej, to jednak za swój najważniejszy obowiązek uważał studia, które, przynaglany przez przełożonych, pragnął jak najszybciej ukończyć, gdyż zgromadzenie salezjańskie w Polsce potrzebowało jak najwięcej nauczycieli dyplomowanych. Realizując ten cel, rano udawał się na wykłady, po których w godzinach popołudniowych najwięcej czasu spędzał w czytelnii, w Bibliotece Mielżyńskich, Raczyńskich oraz Bibliotece Uniwersyteckiej znajdującej się przy ul. Raczyńskiego i nawet wtedy, gdy o godz. 18.00 musiał w kościele odprawić nabożeństwo dla wiernych, za zgodą dyżurującej osoby pozostawiał wypożyczone materiały na swoim stoliku i po powrocie z kościoła dalej z nich korzystał, aż do zamknięcia czytelnii i dopiero późnym wieczorem wracał do domu na kolację. Dzięki swojej pilności oraz dobremu wykorzystaniu posiadanych zdolno-

ści w ciągu dwóch lat pozdawał u profesorów obowiązujące egzaminy i upomniany nawet przez profesora Tymienieckiego, by się tak nie spieszył ze zdawaniem egzaminów, dalej bardzo intensywnie pracował.

Doświadczony profesor miał rację, gdyż przepracowany ks. Kuzak z powodu przemęczenia zaczął odczuwać osłabienie i duży ból głowy spowodowany nadciśnieniem. W tej sytuacji, mimo że od profesora Chodynickiego otrzymał temat pracy: „Piotr Tomicki biskup”, to jednak musiał zwolnić tempo pracy, i chociaż dalej przesiadywał długie godziny w archiwum akademii Lubrańskiego w Poznaniu, na Górze Przemysława w Kórniku oraz wykorzystywał dostarczone mu przez wojewodę Raczyńskiego z jego zbiorów materiały historyczne, to jednak bez pośpiechu gromadził potrzebne opracowania i spokojnie pisał swoją pracę, którą pragnął ukoronować rozpoczęte studia.<sup>26</sup>

## **2. Wykładowca w Salezjańskim Instytucie Teologicznym w Krakowie**

Ks. Zygmunt Kuzak, studiujący i piszący pracę na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, pod koniec trzeciego roku studiów otrzymał od ks. inspektora polecenie udania się do Salezjańskiego Instytutu Teologicznego w Krakowie w charakterze wykładowcy oraz spowiednika kleryków. Ks. Kuzak na prośbę, by mu o kilka miesięcy przedłużono pobyt w Poznaniu, aby mógł dokończyć pracę i zdać wymagane egzaminy, otrzymał krótką odpowiedź: w Krakowie będzie mógł dokończyć pracę i dojeżdżać na konsulta-

---

<sup>26</sup> Z. Kuzak, *Poznań Wroniecka*, cyt., s. 1-3; J. Krawiec, *Błogosławieni Świadkowie*, cyt., s. 31, 33, 104, 286.

cje ze swoim profesorem. W tej trudnej sytuacji ks. Kuzak, zgodnie z poleceniem, dnia 3 września 1933 roku zjawił się w Instytucie Teologicznym w Krakowie, w którym w ostatnich miesiącach 1933 roku nastąpiły poważne zmiany. Po ks. Kuzaku 9 listopada przybył do Krakowa, po ukończeniu studiów na Biblicum, ks. J. Mazerski, który został mianowany w Instytucie Teologicznym radcą teologów, tj. kierownikiem studiów oraz wykładowcą Pisma świętego, języka hebrajskiego, włoskiego i śpiewu gregoriańskiego. Po ks. profesorze Wichrze wykłady teologii moralnej objął ks. Józef Nęcek, a wykłady z historii Kościoła, patrologii, homiletyki i ćwiczenia dykcji prowadził ks. Zygmunt Kuzak.

Niezależnie od toczącego się normalnie życia seminaryjnego, przełożeni i klerycy Instytutu bardzo boleśnie przeżyli śmierć ostatniego inspektora przed podziałem Prowincji św. Stanisława Kostki ks. inspektora Antoniego Symiora, który zmarł w otoczeniu współbraci na Łosiówce 4 października 1933 roku. Po jego śmierci polska Inspektorja św. Stanisława Kostki, erygowana 14.X 1905 roku, została podzielona na dwie inspektorje: Inspektorję Północną pod wezwaniem św. Stanisława Kostki oraz Inspektorję Południową pod wezwaniem św. Jacka, którą Stolica Apostolska erygowała dekretem z dnia 14.XII 1933 roku. Inspektorem nowo erygowanej prowincji został mianowany ks. Tomasz Kopa, zastępujący przez jakiś czas chorującego inspektora Antoniego Symiora, a inspektorem Prowincji Północnej został ks. Stanisław Pływaczyk, dotychczasowy inspektor węgierski. Mimo podziału inspektorji, Instytut Teologiczny w Krakowie, który znalazł się na terenie inspektorji św. Jacka, pozostał dalej wspólnym Instytutem, w którym kształcili się klerycy należący do obu inspektorji. Ks. Kuzak, mimo że był obciążony prowadzeniem wykładów, do których dobrze się przygotowywał, i wieloma innymi obowiązkami, zdołał ukończyć

pracę i w 1934 roku udał się z nią do Poznania, by ją przedstawić profesorom.

Praca była dobra. Jego promotor profesor Chodynicki był z niej zadowolony, a profesor Polak na wykładzie dał ją studentom jako przykład solidnie napisanej rozprawy. Niestety, gdy ks. Kuzak udał się z pracą do profesora Chodynickiego, ten z pewnym zażenowaniem oświadczył, że przyjmuje pracę ks. Kuzaka jako pracę magisterską, a nie jako pracę doktorską, gdyż ostatnio dowiedział się, że została napisana w Warszawie u profesora Haleckiego rozprawa doktorska o biskupie Piotrze Tomickim, wicekanclerzu Zygmunta Starego. W tej trudnej sytuacji profesor Chodynicki radził ks. Kuzakowi, by zapoznał się z pracą studenta profesora Haleckiego i uzupełniwszy jej pewne braki przedstawił swoją rozprawę doktorską do oceny. Ks. Kuzak, zaskoczony i zasmucony oświadczeniem profesora Chodynickiego, biorąc pod uwagę swoje liczne obowiązki, zgodził się na otrzymanie stopnia magistra, a sprawę pisania doktoratu odłożył na czas późniejszy.<sup>27</sup>

Mimo tego przykrego zawodu, jakiego doznał nie ze swojej winy, ks. Kuzak nie zniechęcił się i nie zerwał z nauką. Pisał różne artykuły do „Pokłosa Salezjańskiego”, „Wiadomości Misyjnych” oraz do wydawnictwa salezjańskiego „Kłosa z Bożej Roli” i innych czasopism. Niezależnie od artykułów, wydał drukiem w 1937 roku niewielkie objętościowo książki pt. *Wspomożycielka św. Jana Bosko* (s. 81), *Życie wewnętrzne św. Jana Bosko* (s. 135), *Kazania pasyjne* (s. 103), które miały zapoczątkować jego działalność pisarską, przerwana wybuchem II wojny światowej.

---

<sup>27</sup> ASIK B 2849: Z. Kuzak, Kraków-Tyniecka 39 1933-1939, mps., s. 1; J. Krawiec, Zarys histor. Sal. Instytutu, cyt., s. 10; Bogdan Nowak, Dom seminaryjny salezjanów na Dębnikach w latach 1918-1939, praca magisterska, Kraków 1994, mps., s. 102.

Niezależnie od prowadzonych wykładów i zainteresowań naukowych ks. Kuzak, podobnie jak to było w Poznaniu, dużo czasu poświęcał pracy duszpasterskiej, którą wykonywał w różnej formie. Pomagał w pracy duszpasterskiej księżom pracującym w parafii na Dębnikach. Głosił rekolekcje dla młodzieży w Oświęcimiu, Krakowie i Łodzi. Gdy za zgodą ks. dyrektora Antonowicza wierni z rozbudowującego się osiedla przy ul. Praskiej zaczęli uczęszczać do wewnętrznej kaplicy seminaryjnej, głosił dla nich o godz. 9.00 w niedziele kazania oraz konferencje po nieszpórach dla kleryków, których był spowiednikiem. Jako spowiednik miał to szczęście, że jego penitentem na Łosiówce był szósty błogosławiony – salezjanin kl. Józef Kowalski – zamordowany w okrutny sposób jako obrońca różańca świętego 4 sierpnia 1942 roku w obozie oświęcimskim.

Ks. Kuzak był znanym i bardzo cenionym dobrym spowiednikiem, o czym najlepiej świadczy fakt, że nie tylko na prośbę sióstr głosił do nich konferencje, ale spowiadał każdego tygodnia od 100 do 150 sióstr albertynek na Prądniku Czerwonym w Krakowie, ul. Krakowskiej, w Rzęsce oraz siostry urszulanki na ul. Starowiejskiej.

Ks. inspektor Adam Cieślak, mianowany na miejsce ks. Inspektora Tomasza Kopy w 1937 roku inspektorem prowincji św. Jacka w Krakowie, obserwując pilnie życie i gorliwą działalność apostołską ks. Zygmunta Kuzaka, po sześciu latach pracy w Krakowie wezwał go na wiosnę 1939 roku do siebie i po krótkiej rozmowie oznajmił mu, że chce go mianować dyrektorem Salezjańskiego Zakładu w Oświęcimiu, nie zwalniając go również z niektórych wykładów w Seminarium w Krakowie. Ks. inspektor po wysłuchaniu zdania ks. Kuzaka, który pragnął dalej pracować naukowo, mianował go 1 lipca 1939 dyrektorem Zakładu św. Jana Bosko w Oświę-



cimiu polecając mu przejąć urzędowanie w zakładzie w lipcu 1939 roku.<sup>28</sup>

### **3. Dyrektor Zakładu św. Jana Bosko w Oświęcimiu w latach 1939-1941**

Zgodnie z poleceniem ks. inspektora Adama Cieślara ks. dyrektor Zygmunt Kuzak pod koniec lipca udał się do Oświęcimia, gdzie po sześciu latach urzędowania ks. Sylwestra Króla, który wyjechał do Lwowa, objął 25 lipca 1939 roku obowiązki dyrektora zakładu oświęcimskiego. Mimo bardzo napiętej sytuacji z powodu grożącego wybuchu wojny niemiecko-polskiej życie w zakładzie toczyło się normalnie. Zakład przygotowywał się na rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Z powodu braku miejsca musiano dać odpowiedzi odmowne około trzydziestu uczniom proszącym o przyjęcie. Zorganizowana w sierpniu 1939 roku w zakładzie oświęcimskim przez ks. Józefa Kowalskiego i ks. Andrzeja Świdę wystawa ksiązek religijnych, która cieszyła się dużym powodzeniem wiernych, szczęśliwie się zakończyła. Odprawione przez 80 salezjanów rekolekcje święte, którym przewodniczył katecheta generalny Towarzystwa Salezjańskiego ks. Piotr Tirone, oraz zorganizowany tradycyjny odpust w niedzielę 20 sierpnia, który zgromadził wielką rzeszę wiernych i przybyłych proboszczów, odbył się już w wielkim

---

<sup>28</sup> Z. Kuzak, Kraków-Tyniecka 39, cyt., s. 2; Wspomnienia osobiste ks. Zygmunta Kuzaka o pobycie w seminarium; Ks. Stanisław Wilk, Materiały do bibliografii publikacji salezjanów polskich za lata 1897-1974, w: 75 lat działalności salezjanów w Polsce – Ks. Zygmunt Kuzak s. 309 i 310; ASIK A 2025/37: Ks. Z. Kuzak, Dokumenty. List posłuszeństwa z 1.07.1939 nr 5664.

napięciu, bo wszyscy przeczuwali, że „wojna wisi na włosku”, gdyż pod koniec sierpnia napięcie wojenne z każdym dniem wzrastało i potęgowało się, co potwierdzały konkretne fakty. Ks. dyrektor Kuzak 24 sierpnia otrzymał urzędowe powiadomienie, że ma zakład przygotować na przyjęcie sztabu wojskowego. Dwa dni później, tj. w sobotę 26 sierpnia, otrzymał polecenie, że ma odstąpić całe zabudowania zakładu szpitalowi z Cieszyna, którego załoga licząca około 70 osób, już w nocy z 26 na 27 sierpnia z pomocą ludności cywilnej zaczęła wprowadzać się do zakładu. W tym samym czasie do zakładu przyszli oficerowie i podoficerowie, żądając by kotły i inne naczynia kuchenne przekazać wojsku, czemu wyraźnie się sprzeciwił dyrektor szpitala, oświadczając, że cały zakład ze wszystkimi urządzeniami jest przeznaczony dla szpitala. Na parę dni przed wybuchem wojny, w tych bardzo nerwowych chwilach, ks. inspektor Cieślak odwiedził Oświęcim, by pocieszyć i podnieść na duchu przygnębionych współbraci, którzy nie wiedzieli co robić. Podczas przeprowadzonej ze współbraćmi rozmowy ks. inspektor na razie nie dał żadnych poleceń na piśmie. Obiecał je dostać po bliższym zapoznaniu się z sytuacją w Krakowie. Przed odjazdem ustnie polecił, że w razie konfliktu zbrojnego ks. dyrektor Kuzak, ks. prefekt Ożóg, ks. Kasperlik, ks. Matuszak, ks. Kotuła i jeszcze inni powinni pozostać w Oświęcimiu. Księża młodszy, klerycy i koadiutorzy powinni udać się do Krakowa, a gdy zajdzie potrzeba, to nawet dalej. Gdyby pismo z powodu różnych przyczyn nie nadeszło, to wtedy ks. dyrektor Kuzak w tych nadzwyczajnych okolicznościach ma sam zdecydować o dalszym postępowaniu.

Niestety, pismo nie nadeszło, gdyż w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1939 roku wybuchła straszna druga wojna światowa. O godz. 4.15 hitlerowskie eskadry bombowców przeleciały bezkarnie ponad granicami Polski rozpoczynając barbarzyńskie bom-

bardowanie spokojnych miast i wiosek polskich. Płonęły miasta i wioski, w których ginęli niewinni cywile starsi i młodszy, a nawet dzieci, gdyż barbarzyńsko zaatakowana z lądu, morza i powietrza bohatersko broniąca się słabo uzbrojona armia polska nie mogła powstrzymać wroga.<sup>29</sup>

Na tragiczne skutki rozpetanej przez hitlerowców wojny salezianie pracujący w Oświęcimiu oraz mieszkańcy miasta nie czekali długo. Już 1 września o godz. 5 rano nad miastem ukazało się kilkadziesiąt samolotów wroga, które chociaż zbombardowały miasto, to jednak nie uszkodziły zakładu. W mieście po nieoczekiwanym strasznym bombardowaniu zapanowała panika. Pojawił się zabici i ranni, których przywożono do zorganizowanego w zakładzie szpitala. Ogłoszony i trwający cały dzień alarm przeciwlotniczy, wybuchające bomby oraz strzelające z ziemi karabiny maszynowe do przelatujących nisko nad miastem samolotów niemieckich potęgowały u ludzi strach i panikę, która udzielała się również salezjanom przebywającym w zakładzie, posiadającym zaledwie 17 masek przeciwgazowych; większość dnia w przerażeniu spędzili w schronie przeciwlotniczym znajdującym się pod wejściem do zakładu oraz w innych kryjówkach domu. Wieczorem, po odwołaniu alarmu, pod wpływem celowo rozpowszechnionych przez agentów niemieckich wiadomości o strasznym zbrodniach dokonanych na ludności polskiej na opanowanych przez wroga terenach, mieszkańców miasta Oświęcimia i innych miejscowości ogarnęła panika ucieczki. Żydzi oraz mnóstwo polskich rodzin

---

<sup>29</sup> ASIK B 2849: Ks. Z. Kuzak, Oświęcim VII 1939-30.VIII 1941, s. 1; J. Krawiec, Cierpieć i być., cyt., s. 84; W. Żurek, Salezjańskie szkolnictwo, cyt., s. 212; Kronika Zakładu Oświęcimskiego, s. 24, 25, 26, VIII 1939: Pierre Buhler, Polska droga do wolności 1939-1995, Warszawa 1999, s. 27.

z małym bagażem w rękę, pieszo, na rowerach lub furmankach uciekało na wschód przed zbliżającym się wrogiem zatłoczonymi przez wojsko i cywilów drogami, które bez przerwy były bombardowane przez samoloty niemieckie.

Salezianie przebywający w zakładzie, po nieprzespanej nocy, podobnie jak inni mieszkańcy, by nie dostać się w ręce okrutnego wroga, ulegają ogólnej panice ucieczki. W ogólnym zamieszaniu i panice, nie doczekawszy się pisma ks. inspektora, zgodnie z jego ustnym poleceniem przyłączają się do uciekających tłumów oraz ewakuującego się personelu szpitala, który przenosi się do Krakowa. Za zgodą ks. dyrektora Kuzaka pierwsi opuszczają zakład klerycy, którym w sobotę w godzinach popołudniowych udało się dostać do autobusu i wyjechać do Krakowa. Po wyjeździe kleryków przeżeni inni starsi i młodsi współbracia, również za zezwoleniem ks. dyrektora opuszczają zakład i różnymi środkami komunikacji i pieszo niektórzy dotarli późnym wieczorem do Salezjańskiego Instytutu Teologicznego w Krakowie przy ul. Tynieckiej 39 gdzie mieli się zatrzymać.

Ks. dyrektor Kuzak pozostał z kilkoma współbraćmi w zakładzie, ale przekonawszy się, że Oświęcim za kilka godzin zostanie zdobyty przez Niemców oraz że tymczasowa tułaczka przebywających współbraci w Krakowie dopiero się rozpocznie, porozumiewszy się z ks. prefektem Józefem Ożogiem pozostającym w zakładzie, postanowił udać się do Krakowa, by zaopatrzyć przebywających tam współbraci w większą gotówkę na czekającą ich dalszą wędrówkę oraz by w tej trudnej sytuacji spotkać się z ks. inspektorem i od niego otrzymać wskazania, co w tym nadzwyczajnym położeniu w Oświęcimiu należy zrobić i jak się zachować?

Realizując ten plan, po nieprzespanej nocy, w niedzielę rano 3 września, po udzieleniu siostrzom serafitkom komunii świętej, wmieszał się w tłum uciekających cywilów i żołnierzy i z plec-

kiem na ramionach udał się do Krakowa, gdzie mimo ostrzeliwań i bombardowań przez samoloty niemieckie dotarł razem z uciekającymi późnym wieczorem do Krakowa, gdzie spotkał się z współbraćmi z Oświęcimia, skąd chciał po zajęciu miasta przez Niemców powrócić do Oświęcimia. W tej tragicznej i dramatycznej sytuacji ks. inspektor polecił klerykom i kilku księżom udać się do Przemyśla oraz Drohowyża. Niestety, tak księża jak też i klerycy jadący w towarowych wagonach z powodu bombardowań rozproszyli się, a ks. Kuzak pieszo oraz pociągiem dotarł do Przemyśla, gdzie przed nadejściem Niemców przybył również ks. inspektor Cieślar i inni współbracia. Gdy przebywający salezjanie znaleźli się w niewoli okupanta niemieckiego, ks. Cieślar polecił ks. Kuzakowi, ks. Strauchowi i innym salezjanom natychmiast powracać do Krakowa, gdzie mimo różnych trudności i przygód, pieszo i pociągami szczęśliwie dotarli 24 września 1939 roku.<sup>30</sup>

W Krakowie ks. Kuzak, dowiedziawszy się od byłego wychowanka ks. Juliana Kulczyckiego oraz od aptekarza z Oświęcimia pana Bogdani, że wojsko niemieckie okupuje zakład i wywozi z niego maszyny i inne rzeczy, udał się z ks. Józefem Strauchem do Ortskommendanta urzędującego w Magistracie w Krakowie, który po wysłuchaniu zażaleń zainteresowanych sprawą księży polecił wydać pismo nakazujące władzom wojskowym w Oświęcimiu zapewnić bezpieczeństwo pomieszczeń i wyposażenia zakładu salezjańskiego.

---

<sup>30</sup> Kr. Z Ośw. 1.IX 1939; Z. Kuzak, Oświęcim VII 1939, cyt., s. 2-4; J. Ślósarczyk, Historia Prowincji św. Jacka Towarzystwa Salezjańskiego w Polsce, Pogrzebień 1966, mps., t. III, s. 28-30; J. Krawiec, Działalność religijno-patriotyczna, cyt., s. 158-159; W. Żurek, Salezjańskie szkolnictwo, cyt., s. 213.

Mając w rękach odpowiednie pismo władz niemieckich, ks. Kuzak udał się z ks. Józefem Strauchem wypożyczoną od sióstr albertynek w Krakowie furmanką do okupowanego przez Niemców Oświęcimia, gdzie szczęśliwie przybyli po 24 września. Hitlerowcy, po zajęciu bez walki 3 września 1939 roku Oświęcimia, zaprowadzili w nim swoje nowe porządki. Niezależnie od mieszkających w zakładzie ks. Józefa Ożóga, ks. Sikory, ks. Kotuły i koadiutora Kukuczki zajęli część zakładu, a na podwórku zakładowym umieścili 10 wielkich wojskowych piekarni polowych wypiekających chleb, który w bardzo wielkiej ilości magazynowano w byłej jadalni chłopców. Do częściowo okupowanego przez Niemców zakładu zaczęli powoli powracać po dłuższej tułaczce salezjanie, nie tylko pracujący w oświęcimskim zakładzie, ale również współbracia z innych zajętych przez hitlerowców salezjańskich domów.

Niestety, wśród powracających nie przybyli już do Oświęcimia kl. Stefan Fabiański, ur. w 1912 roku, i kl. Mikołaj Kapuściński, ur. w 1913 roku, którzy jako asystenci razem z innymi klerykami 2 września 1939 roku opuścili zakład oświęcimski. Wspomniani klerycy podczas tułaczki dotarli do parafii DUBY koło Tomaszowa Lubelskiego, gdzie podczas chwilowego zatrzymania się na plebanii zostali 25 września 1939 roku, razem z miejscowym proboszczem ks. Wiktorem Możejko oraz organistą Władysławem Wentlandem, w sposób barbarzyński i okrutny zamordowani przez ukraińską bandę. Byli to pierwsi – i jedyni – salezjanie, którzy zginęli podczas krótkich barbarzyńskich wrześniowych działań wojennych w bohatersko broniącej się Polsce.<sup>31</sup>

---

<sup>31</sup> Z. Kuzak, *Oświęcim VII 1939*, cyt., s. 5; J. Ślósarczyk, *Historia*, cyt., t. V, s. 53 c i 55; W. Żurek, *Salezjańscy męczennicy Wschodu*, Lublin 2003, s. 51 i 70.

Ks. dyrektor Kuzak, po przyjeździe do Oświęcimia, z polecenia ks. inspektora Cieślara zaczął się starać u władz okupacyjnych o otwarcie w części niezabranej przez wojsko niemieckie zakładu szkoły salezjańskiej, na co najpierw miejscowe władze, a potem, po odwołaniu się salezjanów, również władze z Berlina nie wyraziły zgody.

W tej trudnej sytuacji, gdy do zakładu napływali nowi współbracia pozbawieni dachu nad głową, po utworzeniu 26 października 1939 roku przez rząd niemiecki tzw. Generalnej Guberni, którą z rozkazu Hitlera zarządzał Hans Frank mieszkający na Wawelu w Krakowie, z racji wcielenia Poznańskiego, Pomorza oraz Górnego Śląska do Rzeszy i z powodu utworzenia nowej granicy, z mieszkającym w Krakowie ks. inspektorem Cieślarem placówki salezjańskie leżące na terenie Rzeszy utraciły łączność. W tej nadzwyczajnej sytuacji politycznej, ks. inspektor Cieślak, za zgodą przełożonych głównych w Turynie, mianował na te tereny ks. Józefa Straucha, ekonomy inspektorialnego, swoim zastępcą, który mieszkając w Oświęcimiu podczas całej okupacji, aż do wyzwolenia Oświęcimia przez wojska radzieckie, tj. 26 stycznia 1945 roku, pełnił na terenie Rzeszy obowiązki inspektora.

Ks. Józef Strauch, odpowiedzialny za współbraci mieszkających na terenie Rzeszy, za zgodą ks. inspektora chciał w Oświęcimiu zorganizować Salezjański Instytut Teologiczny dla przebywających w zakładzie kleryków. Nie była to sprawa łatwa, gdyż ks. Ożóg Józef 17 października 1939 roku powiadomił kapitana niemieckiego mieszkającego w zakładzie, że w małej speluncie pod schodami, którymi każdego dnia przechodziło wielu żołnierzy niemieckich, jest kilka starych masek gazowych, kilka pustych granatów ćwiczebnych raz kilka przewierconych bez zamków karabinów, którymi posługiwała się kiedyś młodzież podczas ćwiczeń przysposobienia wojskowego. Niestety, ta błaha sprawa, o której salezjanie

zapomnieli, nie tylko narobiła szumu i kłopotów, ale dała okazję żandarmerii wojskowej do przeprowadzenia w całym zakładzie, tj. w piwnicach, podziemiach kościoła, w kościele i w różnych pokojach i zakątkach zakładu szczegółowej rewizji, podczas której zaglądano nawet do tabernakulum, a w niektórych pomieszczeniach zrywano podłogi, szukając broni lub jakichś innych niebezpiecznych dla reżimu przedmiotów. Podczas rewizji internowano ks. Ożoga, a ks. dyrektor Kuzak musiał towarzyszyć poszukującym żandarmom, którzy nic konkretnego i niebezpiecznego w zakładzie nie znaleźli i chociaż po przesłuchaniu ks. Dyrektora sprawę umorzono, to jednak mieszkających w niezajętej części przez wojska zakładzie przeszło 40 salezjanów niepokoilo gestapo, które pilnie śledziło i obserwowało wszelką działalność salezjanów w Oświęcimiu.

W tej trudnej sytuacji, ks. Strauch widząc, że w Oświęcimiu nie można na razie myśleć o zorganizowaniu tajnego nauczania, udał się 4 grudnia do Ostrawy Morawskiej, a 8 grudnia nawet do Monachium, aby tam u salezjanów szukać schronienia dla polskich kleryków. Niestety, również tam, z powodu panującego reżimu hitlerowskiego, przełożeni nie mogli przyjąć na studia polskich salezjanów studiujących teologię. Wspomnianymi trudnościami ks. Strauch nie zniechęcił się i po powrocie do Oświęcimia, dowiedziawszy się o możliwości wysłania kleryków na studia do Włoch, za zgodą ks. inspektora Cieślara udał się do konsula włoskiego oraz wyższego urzędnika policji niemieckiej w Katowicach, dzięki przychylności którego otrzymał zezwolenie na wyjazd do Włoch dla 35 salezjanów; oprócz nich jeszcze drogą nielegalną 10 innych kleryków różnymi drogami dotarło do zakładów salezjańskich we Włoszech. Niestety, po zmianie życzliwego komendanta policji niemieckiej, kilkunastu kleryków, którzy z nadzieją udania się do Włoch przeszli nocą z Ryczowa do Spytkowic „zieloną granicę”,



już nie otrzymało od gestapo w Bielsku zezwolenia na udanie się do Włoch.<sup>32</sup>

W tej nowej trudnej rzeczywistości, ks. Strauch oraz ks. Kuzak za zgodą ks. inspektora Cieślara postanowili dla pozostałych kleryków w Oświęcimiu, w tym samym zakładzie, w którym przebywało wojsko niemieckie, zorganizować tajne nauczanie teologii tych kleryków, którzy mimo różnych trudności ekonomicznych, a nawet niebezpieczeństwa aresztowania pragnęli się kształcić i zdążyć do upragnionego kapłaństwa.

Dyrektorem tajnego Salezjańskiego Instytutu Teologicznego w Oświęcimiu został mianowany dyrektor zakładu ks. Zygmunt Kuzak, który bezpośrednio zajął się studiami 20 kleryków. Mimo że od początku mieli oni pewne wykłady, to jednak dopiero w pierwszych dniach stycznia 1940 roku rozpoczęli regularne studia teologiczne, w których uczestniczyło również sześciu kleryków salezjańskich przybyłych do Oświęcimia z Pogrzebienia.

W pierwszych dniach, a nawet tygodniach wykładający księża razem z ks. dyrektorem Kuzakiem, z ks. dziekanem Janem Skarbkiem wykładającym prawo kanoniczne, a przede wszystkim niektórzy klerycy biorący udział w tajnych wykładach bardzo psychicznie to przeżywali, gdyż idąc każdego dnia na wykłady, które odbywały się w szpitaliku mieszczącym się w starym domu, spotykali się na wspólnym korytarzu z żołnierzami niemieckimi stacjonującymi w zakładzie. Nie byli pewni, czy w czasie wykładów, a nawet w nocy nie zostaną aresztowani. Klerycy widząc, że żołnierze nie wpadają na wykłady, na korytarzu ich nie legitymują, a nawet nie pytają gdzie idą i co tu robią, powoli przyzwyczajali

---

<sup>32</sup> ASIKB 2849: Z. Kuzak, *Przez zieloną granicę*, mps., s. 1; Tenże, *Oświęcim VII 1939*, cyt., s. 5-7; Ks. J. Strauch, *Curriculum vitae*, mps., s. 38 i 39; J. Krawiec, *Działalność religijno-patriotyczna*, cyt., s. 161-162.

się do tej nadzwyczajnej rzeczywistości. Również gestapo po przeprowadzonej rewizji, w czasie której nic podejrzanego w zakładzie nie znaleziono, salezjanami mieszkającymi razem z wojskiem mało się interesowało.

Studiujących w Oświęcimiu kleryków z powodu braku łączności z Krakowem początkowo święcił w tajemnicy ks. biskup Bieniek z Katowic. Po jego usunięciu z Katowic klerycy byli święceni w tajemnicy we Wrocławiu przez ks. kardynała Adolfa Bertrama oraz w Wiedniu przez kardynała Teodora Innitzera.<sup>33</sup>

Księża pracujący pod przewodnictwem ks. Kuzaka oraz klerycy uczący się w Oświęcimiu zajmowali się nie tylko nauką, ale wykorzystując w 1940 roku względną swobodę religijną, mimo nadchodzących bardzo smutnych wiadomości o aresztowaniu salezjanów w innych zakładach, a nawet rozstrzelaniu niektórych księży, nie załamywali się, ale jak przed wojną odprawiali w kościele nabożeństwa, spowiadali licznie gromadzących się przy konfesjonalach wiernych z Oświęcimia i okolicy, a nawet ze Śląska. Zorganizowano dla chłopców z miasta i Starych Stawów Oratorium, w którym chłopcy nie tylko bawili się ale gorliwie uczestniczyli w nabożeństwach i wygłaszanych dla nich konferencjach. Kleryk Lupa zorganizował mimo ciasnoty miejsca chór chłopięcy, który razem z klerykami uświetniał różne nabożeństwa liturgiczne oraz zorganizowany 18 sierpnia 1940 roku uroczysty odpust ku czci św. Jacka, w którym uczestniczyło bardzo dużo rozmodlonych Ślązaków, a z okazji św. Jana Bosko i uroczystości 24 maja 1940 MBW Wiernych urządzono skromne akademijki dla wiernych. Ożywio-

---

<sup>33</sup> ASIK B 2840: Zygmunt Kuzak, Kraków – Studentat Teologiczny i jego filie 1939-1945, s. 1-3; Tenże, Oświęcim VII 1939, cyt., s. 7 i 8; Ks. J. Strauch, Curriculum vitae, cyt., s. 46 i 75; J. Krawiec, Działalność religijno-patriotyczna, cyt., s. 162 i 163.

na i gorliwa działalność duszpasterska salezjanów w Oświęcimiu, a przede wszystkim wypełniony w każdą niedzielę w czasie nabożeństw kościół salezjański, do którego przychodzili również tłumnie mieszkańcy ze Śląska, drażniły hitlerowców, którzy tak jak w innych okupowanych dzielnicach Polski przygotowywali się do terrorystycznego zwalczania salezjanów pracujących w Oświęcimiu. Po odpowiednim zaplanowanym przygotowaniu hitlerowcy huraganowo zaatakowali salezjańską redutę polskości i wiary w Oświęcimiu, postanawiając ją jak najszybciej zniszczyć i unicestwić, gdyż nie miała ona prawa istnieć w Oświęcimiu, który hitlerowski reżim wyznaczył na główny ośrodek zbrodniczego ludobójstwa dokonywanego w rozbudowującym się w szybkim tempie obozie oświęcimskim, który od salezjańskiej reduty polskości i wiary oddzielała tylko mała górską rzeka Soła.<sup>34</sup>

Hitlerowcy, realizując swój plan masowej zagłady głównie Polaków, a następnie Żydów, wysłali do Oświęcimia pod przewodnictwem Rudolfa Hössa specjalną komisję, która w dniach 18 i 19 kwietnia 1940 roku po dokładnym zbadaniu Oświęcimia i jego okolicy uznała istniejące już w Oświęcimiu na Zasolu leżące w rozwidleniu rzek Wisły i Soły koszary wojskowe za nadające się do budowy i rozbudowy przy pomocy więźniów przyszłego gigantycznego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Himmler, opierając się na opinii komisji, wydał 27 kwietnia 1940 roku rozkaz budowy obozu oświęcimskiego, którego pierwszym komendantem mianował Rudolfa Hössa. Höss z pomocą pięciu SS-manów oraz 300 Żydów zabrał się do przygotowania koszar i przyległego terenu

---

<sup>34</sup> Z. Kuzak, *Studentat Teologiczny*, cyt., s. 3; Tenże, *Oświęcim VII 1939*, cyt., s. 8; J. Ślósarczyk, *Historia*, cyt., t. IV, s. 296-298; J. Krawiec, *Działalność religijno-patriotyczna*, cyt., s. 168 i 169; Jan Ptaszkowski, *Rzecz o dobrej sławie Oświęcimia*, Kraków 1998, s. 58-62.

do potrzeb obozu koncentracyjnego. W pierwszych dniach maja 1940 roku esesman Rapportführer Gerhard Palitzsch przywiózł do Oświęcimia z obozu Sachsenhausen 30 zbrodniarzy, kryminalistów, których wyznaczono na bezpośrednich dozorców – kapów dla przywożonych do obozu w Oświęcimiu więźniów. Pierwszych więźniów polskich przywieziono w transporcie liczącym 728 osób i byli to głównie gimnazjaliści z więzienia w Tarnowie. Po tym transporcie do mającego w przyszłości liczyć około 40 kilometrów kwadratowych obozu koncentracyjnego napływały setki transportów więźniów polskich, żydowskich oraz obywateli innych krajów okupowanych przez Niemców.

Z powodu szybko rozbudowującego się obozu, Niemcy od 8 marca 1941 roku rozpoczęli wysiedlać ludność polską mieszkającą na terenie lub w pobliżu obozu z miejscowości: Babice, Broszkowice, Brzezinka, Budy, Harmęże, Pławy, Rajsko. Domy wysiedlonych rodzin w większości burzono. Niezależnie od wysiedlenia mieszkańców wiosek, wysiedlano również rodziny polskie z miasta, które nie podpisały Volkslisty, i wywożono je głównie do Generalnej Guberni. Nieszczęśliwe rodziny, przemocą wyrzucane z domu mogły ze sobą zabrać tylko tyle rzeczy, ile w pośpiechu spakowały i mogły w plecaku lub w rękach unieść. Pozostawiony dom z całym dobytkiem władze niemieckie konfiskowały lub przekazywały obywatelom niemieckim. Wyrzuconych z domów Polaków niemiecka policja prowadziła na Plac Kościuszki w Oświęcimiu, skąd pod eskortą policji w kolumnach prowadzono ich na kolejowy dworzec oświęcimski. Tam wyrzuceni ze swoich domów często długie godziny czekali na załadowanie do transportu odjeżdżającego do Guberni, gdzie ich osiedlano w okolicach Tarnowa i Gorlic.

O tych nieszczęśliwych rodzinach pozbawionych wszystkiego nie zapomnieli salezjanie, a głównie ks. dyrektor Kuzak, który nie tylko pojawiał się wśród rozpaczających wysiedleńców, po-

cieszał ich i podnosił na duchu, ale także polecił, by w salezjańskiej kuchni gotowano herbatę, płatki owsiane, które z chlebem dostarczano koczującym na stacji kolejowej wygnańcom. Mimo że skromne dostarczanie pokarmu i napoju na stację kolejową nie miało wielkiego znaczenia materialnego, gdyż wielu z niego nie korzystało, to jednak dla zesłanych i ze wszystkiego ogołoconych polskich rodzin miało bardzo duże znaczenie moralne, ponieważ było znakiem, że tak jak o nich tu rodacy pamiętają, tak samo w Guberni, mimo trudnych warunków, przyjdą im z pomocą braterską Polacy, również uciskani i prześladowani przez okrutnych okupantów hitlerowskich.<sup>35</sup>

Salezjanie pracujący podczas okupacji w Oświęcimiu wiedzieli o masowej zagładzie i tragicznym położeniu więźniów przebywających w obozie, nie tylko dlatego, że mieszkali w sąsiedztwie obozu i że każdego dnia widzieli ogromne rzesze wynędzniałych, wychudzonych i opuchniętych z głodu słabo ubranych więźniów maszerujących ostatkami sił pod silną eskortą esesmanów do pracy lub powracających z pracy do obozu, ale przede wszystkim z opowiadań niektórych salezjańskich koadiutorów – braci, którzy bezpośrednio z więźniami się spotykali, a nawet z nimi w obozie lub poza obozem pracowali.

Hitlerowcy w trakcie budowy i rozbudowy obozu, potrzebując fachowców, przymusowo zatrudniali niektórych braci salezjań-

---

<sup>35</sup> Władysław Kluz OCD, *Czterdzieści siedem lat życia*, Wydawnictwo OO. Franciszkanów, Niepokalanów 1989, wad. III, s. 173-178; Ks. arcybiskup Adam Kozłowiecki SJ, *Ucisk i strapienie – Pamiętnik więźnia 1939-1945*, WAM Kraków 1967, s. 17-21; W. Żurek, *Salezjańskie szkolnictwo*, cyt., s. 217; J. Krawiec, *Działalność religijno-patriotyczna*, cyt., s. 185 i 186.

skich mieszkających w zakładzie, wśród których znaleźli się: Jan Tchórz, kierownik salezjańskiej stolarni w Oświęcimiu oraz instruktor tejże stolarni, Antoni Krupczak, którzy mieszkając w zakładzie podczas całej okupacji byli kierownikami pracowni stolarskich w obozie pracując razem z więźniami. Szczególnie bliski kontakt z więźniami, a nawet z niektórymi esesmanami pilnującymi więźniów, nawiązał Jan Tchórz, który planując różne roboty i naprawy w obozowych blokach miał zezwolenie poruszania się na terenie całego obozu. Niestety, salezjanie mieszkający w Oświęcimiu początkowo nie mogli wiele pomóc więźniom przebywającym w obozie, którym, zgodnie z celem obozów mających na celu wyniszczenie więźniów, albo nie było wolno do 1942 roku w ogóle wysyłać paczek, albo w minimalnej mierze, gdyż paczki wysyłane niektórym więźniom nie mogły przekraczać 10 dekagramów wagi. W 1942 roku to zbrodnicze prawo zostało złagodzone, nie ze względów humanitarnych, ale dlatego, by wycieńczeni i wygłodzeni słabi więźniowie mogli wydajniej pracować dla niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Po złagodzeniu prawa wolno było wysyłać więźniom paczki z żywnością, a nawet z odzieżą.

W początkowo bardzo trudnej sytuacji rozbudowującego się obozu esesmani przyjeżdżali do salezjańskiej stolarni mieszczącej się w zakładzie i z grupą więźniów pod przewodnictwem Jan Tchórze na salezjańskich maszynach heblowali deski do pomieszczeń obozowych. Jan Tchórz, zapoznawszy się bliżej z strażnikami oraz więźniami, którzy skarżyli się, że są bardzo głodni oraz mają różne potrzeby, powiadomił o tym ks. dyrektora Kuzaka, który w miarę możliwości z pomocą innych osób starał się bodaj w skromny sposób zaradzić potrzebom więźniów. Realizując ten niebezpieczny plan, w pewnej chwili Jan Tchórz lub inna osoba wywoływała jakiegoś strażnika i z okazji przerwy częstowała go śniadaniem, piwem lub papierosami. Ugoszczony wachman,

po chwili wysyłał na poczęstunek drugiego strażnika, a sam „nie widział i nie chciał widzieć” jak pozostałych więźniów częstowano słodką kawą i chlebem, gdyż innych pokarmów również salezjanie nie posiadali. Podczas pracy zjawiał się w stolarni ks. Kuzak „nie zauważony przez strażnika” i wręczał dyskretnie niektórym więźniom pieniądze – marki, doręczał otrzymane listy do jakiegoś więźnia, a nawet zabierał grypsy napisane przez niektórych więźniów do swoich rodzin. Wspomniani salezjańscy koadiutorzy, gdy z salezjańskiej stolarni Niemcy zabrali maszyny, dalej pracowali w lagrach wśród więźniów i zapoznawszy się bliżej z niektórymi esesmanami, zabierali ze sobą na śniadanie i obiad duże porcje żywności, którymi dzielili się lub w całości je przekazywali głodnym i wycieńczonym więźniom. Niezależnie od tej działalności, mimo często przeprowadzanych dokładnych osobistych rewizji, z narażeniem życia przemycali do obozu różne listy oraz grypsy napisane przez więźniów do swoich krewnych lub innych osób.

Hitlerowcy, realizując swój barbarzyński plan germanizacji i wyniszczenia narodu polskiego, polecili w ostatnich dniach września zamienić salezjańskie pieczętki polskie na niemieckie oraz 24 października 1940 roku polecili salezjanom oddać władzom niemieckim wszystkie sztandary, chorągwie i emblematy z wizerunkami polskich świętych, a 21 kwietnia 1941 roku dano rozkaz zamalowania w kościele wszystkich napisów w języku polskim. Po tych poleceniach i rozkazach salezjanie przeżyli bardzo tragiczne i dramatyczne chwile dowiadując się o aresztowaniu 23 maja 1941 roku 12 salezjanów w Krakowie, z których już 27 czerwca 1941 roku czterech aresztowanych, tj. ks. Jan Świerc, ks. Ignacy Dobiasz, ks. Franciszek Harazim i ks. Kazimierz Wojciechowski zostało w okrutny sposób zamordowanych na Żwirowisku w obozie oświęcimskim. Mimo tych tragicznych wydarzeń i dalszych aresztowań, ks. Zygmunt Kuzak, narażając się na niebezpieczeń-

stwo aresztowania, dalej przekazywał osobom zaufanym chleb, masło i inne produkty żywnościowe, które je przekazywały w różny sposób w małych paczkach więźniom, a kleryk Rymer Alfons, dzięki znajomościom na Śląsku, wystawiał niektórym osobom potrzebne przepustki uprawniające do przekraczania granicy oddzielającej Generalną Gubernię od Rzeszy. W tych dramatycznych chwilach, ks. Kuzak stał się bardziej nerwowy, gdyż w każdej chwili spodziewał się aresztowania, o czym najlepiej świadczy fakt, iż w jego mieszkaniu obok łóżka stała mała walizeczka z najbardziej potrzebnymi osobistymi rzeczami, które w chwili aresztowania pragnął ze sobą zabrać.<sup>36</sup>

---

<sup>36</sup> ASIK 1882: Z. Kuzak, Pomoc więźniom obozów koncentracyjnych 1939-1945, mps., s. 7 i 8; Osobiste relacje ks. Z. Kuzaka; J. Ślósarczyk, Historia, cyt., t. IV, s. 299, 343; J. Krawiec, Cierpieć i być wzgardzonym, cyt., s. 134. Relacja ustna złożona przez ks. Alfonsa Rymera dnia 14.07.1957 roku.



## ROZDZIAŁ III

### WIĘZIENIE OBOZÓW HITLEROWSKICH

Ks. Zygmunt Kuzak swoje tragiczne i dramatyczne przeżycia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych najobszerniej opisał w artykule pt. „Jak Dante za życia przeszedłem przez piekło” w wydanym przez salezjanów: ks. Wiktora Jacewicza i ks. Jana Wosia „Martyrologium polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską 1939-1945” zeszyt III.<sup>37</sup>

---

<sup>37</sup> Maszynopis napisanego przez ks. Zygmunta Kuzaka w 1948 roku artykułu pt. „Jak Dante za życia przeszedłem przez piekło” liczący 60 stron znajduje się w ASIK B 2849. Wspomniany artykuł umieszczony w Zeszycie III, został przez Akademię Teologii Katolickiej w Warszawie w 1978 roku przedrukowany w: Ks. Wiktor Jacewicz, ks. Jan Woś, Martyrologium polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską w latach 1939-1945 zeszyt III w serii *Kościół Katolicki*

Biorąc pod uwagę wartość historyczną autentycznych, wiarygodnych i obiektywnie przedstawionych przez naocznego świadka w artykule tragicznych wydarzeń – by ich nie osłabić – będę się starał nie tylko artykuł dosłownie cytować, ale w niektórych wypadkach uzupełnić go faktami i wydarzeniami opisanymi przez ks. Zygmunta Kuzaka pod różnymi tytułami, których maszynopisy znajdują się w Archiwum Salezjańskiej Inspektorii w Krakowie.

Przez dołączenie do niniejszego opracowania innych, nie znanych dotąd dobrze opisów, pragnę jak najwierniej przedstawić, nie tylko przerażające fakty, ale również pozytywne zachowania i wydarzenia, jakich osobiście był świadkiem, i jakie przeżył autor w tym ocenie zbrodni i zła, które dotknęło niewinnych uwięzionych ludzi w piekle obozów koncentracyjnych ze strony zbrodniarzy nie uznających nad sobą Boga i nie zachowujących Jego przykazań.

Ks. Zygmunt Kuzak SDB  
„Jak Dante za życia przeszedłem przez piekło”

### ***1. Montelupich***

„W początkach sierpnia 1941 roku doszła mnie wieść, że gestapo bielskie usunie salezjanów oświęcimskich. Wiadomość tę podał dyrektor szpitala zainstalowanego w naszym zakładzie w Oświęcimiu. Przełożona sióstr Serafitek prosiła mnie, bym jak najspiesz-

---

*na ziemiach Polski w czasie II wojny światowej*, t. V, s. 406-446, którego treść dosłownie cytuję.

niej usunął się z Oświęcimia. Dyrektor szpitala, protestant, ucho-  
dził za bardzo przyzwoitego Niemca. Postanowiłem przeto u niego  
zasięgnąć informacji przez p. K. ... W parę dni potem otrzyma-  
łem potwierdzenie wiadomości: Salezjanie pójdą niedaleko, tylko  
na drugą stronę Soły. Pan K. radził również nie czekać na aresz-  
towanie. Prosiłem go, by jeszcze raz zapytał dyrektora szpitala,  
czy gestapo będzie nas ścigało jeżeli sami usuniemy się z domu,  
co przecież będzie podobne do ucieczki. Nie! – przysłała odpo-  
wiedź. Budziło się podejrzenie, że dyrektor, „przyzwoity Niemiec”,  
chce pewnie naszego wyjazdu, by mu z oczu znikli czarni. A może  
i uczciwy? Starszy, religijny... Licho wie, może prawdę mówi?  
Po mieście ludzie szepczą, że do miesiąca salezjanów już nie będzie.  
Tych szepców przecież źródło wiadome. Nie mogły one nikogo  
wzruszać.

Tymczasem salezjańska uroczystość św. Jacka zbiegała się  
w tę samą niedzielę ze świętem Wniebowzięcia w parafii oświę-  
cimskiej. U nas gości niewielu: okoliczni księża proboszczowie  
pospieszyli słusznie do swojego dziekana ks. Skarbka na odpust  
Matki Bożej.

Po obiedzie wybrałem się z księdzem Rokitą na imieniny do pro-  
boszcza Zająca w Nowym Bieruniu. Wracaliśmy pieszo późnym  
wieczorem. Przed nami setkami lamp błyszczał obóz oświęcimski.  
O czym tu mówić przy takim widoku? Chyba o tym, czym byśmy  
się zajęli będąc w lagrze. Ks. Rokita zgłaszał się zaraz do kraw-  
czarni. Ja wahałem się z podaniem za ślusarza lub stolarza, jak  
że w żadnym z tych fachów nie byłem należycie wykształcony, jak  
tylko oczami. Dodałem przy tym: zostawią nas w spokoju, przecież  
polityką się nie zajmujemy i unikamy wszystkiego, co by ich draż-  
nić mogło.

- Nic ci to nie pomoże – zauważył ks. Rokita – i tak będziesz sie-  
dział. W sześć dni od tej rozmowy – e! powiedzmy raczej: po uro-

czystościach Świętojackowych. A były one tego roku naprawdę piękne, a mnie podobały się jak nigdy. Ludzi przybyło mrowie, i chóry pod batutą kleryka Lupy popisywały się od samego rana bogatym repertuarem, i kaplica św. Jacka jaśniała słońcem tego dnia... Takiego dnia, jeśli była pogoda, zawsze jaśniała słońcem, ale mnie wydawało się, że tylko tego dnia w 1941 roku. Jedno „ale” mogło popsuć pogodę ducha. Mnie na pewno nie. Przy pierwszym dzwonienu na kaplicy św. Jacka pękła lina i dzwon umilkł. Już nie będę miał kazań na dziewiątce – przemknęło mi przez głowę. I przypominając sobie ten moment, ani dzisiaj nie mogę dociec co było mi bardziej bolesne, czy że nie będę miał kazań na dziewiątce, czy że ktoś inny będzie je wygłaszał.

Otóż w sześć dni po tych uroczystościach 30 sierpnia, w sobotę przed godziną pierwszą po obiedzie w pokoju ks. Rokity, u którego bawiłem, pojawiło się gestapo. Ks. Rokita musiał pokój opuścić. – Gdzie są te wszystkie przepustki, które wyrobiłeś? – krzyczał młody gestapowiec Procner. Trudno było mi przyznać się do wyrabiania przepustek, skoro nie wyrobiłem ani jednej. Starszy gestapowiec Siebert polecił mi ubrać się. W towarzystwie ich szofera udałem się do mego biura. Więc koniec! Towarzyszący mi szofer esesman trzymał się kilka kroków za mną. Szedłem z gołymi rękami. Jak błyskawica przeszła mi myśl przez głowę: zatrzasnąć drzwi, w kościół i niech szukają wiatru w polu. Ale jednocześnie: matka staruszka, bracia, zgromadzenie, aresztowania innych... A więc koniec! Wziąłem płaszcz, kapelusz i... zapomniałem wziąć małą walizeczkę, która z bielizną i przyborami do golenia od dwóch lat przy łóżku oczekiwała na tę chwilę. Po krótkiej rozmowie z burmistrzem podążyliśmy do Bielska. W kancelarii więzienia policyjnego w Bielsku po oddaniu zawartości kieszeni, do oddalających się gestapowców powiedziałem: dziękuję! Siebert z gniewem w oczach zwracając się do mnie wykrzyknął: pan sobie żartuje, to sprawa

bardzo poważna. Nie żartuję. Jestem przyzwyczajony dziękować za wszystko, więc dziękuję i panu.

Siebert zatrzaszukając drzwi zawołał: niech pan podziękuje Bogu, że myśmy pana wzięli. Przy tych słowach pokazał mi ręką na siebie.

Smakował mi chleb, zupa, kawa, kiełbasa z kapustą w więzieniu policyjnym w Bielsku. Towarzysze moi – nazwisk nie pamiętam – czego byli bohaterami, nie zdążyłem się dowiedzieć. Jeden z nich – według jego własnych opowiadań – miał się zajmować wykupywaniem więźniów z obozów niemieckich. Byli tacy – to wiemy. Zdradziła go żona pewnego więźnia obozu oświęcimskiego. Nie dowierzała pośrednikowi, zagroziła i wydała. Tymczasem mąż jej został zwolniony.

Na trzech siatkach od łóżek spało nas sześciu. Nie było najgorzej. Pierwszego września rano zdążyliśmy do Krakowa. Daleko odbiliśmy od miasta, gdy Siebert oglądając się na mnie zapytał: czemu pan jest tak złym człowiekiem? Nie rozumiałem całej tej sprawy – odparłem. Przed Krakowem zauważywszy moje ożywienie na widok miasta zapytał: pan zna Kraków? Pytanie i twarz gestapowca były bardzo, bardzo łaskawe. Siebert z gmachu gestapo na Pomorskiej wyprowadził młodego mężczyznę i mówiąc: „zbrodniarz” wpakował do auta. Przed kancelarią więzienia Montelupich po załatwieniu formalności stać musieliśmy zwróceniu twarzami do ściany dość długi czas. Nagle ordynarny głos kazał się nam odwrócić. Przed nami stał jakiś esesman i trzymał dwa naczynia na zupę. Mnie podał niewielkich rozmiarów czysty nocnik, mojemu towarzyszowi miskę z resztą marmolady. Umyć – wrzasnął. Rzuciliśmy się do zlewu, ale w tej chwili straszne „los” powstrzymało nas i popędziło gwałtownie do celi na pierwszym piętrze. Zgrzytnął klucz w zamku. W celi stał więzień z kajdanami na nogach. „Raus!” Nieszczęsny wypadł z celi. Byliśmy u siebie. W celi 111. Siedzie-

liśmy bez słowa. Długą chwilę milczenia przerwał mój towarzysz: A tośmy się dostali. Zupa z buraków spijana z otrzymanych naczyń wydawała się smaczna. Porcja była za duża. Po paru godzinach wprowadzono do celi jeszcze dwóch więźniów. Jednemu z nich zapomniano odebrać zegarka, pierścionka i dość dużego noża. Ten właśnie rozpoczął indagację. Ciekawy był, za co byliśmy aresztowani. Sam pierwszy przedstawił nam swoją winę. Nie wiem, ile szczerości było w odpowiedziach moich towarzyszy. Gdy wreszcie indagator zwrócił się do mnie z bardzo uprzejmym pytaniem, „a za co ks. dobrodziej został aresztowany” – otrzymał odpowiedź: jeszcze nie miałem przesłuchania.

Ów pan na drugi dzień opuścił naszą celę. Towarzysze moi zdaje się nie bez słuszności domyślili się w nim konfidenta. Na szczęście w rozmowach naszych nie było nic kompromitującego. W niedługim czasie po tym obawy nasze zostały potwierdzone ostrzeżeniami ze wszystkich stron.

W parę miesięcy później jakiś kajdaniarz z celi 110 powtarzał strażnikowi podsłuchaną rozmowę. Zadrzałem. Była to rozmowa jaką towarzysze moi prowadzili w nocy, prorokując Niemcom klęskę.

W celi 111 przesiedziałem od 1 września 1941 roku do marca 1942 roku. Cella była nieduża. Liczyła coś ponad 7 metrów kwadratowych przestrzeni. Zajmowało ją łóżko piętrowe, stół, taboret, kubeł kloaczny, umywalka. Stanowczo za mało miejsca pozostało dla ruchu dwóch, czterech, sześciu więźniów. Najczęściej było nas sześciu. Okno bez kosza dawało sporo światła. U tego okna towarzysze moi wystawali całymi godzinami wypatrując na dalekiej ulicy znajomych, żon, dzieci – nawet znajomego konia. Nienawidzący widoku wolnych ludzi, na stół do okna nie wychodzili.

W marcu zostałem przeniesiony do celi 114. Cel wolnych było sporo. Prosiłem o pojedynek. „Proboszczu – zauważył strażnik

– zwariował byś sam. Nie wolno. Nowa cela 114 była smutniejsza. Okno od północnej strony zasłonięto w niedługi czas po moim przybyciu koszem żelaznym. Tylko skrawek nieba widać było u góry. Wielkość celi taka sama.

Towarzysze? Zmieniali się wiele razy. Inteligencja, robotnicy, wieśniacy. Więzienie Montelupich, gdy do niego przybyłem mogło się modlić. Cele rano i wieczorem rozbrzmiewały religijnymi pieśniami. Moja cela modliła się i śpiewała. Dopóki nie otrzymałem prawdziwego różańca, odmawialiśmy go na zrobionym ze sznurka. Więźniowie modlili się chętnie. Niektórym z nich nie wystarczały modlitwy ranne i wieczorne. Żądali modlitwy w ciągu dnia. Trzeba było uczyć nowych pieśni. Układaliśmy okolicznościowe na znane melodie. Długi dzień zapełnialiśmy rozmowami na różne tematy rolnictwa, piwowarstwa, historii, Biblii, geografii. Kreśliliśmy plany domów. Mędrkowaliśmy o wzorowej gospodarce rolnej itd. Niechże czytelnik nie myśli, że były to jakieś wykłady i że analfabeci zdawali egzaminy. Zdarzało się, że wykładowca skarżył się na brak głosu, chrypkę, osłabienie i przestał mówić. Panowała niekiedy cisza śmiertelna. W celi 114 zabijano nudę preferansem, bridżem i stawianiem pasjansów. Nudę celi przerywały wizyty strażników, wyższych oficerów. Dałbym głowę, że raz wizytował nasze więzienie sam Himmler. Pierwsze wizyty były częste w ciągu dnia, niekiedy niespodziewane. Męczyły one obowiązkiem każdorazowego prężenia się w postawie baczości i meldowania numeru celi i liczby więźniów. Dręczyły rewizje, przy których odbierano wszystko, co mogło być zakazane: najmniejszy kawałek ołówka, łyżka z zaostrzoną rączką, gwóźdź, lusterko, szpilka. Pewnego razu rewizję przeprowadzało dwóch esesmanów, z których jeden robił wrażenie złego psiaka gotowego kąsać. Wyprowadzono nas na korytarz, ustawiono w rząd i przeprowadzano rewizję w celi, z której wylatywały rzeczy inkryminowane: kawałek patyka, jakiś gwóźdź,

łyżka zaostrzona, lusterko kieszonkowe, kubek papierowy i coś tam jeszcze. Po oczyszczeniu celi przystąpili do nas i przeszukiwali kieszenie, obmacując po bokach. „Wypróżnić kieszenie” – syknął do mnie młody esesman. Ukrywałem w bocznej kieszeni swetra prawdziwy skarb – musiałem drgnąć z obawy, by sam go nie znalazł, i podałem. Była to mała śrubka. Na co to? – zapytał. – „Nie mamy nożyczek, potrzeba do piłowania paznokci”. Esesman racji nie uznał i dorzucił śrubkę do innych trofeów walających się pod drzwiami celi. Zauważając, że coś znów wyciągnąłem z kieszeni, nadstawił dłoń. Z pewnym lękiem złożyłem na niej coś, o co nam wszystkim bardzo chodziło. Był to różaniec otrzymany niedawno z paczką odzieżową. Esesman przez sekundy czasu na otwartej dłoni trzymał różaniec i przyglądał mu się uważnie, a potem wlepwszy we mnie oczy, badał mój wzrok i bez słowa oddał mi koronkę. Rewizje przerażały, bo za posiadanie przedmiotu zakazanego można było dostać się do bunkra i przechodzić prawdziwą gehennę udręczeń. Był nim dawny chlew.

Były dni w tygodniu, że cele milczały. Wywoływano więźniów na przesłuchanie. Jęki dochodzące z dołu świadczyły, że przebieg śledztwa był wzorowy. Do celi wracali ludzie z podbitymi oczami, z plecami i siedzeniem atramentowego koloru. Gestapo przecież nie biło. Pewnego razu w celi 114 jeden z więźniów meldował się do lekarza: musiał przy tym pokazać esesmanowi tylną część ciała napuchniętą, czarną i ropiejącą. Strażnik zapytał mnie o przyczynę tego stanu. Począłem wyjaśniać, że więzień wrócił z przesłuchania, że gestapo... Strażnik zwrócił mi uwagę, że tak mówić nie wolno, na przesłuchaniach bowiem gestapo nikogo nie bije.

Milczenie cel przerywało jeszcze coś. Z dołu było słycać niekiedy całymi godzinami kucie. Domyślaliśmy się kuźni. Tak! Kuźnie – wyjaśniali doświadczeni więźniowie, którzy ją oglądali na własne oczy. Oprócz różnych prac kował wykonywał pewne



operacje na więźniach – zakuwał ich w kajdany. Grubymi nitami spajał na nogach żelazne pierścienie powyżej kostek połączone łańcuchem. Kajdaniarzy było wielu. Chrząst łańcuchów było słychać bezustannie na korytarzach i w celach. Za co zakuwano? W moich celach byli zakuci dwaj sabotażyści i pewien kryminalista. Wydawałoby się, że ciężkość winy decydowała o tej przyjemności. Niektórzy wyjaśniali, że strażnicy nie zabraniali podtrzymać łańcucha sznurkiem, by łatwiej było chodzić. Moi kajdaniarze przyznawali się, że pierwsze dni i tygodnie były dla nich straszne.

W celi więziennej i bez ruchu!

A teraz zagadka. W jaki sposób kajdaniarz zdejmował spodnie? Trzeba sobie to tylko wyobrazić. Proszę tego nigdy nie próbować.

Noc! Pragnąłem nocy, gdym przybył do więzienia Montelupich. W nocy będzie mniej udręki i będzie można spokojnie przygotować się na śledztwo. Posnęliśmy. Obudził nas straszny hałas na korytarzu: zgrzyt klucza w zamku celi, ordynarne „los”, chrząst kajdan, tupot bosych nóg biegnących korytarzem i katowanie nieszczęśliwych. Od tej pory spałem przez długi szereg tygodni w ubraniu i obuwiu – gotowy na transport nocny. Ileż to razy sen spędzał z oczu taki koszmar. Zgrzyt klucza w zamku cel... coraz bardziej bliżej... coraz bliżej... już po nas... Leżący za mną p. Andrzej Piernik z Przewozu pod Mogiłą przywiera do moich pleców, czuję serce wrzące gwałtownie w jego piersi... przestaje bić, a kark przestaje mnie palić gorący oddech. Słychać trzask żelaznej bramy, huczą auta, cisza groźna panuje znów w więzieniu. Dokąd podążyli skazańcy? Więźniowie szepcą, że te nocne transporty kończą niedaleko Krakowa... kończą źle...

Wiele nocy psuli esesmani znęcający się po pijanemu nad więźniami. Zdarzało się, że klucz zgrzytał już w zamku naszej celi, już światło błyskało... zagląający przez „judaszówkę” esesman

mówił „Pfarrer”, wyciągał klucz, gasił światło i szedł dalej wyładowywać swoją wściekłość...

Higiena! Czystość musiała panować w Sali. Po pobudce należało umyć się szybko, sienniki ułożyć na jednym miejscu, nakryć je kocami, cele zamieść, podłogę zmyć, naczynia wszystkie wyczyścić, cynowe piaskiem, „wypucować” na lustro. Najlepiej nadawało się połysk naczyniom cynowym proszkiem z cegły. Miednica i kubeł kloaczny musiał lśnić. Zwłaszcza kubeł. To była słabość wielu esesmanów. Mądra celi dbała o niego, pucowała godzinami, zdobyła pokrywę numerem celi i zdobywała sympatię strażników i wiele spokoju. W naszej celi chowaliśmy kilka kawałków cegły i z niej tarliśmy zbawienny proszek. Miednica i kubeł z numerem 111 należały do najpiękniejszych na całym korytarzu. Okno musiało być stale otwarte. Kąpiel stała się w ostatnich miesiącach mojego pobytu na Montelupich prawie tygodniowa. Wszarzy należało zgłaszać natychmiast. Na początku grudnia 1941 roku wygazowano wszystkie cele. W przeddzień gazowania przeprowadzono nas nagich do celi Ukraińców na korytarzu dolnym. W celi liczącej siedem metrów kwadratowych przestrzeni zastaliśmy sześciu Ukraińców. Z naszą piątką było nas jedenastu. Ukraińcy przyjęli nas godnie. Między nimi byli dawni studenci UJ. Podobno należeli do dopiero aresztowanego „rządu” ukraińskiego. Sami cierpiący niewygody, podzielili się z nami swoimi kocami i ustąpili nam miejsca na podłodze do spania. Pod koniec 1941 roku zorganizowano szpitalik. Fryzjer zjawiał się co tydzień. Zmieniało się na lepsze.

Bez zmiany pozostawało jedzenie. Rano czarna, gorzka kawa, w południe zupa. Wieczorem czarna, gorzka kawa lub herbata. Chleb czwarta część bochenka 250 gramów. Zupa z brukwi, buraków, kapusty, czasem woda, zabełtana łyżką mąki. Uroczystym był dzień, w którym otrzymywaliśmy w zupie kaszę lub pęczak. Dla stwierdzenia zawartości spijałem najpierw wodę i znajdowałem

na dnie „mojego naczynia” łyżkę pęczaku lub kaszy. Każdego tygodnia Opieka Społeczna usiłowała przyjść nam z pomocą. Ileśmy otrzymali z jej przydziałów? Zarząd więzienny odejmował wtedy swój przydział i chlebem Opieki Społecznej karmił nas parę dni. Do chleba otrzymywaliśmy raz w tygodniu parę łyżek pasztetu, drugi raz parę łyżek marmolady i trzeci raz kilka łyżek twarogu z cebulą, rzodkiewką i szczypiorkiem. Dodatki te również nadsyłała Opieka Społeczna. Postawiłem pytanie, ileśmy otrzymywali z jej przydziałów? Szeptano sobie, że byliśmy okradani w haniebnym sposób.

Moi towarzysze wiecznie narzekali na głód. Jeden przyznał się, że doznał bólów w szczękach, drugi odczuwał nieprzyjemne ssanie w piersiach, inny miał ochotę drapać wapno ze ścian i jeść. Jedno ziarenko pęczaku uronione z kotła na progu celi, na tym progu, na którym wczasy rano stawiano kubeł kloaczny, więzień podnosił do ust z powiedzeniem „księżę, to dar Boży” – odparowywał uwagę o niehigieniczności. Kruszynę sera leżącą na podłodze porywał do ust nie zwracając uwagi na towarzyszy i godność, jaką piastował na wolności. Z nienawiścią śledził większą kromkę chleba w rękach współwięźnia. Tworzył wagę i do okruszyny wymierzał racje, by o jeden gram nie otrzymać za mało. Przy steku przekleństw prowadził boje o chleb i dodatek zupy. Prosił o fusy od kawy by zapchać żołądek. Obojętny był na wzgardę i okradął innych. Krajał chleb na drobne kosteczki i suszył, by żuć dłużej. Śnił, śnił. Każdej nocy śnił o jedzeniu i mlaskał przez sen ustami. Nienawidził tych, którzy wyglądali lepiej. Cieszył się, gdy zauważył u nich upadek sił.

Trzymałem się dobrze. Upłynęły tygodnie i miesiące, aż wreszcie i ja zacząłem śnić. I cóż to były za sny? Po kuchni biegałem od garnka do garnka, zły, że wszystkie znajdowałem puste. Siedziałem przy stole w jadalni, a klerycy ze wszystkich stron podsuwali

półmiski, a księża zachęcali do jedzenia. Zauważyłem, że do duszy zaczęło się zakradać pragnienie takich snów. Przynajmniej we śnie najeść się! Wyobraźnia więźnia na jawie zaczęła rodzić pragnienia. Oto jakiś więzień widział siebie wolnym i zaspokajającym głód chlebem, inny ziemniakami, inny kielbasą, inny widział siebie na łóżku i miał przed oczyma na szafce nocnej i biurku bocheny chleba i słoje z konfiturami i masłem. Pewnej nocy sen. Ten sam powtórzył się, rozkoszny o jedzeniu sen! Kawał mięsa był niezwykle twardy... Obudził mnie silny ból... Gryzłem własny język.

Poprawiło się, gdy Opieka Społeczna poczęła nadsyłać do więźnia Karty Zaopatrzenia – Bedarfschein. Widywaliśmy je w rękach esesmanów. Podobno miesięcznie jedna karta przypadała na głowę. Służba więzienna mówiła nam przez judaszówki, że są, że starczy dla każdego, ale okrucieństwo esesmanów i przy tej okazji szukało zadowolenia. Zwlekali, dawali komuś, albo na trzech lub czterech, jak w mojej celi dawali jedną lub dwie. W jaki sposób trzech więźniów ma się zadowolić jedną kartą? Każdy pragnął skomunikować się z najdroższymi bodaj tą drogą. Mało wśród nas było takich, których esesmani ze sympatii obdarzali częściej Bedarfscheinem. Ale odważnym udawało się oszustwem i drogą kradzieży zdobywać karty zapotrzebowania. Za pomocą karty wolno było żądać ubrania, bielizny, a na dolnej części pozwalano nam wyrazić prośbę o paczkę żywnościową. A więc Niemcy w więzieniu Montelupich pozwalali dostarczać nam paczki odzieżowe i żywnościowe. Jaka radość. Można zmienić bieliznę, myć się do woli mydłem i prać. Zaledwie parę razy oddano nam paczki w całości. W niedługim czasie zmieniono – wprowadzono system dzielenia wszystkich paczek.

Paczki żywnościowe! Przy nich w całej nagości wystąpiła dusza ludzka. Nie każdy otrzymywał... Co ma uczynić więzień szczęśliwy posiadacz paczki, wobec trzech innych pozbawionych tego do-

brodziejstwa. Nie brakło bohaterów, którzy z uśmiechem na twarzy dzielili się z innymi. Ale nie brakło przykrych scen. Więzień z obawy, by nie musiał dzielić się z innymi, usiłował zjeść wszystko od razu, chodząc po celi jadł smalec łyżką, połykał owomaltynę... posiadając paczkę żywnościową okradał jeszcze innych w czasie snu, smakował wobec swoich towarzyszy głodnych i darmo oczekujących na przesyłkę. „Naprawdę to jest bardzo dobre. Chleb znakomity, kiełbasa pyszna” – wobec kilku głodnych zachwalał swoją przesyłkę jeden z więźniów. Nasyciwszy się usnął, kartony i pudełko ze stołu i począł przechadzać się po celi głaszcząc brzuch. – „Brzuszkę, aleś sobie podjadł, ale skoro to takie dobre, to jeszcze raz”. I wobec towarzyszy oddalonych od niego o metr, o półtora powtarzał śniadanie złożone z kawy białej i słodkiej, chleba białego ze smalcem i kiełbasą. Oczy głodnych współwięźniów nie mogły oderwać się od kartonów i pudełek. Jeden z nich odwrócił się. Miałem przed sobą twarz ściągniętą bólem. W oczach czytałem straszny akt oskarżenia nie za brak miłosierdzia, ale za te tortury...

„Naprawdę mam mądrą żonę, jak ona to wszystko znakomicie przygotowała”. Głowa siedzącego towarzysza niedoli począła się powoli skręcać w stronę drogocennych kartonów”. „Proszę, proszę! Proszę, brać ciasteczka. Ja nie lubię słodczy. Chętnie... proszę! Smalcem nie będę częstował, rozumiecie, bo to życie”. Nie brakło i chwil przyjemnych. Do takich należy Boże Narodzenie w 1941 roku spędzone w celi 111 i Wielkanoc w 1942 roku w celi 114. Łatwo się domyślić, że otrzymaliśmy od Opieki Społecznej duże paczki żywnościowe. Ale nie o tym chcę wspomnieć. W celi 111 pojawił się z końcem listopada 1941 roku p. Jan Oliwa. Podobno sumienie obarczył zniszczeniem niemieckiej Luxtorpedy w Zakopanem i zapalaniem niemieckiej wystawy, i całym szeregiem innych sabotaży. Coś w tym prawdy musiało być, ponieważ

naczelnik więzienia miał do niego szczególną sympatię i nazywał go sabotażystą.

Jan Oliwa gdy zjawił się w celi 111, miał kajdany zakute na jednej nodze. Lekarz więzienny dr Grabień dzielący naszą dolę stwierdziwszy u niego otarcie kajdanami na jednej nodze powyżej kostki, postarał się u władz więziennych, że pozwoliły Oliwie uwolnić chorą nogę z żelaznego ucisku. A potem „Jasiu” umiał symulować stale owijając nogę bandażem. W więzieniu młody człowiek przed konfidentem nasłanym do celi zdradzał się z wielu wyczynów i los swój przypieczętował. Cierpiał, pośpinał, wzdychał. Często wspominał swoją matkę i jeszcze kogoś... Pewnego dnia na początku grudnia myśl rzuconą pochwycił i zabrał się do roboty. Całe dni do Bożego Narodzenia upływały mu na mozolnej pracy. Inni pomagali. Czujka u judaszówki stała w tym czasie całe dni. Ostrożność była wskazana. Jakimś kozikiem zręcznie ukrytym Oliwa z kawałku drewna krajał cieniutkie deszczułki i sznurkiem wyprutym z siennika wiązał je w ściany szopki. Miała ona drzwi pośrodku i trzy okienka, każde o czterech szybkach. Dach był słomiany. Snopki świetnie imitowały kłosa znalezione w sienniku. W szopce naprzeciw drzwi inny więzień Andrzej Piernik ustawił żłóbek z Dzieciątkiem. Św. Józef, M. Boża, Trzej królowie z chleba adorowali Dzieciątko ulepione z tej samej „gliny”. Kolorowe papierki z cukierków posłużyły za szaty. Nad szopką połyskiwała gwiazda. W Wigilię Bożego Narodzenia na stole nakrytym prześcieradłem naprzeciw drzwi ustawiliśmy szafkę z krzyżem drewnianym roboty p. Oliwy na jej drzwiczkach. Na szafce stanęła szopka. Nad szafką zawiesiliśmy długi z frędzlami ręcznik, na którym kartonowa trąba wygrywała „Wesołych Świąt”. Na stole umajonym gałązkami jedliny stanęły miski. (Wstydzili się esesmani i zmienili mi „moje naczynie” na zupę. Również p. Jakuczek już nie posiadał „swojego naczynia” na zupę tj. spluwaczki). Obok stołu łóżka przybrały wy-

gląd sof. Na naczelnym miejscu przygotowanym dla księdza znalazła się zaimprovizowana poduszka.

W przygotowaniu stołu wigilijnego oprzytomnieliśmy, gdy nagle esesman otworzył drzwi i wpadł do celi. Trudno było czytać w jego twarzy. Nie rozumieliśmy dlaczego nas opuścił i zostawił otwarte drzwi. Upływały minuty. Staliśmy niepewni. Esesman powrócił z gromadą innych więźniów, między którymi byli księży i kazał im oglądać naszą szopkę. Pan Jan Oliwa promieniował z radości. Jakże żałuję, że z racji p. Jakuczkowi nie udało się zabrać szopki ze sobą, gdy opuszczał więzienie. Wieczór ten, zdaje się był przyjemny dla wszystkich. I Opieka Społeczna obdarzyła nas obficie, i naczelnik więzienia okazał się grzecznym – pozwolił nam śpiewać kolędy na korytarzu z towarzyszeniem harmonium. Chórem złożonym z kilku więźniów dyrygował ks. Stuglik. Mnie do chóru wciągnął znany nam strażnik, który należał do lepszych. Kazał mi włożyć sutannę, pomagał zapinać guziki i kołnierz i ciągnął za rękę, bo naczelnik więzienia ze swoimi podkomendnymi już czekał na polskie kolędy i asystował cały czas polecając na ostatku zaśpiewać *Stille Nacht*.

Ks. Stuglik wyglądał źle, a niedawno jeszcze trzymał się znakomicie i ducha we mnie przez judaszówkę podtrzymywał, nie tylko rozgrzeszeniem, ale i budzeniem nadziei. Przez judaszówkę mogliśmy zamienić kilka słów, gdy wypróżniał kubły kloaczne i roznosił wodę. Wykorzystując uprzejmość esesmana towarzyszącego nam przy kolędowaniu pytałem Stuglika o przyczynę złego wyglądu. Tłumaczył się chorobą... Esesman dodał, że otrzymał porcję kijów za niechęć do *Stille Nacht*. Ks. Stuglik przeczył... Jakiś więzień pochlebca oskarżył go, nie rozumiejąc trudności wynikających z braku niemieckiego tekstu.

W nastroju poważnym i religijnym upłynęła również Wielkanoc w celi 114 w 1942 roku.

Przeszło 9 miesięcy! Czy wiedzą o mnie rodzice? Czy wiedzą, że jeszcze żyję? Wykorzystałem dobroć, jak mi się zdawało, jednego z esesmanów i poprosiłem o papier listowy i ołówek. „Na co?” – Chciałem prosić naczelnika więzienia o pozwolenie na list do moich rodziców. Są bardzo starzy i cierpiący.

„To tylko tyle” – pytając uśmiechnął się drwiąco. – „Naczelnik nie pozwoli”. Dlaczego, przecież to starzy rodzice! Wzruszył ramionami. Czytałem w jego oczach, że uczucia podobne były mu nieznanne. Papieru dostarczył, prośbę do naczelnika zabrał, odpowiedzi nie otrzymałem.<sup>38</sup>

Ks. Zygmunt Kuzak opisując w wspomnianym artykule swój pobyt w więzieniu na Montelupich w Krakowie, chociaż nie przedstawił w nim swoich przesłuchań prowadzonych w czasie śledztwa w więzieniu, to jednak uczynił to w krótkim artykule pt. „Przesłuchania na gestapo – Sie! Herr Direktor! Herr Kuzak! I Du!”, którego maszynopis znajduje się w Archiwum Salezjańskiej Inspekcji w Krakowie. By uzupełnić materiał mówiący o przesłuchaniu ks. Kuzaka w więzieniu na Montelupich, cytuję go tutaj w całości (zachowuję przy tym pisownię oryginalną).

### ***Sie! Herr Direktor! Herr Kuzak!***

Zadawałem sobie pytanie i w tej chwili zadaję, dlaczego Siebert gestapowiec traktował mnie względnie. Dlaczego nie przemawiał do mnie per Du, ale zawsze przez Herr Kuzak, Herr Direktor, lub

---

<sup>38</sup> Ks. Zygmunt Kuzak SDB, *Jak Dante za życia przeszedłem przez piekło*, art. cyt., z *Martyrologii polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską 1939-1945*, t. V, s. 406-415.



Sie? Jego towarzysz młody gestapowiec zawsze gadał do mnie przez DU i był gwałtowny w odezwaniach się.

Gdy gestapowiec Siebert aresztował mnie w pokoju ks. Rokity, po krótkiej rozmowie kazał mi ubrać się i po chwili – było to chyba pół do drugiej 30 sierpnia 1941 roku – pojechaliśmy do burmistrza na zamku oświęcimskim. Burmistrz odciągnął w swoim biurze gestapowca na stronę i coś mu przez dłuższą chwilę opowiadał. Stałem od nich w odległości może pięciu, może sześciu metrów. Słyszałem lekki szept. Nie rozumiałem. W samochodzie Siebert był jakoś uprzejmy. Gdy jego pomocnik zaczął mi grozić, że oni mnie nauczą mówić prawdę, Siebert odwrócił się do niego i coś mu przez zęby krótko syknął. Procner zamilkł i od tej chwili do Bielska i potem do Krakowa już się do mnie nie odzywał.

Wspomniałem o tym, że w Bielsku po zameldowaniu mnie w kancelarii więzienia, Siebert wskazując na siebie powiedział mi, że powinienem Bogu podziękować, że on mnie aresztował. Gdy mnie opuszczał zostawiając mnie w więzieniu podziękowałem mu, a on mi na to z gniewem, że to jest sprawa bardzo ważna, a gdy dodałem, że jestem przyzwyczajony do dziękowania za wszystko, więc i jemu dziękuję, już wychodząc z kancelarii więzienia krzyknął: „niech pan Bogu dziękuje, że myśmy pana wzięli” i wskazał na siebie.

I nadal we więzieniu Montelupich w Krakowie Siebert był uprzejmy. Dopiero po czterech tygodniach wezwał mnie na przesłuchanie i tłumaczył się, że był bardzo zajęty, że nie mógł wcześniej, ale moja sprawa jest prosta i szybko ją załatwimy. Stojąc przede mną trzymał w prawej ręce kij od szczotki do zamiatania podłogi i tym kijem dotknął mojego lewego ramienia. Dotknął, nie uderzył! Przy tym odezwał się. Pan nam powie prawdę, czystą prawdę. Odpowiedziałem mu, że właśnie chcę tę reine Wahrheit powiedzieć. Naprawdę niczego nie pojmuję, dlaczego jestem

aresztowany. Siebert na to odwrócił się i kij rzucił w kąt celi. Wydawał się wściekły. Kazał tłumaczowi rozmawiać ze mną. Tłumacz przystąpił i począł mnie przekonywać, że przecież oni już posiadają osiem przepustek przez granicę na rzece Sole, sfalszowanych przeze mnie. Słyszając to podniosłem ręce w górę i wykrzyknąłem: chwała Bogu, to właśnie osiem przepustek i teraz mnie odeślijcie do Oświęcimia i skończone. Siebert po polsku nie rozumiał i zapytał tłumacza, dlaczego ja jestem taki ożywiony i podnoszę ręce do góry? Tłumacz powtórzył mu moje słowa. Siebert na to: „ja ci mówiłem, że to jest człowiek bardzo inteligentny i my go w ten sposób nie weźmiemy”. Ponieważ nie przyznałem się do podrobienia przepustek, bo naprawdę ja żadnej przepustki nie podrobiłem, Siebert kazał przywołać księdza Kubicę ze Zgromadzenia Chrystusowców i drwiąco zapytał mnie czy go poznaję. Mówiłem: Kubica nie miał brody, ale poznaję go. Siebert podał Kubicy papierosa. Kubica pochylił się i poprosił go o jeszcze jednego papierosa dla swoich kolegów z celi. Siebert podał mu drugiego. Kubica na pytanie Sieberta, czy ja mu wyrabiałem przepustkę, śmiało, głośno powiedział, że dyrektor salezjanów wyrabiał mu przepustkę przez granicę policyjną na Sole. Takie przepustki mogli otrzymywać mieszkańcy Oświęcimia. Kubica mieszkał w Krakowie. Gdy Kubica skończył, krzyknąłem głośno: „on kłamie, żadnej przepustki nikomu nie wyrabiałem”. I była to prawda.

Po wymianie jeszcze kilku zdań Siebert kazał mi odejść do celi. W tym opowiadaniu pomijam szereg szczegółów nieistotnych, bo powtarzanie, że nie i jeszcze raz nie i rozstrzelajcie mnie, ale nie... przeciągało się dość długo.

Ktoś zapyta jak rozmawiałem? Początkowo po polsku i tłumacz był potrzebny. Siebert jednak nie wierzył, że nie umiem po niemiecku i do tłumacza powtarzał, że ja nie chcę mówić, choć język niemiecki znam. Słyszając to powiedziałem do Sieberta: „proszę mówić

pomału, wyraźnie i krótkimi zdaniami, wtedy będę mógł mówić po niemiecku”. Ale zdarzyło się choć Siebert posłuchał i bardzo wyraźnie i pomału artykułował słowa, czegoś nie zrozumiałem. Siebert wtedy odzywał się do tłumacza „wiesz on się chce namyślić i dlatego nie rozumie”. Zwróciłem tłumaczowi uwagę, że nie namyślałem się tylko jednego słowa nie rozumiem. Tłumacz powiedział znaczenie tego słowa i znowu rozmawialiśmy po niemiecku bez pomocy tłumacza. Mógł Siebert nie wierzyć, że nie rozumiem po niemiecku, ponieważ do biura po płaszcz i kapelusz szedł ze mną kierowca wozu Sieberta. Nie wykluczone, że Siebert zapytał kierowcę co tam zauważył u mnie i ten mu powiedział: „w przedśionku na stoliku leżały pisma niemieckie, a na biurku pokoju leżał otwarty „Mein Kampf” Hitlera.

Ale co innego było dla mnie czytać takie pisma, a co innego swobodnie rozmawiać. W celi doświadczeni już więźniowie radzili mówić po polsku by mieć czas namysłu. Ponieważ nie byłem zaangażowany w żadną akcję podziemną (choć mnie do tego nakłaniano „zapewniając bezpieczeństwo”) śmiało odrzuciłem oskarżenie o fałszowanie przepustek. Ja osobiście wiedziałem kto to czynił, ale ja osobiście w tym ręki nie maczałem. I chyba to Opatrzność zamykała usta Siebertowi, że nie zapytał, „a może pan kazał komuś wyrabiać takie przepustki?” Czułem się wtedy nie bardzo pewny i mógłby zauważyć, że coś jest na rzeczy. Nigdy takiego pytania nie postawił. Dziwne to, ponieważ pytał mnie, czy ja miałem taką przepustkę. Oczywiście miałem, ale ja jej sam nie wyrabiałem, nie miałem czasu wyczekiwać godzinami na taką kartę. Dawało się pieniądze komuś innemu i ten po pewnym czasie przynosił mi Passierschein. „Ktoś Siebertowi usta zamykał”.

Ale to jeszcze nie tłumaczy, dlaczego Siebert okazywał mi względy. Przypisywałem to burmistrzowi. Po zakończeniu działań wojennych urząd Ortskommandanta zajął burmistrz. Parę dni

po przyjeździe do Oświęcimia przysłał wiadomość, że chce nas odwiedzić. Przyjeśliśmy go bardzo godnie. Któregoś dnia wpadł do mnie ks. dziekan Jan Skarbek powiadamiając, że był u niego burmistrz i że wypada, że mu złożymy rewizytę. Poszliśmy zaraz na zamek. Burmistrz był bardzo zadowolony. Przyjechawszy do Oświęcimia musiał dłuższy czas czekać na należyte urządzenie się i poprosił o obiady u nas. Już od dłuższego czasu żandarmeria zajmująca parę pokoi w naszym zakładzie przychodziła na obiady do kuchni. Siostry Serafitki, z których jedna umiała dobrze po niemiecku w obszernej kuchni ustawiły dwa duże stoły i każdego dnia podawały – nie „ein Gerichtopf” ale obiad z trzech dań. Żandarmi, a potem i inni urzędnicy niemieccy nie protestowali. Dla burmistrza siostry przygotowały pierwsze miejsce. To jedno, co ujmowało burmistrza za serce. Gdy mnie spotkał na mieście pierwszy mnie pozdrowiał. Gdy spotkał mnie u fryzjera, podchodził i podawał mi rękę. Ja ze swej strony posyłałem mu życzenia świąteczne. To samo robiłem w stosunku do komendanta policji. (Prowadziliśmy kurs tajnej teologii dla kilkunastu nawet dla dwudziestu dwóch teologów. Bez pozwolenia, którego nie otrzymaliśmy.)

Tak mi się wydaje, że burmistrz mówił o tym Siebertowi.

A może coś innego wpłynęło korzystnie na Sieberta dla mnie? Gdy wróciłem z Niemiec do Polski w 1948 roku siostra Teodozja, przełożona serafitek w Oświęcimiu opowiadała mi, że Siebert czekał na dwa tysiące marek. Za to miał mnie zwolnić z więzienia Montelupich, gdzie przesiedziałem dziesięć miesięcy. Ale czy to mogło być prawdą? W moich wspomnieniach z czasów wojny pisałem, że w więzieniu w Bielsku jeden z towarzyszy celi twierdził, że za dwa tysiące marek można się wykupić. I on sam znał takie wypadki. Gdy wróciłem do Polski dowiedziałem się, że Siebert został przychwycony na takiej manipulacji i zniknął, według jednych został

wysłany na front, według drugich skazany na Oświęcim i skończył. Ale jak się to stało? Otóż tak! Gestapo z innego miasta zażądało pewnego więźnia z obozu oświęcimskiego na przesłuchanie. Gestapo obozu oświęcimskiego odpowiedziało, że dnia tego i tego i roku takiego Siebert tegoż więźnia zażądał do Krakowa i więźni z Krakowa do Oświęcimia nie wrócił.

Ale ks. stale wymienia nazwiska gestapowców, którzy się dali księdzu we znaki. Gestapo nie przedstawiało się nikomu. A więc skąd ich nazwiska? Byli oni znani w Krakowie. To oni 23 maja 1941 roku zabrali jedenastu naszych współbraci do więzienia i obozu i przez długi czas szykanowali nasze seminarium i jak mi powiedział Siebert inne zakony. „Sprawy zakonów w Krakowie ja mam w swoich rękach”. Wreszcie nazwiska ich zdobyto. Gdy przyjechałem do Krakowa podał mi ich nazwiska ks. Zbigniew Bączkowski, który wiele od nich ucierpiał.

Jeszcze raz wezwał mnie Siebert na przesłuchanie. Powtórzył krótko to samo oskarżenie o podrabianie przepustek i dodał inne: Pytał: A gazetek podziemia pan nie czyta? Nie czytałem i nie widziałem. A zobaczmy, co powiedział Kubica. Siebert zaczął grzebać w grubym segregatorze i czytał: „przekazywałem dyrektorowi salezjanów w Oświęcimiu strzępek z gazetki politycznej”. (Pokazywał mi naprawdę strzępek takiej gazetki).

A ks. Czesława Skarbka pan nie znał? Owszem znałem. To był mój młodszy kolega z gimnazjum oświęcimskiego. Ale gdy ja wstąpiłem do nowicjatu salezjańskiego, łączność zerwała się. Więcej z nim się nie widywałem. „A zobaczmy co powiedział Kubica”. Grzebał znów w segregatorze: „pokazywałem dyrektorowi salezjanów w Oświęcimiu list ks. Czesława Skarbka do N.N. w Oświęcimiu”. (Pokazywał mi taki list) Ha! Ha! Ha! Śmiał się Siebert. „No jeszcze inne rzeczy opowiadał nam Kubica, ale to wystarczy. Wystarczy!”

I potem poszliśmy do spisywania protokołu. Dolmetschera (tłumacza nie było, ale sekretarka, jak mi się wydawało żydówka i chyba więźniarka, biedna mizerniutka, może miała służyć za tłumacza, ale nie było potrzeby tłumacza, bo Siebert starał się mówić zrozumiale. Od początku do końca protokół był negatywny. Nie! i Nie! Siebert zgadzał się ale w pewnym momencie zapytał: „a mógłby to pan zaprzysiąc?” Pytanie to nie było mi przyjemne, ale odpowiedziałem: „pan chciałby przysięgi na taką drobnostkę? Siebert wrzasnął: „Jak pan śmie tak mówić, to jest sprawa bardzo poważna” i przysięgi nie żądał. Ale zdarzyło się, że ktoś przysięgę złożył i wyspał wielu. Jedną ofiarę (pewnego lekarza) takiej przysięgi poznałem w Mauthausen. Ja nie musiałem się łamać z moim sumieniem. Tamten przeproszał przy konfrontacji swoich współników, ale to im cierpienie nie umniejszyło. Po spisaniu protokołu Siebert zapytał, czy podpiszę. Chciałem protokół przeczytać. Siebert podał mi go i śledził czy czytam. Po przeczytaniu oddałem mu mówiąc, że „wszystko jest dobrze spisane”. Siebert zapytał, czy podpiszę. Tak, proszę o ołówek. Podał mi go i gdy podpisałem zapytał, „a jeśli to nieprawda?” To mnie rozstrzelacie. Zdziwił się i dodał. „Vielleicht sind Sie unschuldig”. Może pan jest niewinny. Zobaczymy i kazał mi odejść.

Spowiedź oskarżonego u jakiegoś księdza obwiniała również księdza pytał Siebert. Czy Kubica przychodził do mnie do spowiedzi. Mówiłem: „przecież spowiednicy nie pytają o zawód i inne okoliczności, a jeżeli Kubica był w cywilu, to jak mogłem wiedzieć, że to on.” I Siebert odpowiedział: pan ma rację.

Po pewnym czasie od tego drugiego przesłuchania, jeden z esmanów poprowadził mnie do fryzjera, a potem fotograf robił ze mnie zdjęcia. Prowadzono śledztwo dalej<sup>39</sup>

Mówiąc o śledztwie ks. Kuzaka na Montelupich w Krakowie należy podkreślić, że podczas jednego z przesłuchań Siebert między innymi zapytał ks. Zygmunta Kuzaka: „Jak się jako wychowanek zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu odnosił do państwowych władz austriackich i niemieckich”. Po tym pytaniu – jak opowiadał ks. Kuzak – „zadrżałem i przeraziłem się bardzo, ale mimo to błyskawicznie i krótko powiedziałem: Dobrze, bo przecież nie miałem powodów do złego odnoszenia się do władz austriackich i niemieckich, gdyż urodziłem się w zaborze rosyjskim, gdzie ukończyłem szkołę podstawową. W zakładzie oświęcimskim uczniowie pochodzący ze Śląska, a więc z zaboru niemieckiego, odnosili się do mnie grzecznie i kulturalnie, a więc nie miałem żadnego powodu do skarżenia się na Niemców i Austriaków, gdyż na terenie ich państwa miałem okazję się kształcić. Ta odpowiedź zadowoliła Sieberta, a ja z wielką ulgą westchnąłem: „Deo gratias – Bogu dzięki, że gestapowiec nic nie wie o tym, że z kolegami, zrywalismy po uzyskaniu niepodległości austriackie godła państwowe w Oświęcimiu, które w Sole utopiliśmy, oraz że na granicy pruskiej uroczyście manifestowaliśmy śpiewając „Jeszcze Polska nie zginęła”, bo gdyby to wiedział byłbym zgubiony”.

Po różnych przeżyciach – jak pisze ks. Kuzak: „Osiemnastego czerwca 1942 roku zostałem wywołany z celi i przeniesiony do Sali transportu. Zostałem w niej kilkudziesięciu krakowian z łapanki na ulicach miasta. Jeden z nich, Zygmunt Walter, na swoim formularzu personaliów czytał: Sabotagevergeltung – zapłata za sabotaż.

---

<sup>39</sup> ASIK B 2849: Ks. Z. Kuzak, Przesłuchanie na gestapo, Sie! Herr Direktor! Herr Kuzak! mps., s. 1-4.

Nie byli oni pierwsi i jeszcze nie ostatni. Wieczorem wielu z nich spowiadało się. Rano dwiema partiami załadowano nas do samochodów i powieziono. Przed południem stanęliśmy w obozie oświęcimskim.<sup>40</sup>

## **2. Oświęcim**

Napis na bramie „Arbeit macht frei” (Praca czyni wolnym) mogliśmy odczytać tysiąc razy stojąc u wejścia długi czas. Wreszcie po formalnościach przeróżnych, zdaniu naszych ubrań, kąpeli, otrzymaniu ubrań lagrowych, zdjęciu z dwóch stron, przeróżnych zapisach dostaliśmy się na blok 11 śmierci. I przyglądając się sobie wzajemnie zrozumieliśmy, że rozdzielający nam obuwie i ubranie obozowe jakiś pracownik z Bekleidungskammer (szatnia – magazyn odzieżowy) miał zupełną rację, gdy nam zapowiedział drwiąco, że za chwilę będziemy „tacy głupi, że się nie poznamy”.

Już był wieczór. Otrzymaliśmy kawę, którą musieliśmy wypić duszkiem obchodząc kocioł wkoło i oddając natychmiast kubek drugiemu. Na kilkudziesięciu więźniów kubków było kilka. Po kawie spać. Usnąć trudno – pewnie i dlatego, że rozpoczynaliśmy nowy etap życia, stokroć bardziej niepewny niż poprzedni. Mieszkając w Oświęcimiu niedaleko lagru, słyszałem o nim wiele. Przechodząc przez miasto więźniom przyglądałem się często. Chwaliłem się przed znajomymi, że posiadam dokładne dane o życiu naszych w obozie. Poznać przecież prawdę mogłem dopiero teraz. Żaden z moich towarzyszy nie spał. Każdego dręczyły przeróżne

---

<sup>40</sup> Relacja ustna ks. Zygmunta Kuzaka przy stole na Dębnikach w Krakowie z okazji 11 listopada 1984 roku; J. Krawiec, *Działalność religijno-patriotyczna*, cyt., s. 140-142.



obawy. Ale gdyby nas zapewniono, że jutro odzyskamy wolność, i tak nie usnęlibyśmy, i to nie z radości, ale z powodu robactwa, które tysiącem żadeł dobierało się do naszej krwi, tym zjadliwej, że świeża. Nie mogłem spać, bo za chwilę mogłem stać się ofiarą okrucieństwa młodego chłopca sztubendinsty. Staremu Izraelicie, jakiemuś mecenasowi, kazał biegać między łózkami, padać na ziemię, robić przysiady i skakać jak żaba. Nie mogłem spać. Niepewne jutro, robactwo, okrucieństwo... Czy ktoś z przybyszy spał, nie wiem. Na bloku 11 mieszkaliśmy trzy dni. Starzy więźniowie wtajemniczali nas w życie obozowe. Z lękiem i czcią przyglądaliśmy się ścianie śmierci. Poznawaliśmy naszych panów: blokowych i sztubendinstów. Pan blokowy, Niemiec z zielonym winklem (trójkątem na lewej piersi) Berufverbrecher zbrodniarz zawodowy – po wstaniu rannym, gdy setki jego podwładnych przy steku przekleństw i znęcaniu się panowie sztubowi szeregowali i liczyli – ukazywał się po raz pierwszy w piżamie. Stawał we drzwiach bloku i w milczeniu przyglądał się robocie swoich podkomendnych, po czym cofał się do swojego pokoju. Po raz wtóry ukazywał się w koszulce i spodniach i badawczym wzrokiem mierzył szeregi więźniów. Po raz trzeci ubrany z opaską blokowego na przedramieniu, z czapką w ręku wybiegał naprzeciw esesmana i meldował mu stan bloku. Panu blokowemu sztubowy przynosił śniadanie na jakiejś tacy. Co przynosił? Oczy tego dojrzeć nie mogły. To było przykryte śnieżnobiałą serwetą. Więźniowie otrzymywali znane porcje kawy, herbaty, zupy i chleba, z tą różnicą, że do chleba wieczorem otrzymywali jakiś dodatek. Ile gramów? To zależało nie tylko od rozporządzenia władzy niemieckiej, ale i od widzi mi się obsługi bloku.

Niektórzy więźniowie twierdzili, że gdybyśmy otrzymywali wszystko, co nam władze niemieckie przeznaczały, można by w la-

grze wytrzymać. Temu przeczy oświadczenie Raportführera Palitscha: „kto z was żyje dłużej niż trzy miesiące, jest złodziejem”.

Blokowy z jedenastki z wejrzenia robił niezłe wrażenie. Małomówny. W ciągu trzech dni nigdy nie słyszałem jego głosu. Przyjaznym spojrzeniem odpowiadał na pozdrowienia. Trzeciego dnia mogłem przypatrzeć mu się lepiej. Miękkim krokiem zbliżył się do zgiętego we dwoje chorego Izraelity. Coś mu powiedział cichym głosem i... (po raz wtóry w obozie doznałem gwałtownego wstrząsu) kopnął nieszczęśliwego w brzuch. Twarz biedaka wykrzywiła się w nieokreślony grymas i nieszczęśliwy zwałił się z nóg. Ale trzeba skamienieć i być nieczułym wobec takich scen. Kto w obozie przejmował się takimi drobnostkami, ginął w krótkim czasie.

Na czwarty dzień po apelu rannym wyprowadzono nas na lagier pod dzwon i wybrano kilkudziesięciu, w tej liczbie i mnie, do pracy w magazynach SS i policji. Natychmiast wykąpano nas, odwieszono, przebrano w czyste pasiaki i przeniesiono na blok 18. Pan blokowy miał czarny winkiel. Sprowadził nas do piwnicy bloku i tam palnął nam mówkę naszpikowaną najordynarniejszymi przekleństwami. Pod koniec zagroził: „a jeżeli takiego s... złapię, to go tu na belce powieszę i tak go przyprawię, że do rana będzie gotów i nikt mu tego nie odbierze”. Mnie wezwał do siebie. Siedział w swoim pokoju rozparty na krześle. „Tyś farosz”! – Tak panie blokowy! – Powiedz mi czy taki człowiek, który zamordował kilku ludzi, może być zbawiony?” Ujrzałem siebie na belce, ale nie mogłem sobie wyobrazić, co on na niej ze mną będzie robił... Tak – odparłem – jeżeli będzie pokutował, może być zbawiony”. Nie dowierzał i począł plastycznie przedstawiać, co taki zbrodniarz mógł ze swoimi ofiarami czynić, i znów pytał, czy taki właśnie mógł osiągnąć zbawienie. Otrzymał tę samą odpowiedź.

– „No idź, jeszcze se pogadamy”.

Blok 15 czyściutki, wyfroterowany, miał również łózka piętrowe, ale z prześcieradłami i bez robactwa. Nic dziwnego. Na tym bloku mieszkali więźniowie pracujący w najlepszych komandach, jak w magazynach i kuchniach SS i policji. Sztubowy naszej izby był podobny do blokowego. Jeżeli twarz człowieka jest zwierciadłem duszy, to dusza naszego sztubowego była otchłanią nędzy moralnej. Na bloku 15 nie musieliśmy wstawać o trzeciej, jak poprzednio. Wypaliliśmy się znakomicie śpiąc w pojedynkę. Przez dwa dni do pracy chodziliśmy na tor kolejowy wiodący do Brzezinki. Drugiego dnia wieczorem po apelu wieczornym zostałem przewieziony na blok 19, a tym samym przeznaczony do pracy na Buna w Dworach koło Oświęcimia.

Powtarzano mi nieraz, że obóz oświęcimski był już rajem. Przyszedszy na blok 19, sądziłem, że znalazłem się w otchłani piekielnej. Łóżka również miały prześcieradła, ale przed spaniem musiały być złożone na szafce. Sienniki brudne, napelnione starą słomą i pełne robactwa. Otrzymałem łózko... Spało już w nim dwóch więźniów. A więc w trójkę! Ktoś zwracał mi uwagę, że śpią i w czwórkę. Wstawaliśmy do pracy o godzinie trzeciej. Natychmiast należało ubrać się. Do szczęśliwych należeli nieliczni, którym udało się umyć. Łóżko uporządkowane i równe jak stół trzeba było przedstawić panu sztubowemu. Herbatę duszkiem wypić, bo... s... taki s..., tu nie ma restauracji. Dawaj miskę, bo jak cię..." zmuszało do pośpiechu. „Miskowi” potrafili wygodnisiowi miskę wyrwać, zawartość jej na twarz wylać, miską w chwili picia w zęby trzasnąć, ale nigdy nie zauważyłem, żeby miskowy komuś zęby wybił – nie było więc tak źle. Na wąskim korytarzu 400 ludzi tłoczyło się, popychało usiłując przepić kawałek chleba, jaki jeszcze został z wieczerzy. Jeszcze jedna funkcja była do załatwienia. Służba więzienna z dwóch ustępów jeden zarezerwowała dla siebie. Kilkuset ludzi ustawiło się w ogonek przez ubikacją z 11 muszlami. Dwóch,

trzech naraz czepiało się jednej muszli. Niecierpliwi uprzywilejowani za kołnierze odciągali przedłużających posiedzenie, wywracali ich na ziemię... Dodać trzeba, że w obozie w tym czasie panuje nagminnie biegunka... Więźniowie wreszcie mogą wyjść na plac apelowy i pomaszerować do pacy.

Więc i ja na Buna! Zbliżył się do mnie małego wzrostu człowiek, z twarzą brzydką i złą, z zielonym winklem. Vorarbeiter – przewodnik, wyciągnął notes i zapytał mnie o nazwisko i zawód. Gdym powiedział: ksiądz, popatrzył na mnie uważnie. Czułem, że ktoś z tyłu uderzył mnie w plecy. Zrozumiałem, ale powtórzyłem: „proszę zapisać – ksiądz”. Przodownik zapisał Pfarrer – proboszcz. „Będiesz chodził przy mnie, w pierwszym rzędzie” – powiedział mój nowy przełożony. Towarzysze pracy poczęli mi przepowiadać same nieszczęścia: „To morderca on księdza zabije”.

Na Bunę jeździłem siedem dni. Pierwszego dnia miałem sposobność przekonać się o prawdzie słów moich współpracowników. Nasz przodownik szalał: dębowym kołkiem tłukł ludzi przy pracy, rozbijał głowy, kaleczył twarze... Postanowiłem spróbować metody więziennej i wracając od pracy począłem przedkładać mu, że ludzie są bardzo dobrzy, że chętnie pracują, ale są słabi tak jak on itd. Słuchał, racji nie chciał przyznać, ale w następnych dniach kołkiem się nie posługiwał. Tego dnia dawałem koncert nad potoczkiem w Dworach. Jeden z esesmanów przyznał się naszemu strażnikowi, że posiadał w swojej grupie rabina. Ucieszył się nasz opiekun i zaoferował swojego księdza, i dwaj duchowni otrzymali rozkaz śpiewać Deutschland über alles... Głos mi nie dopisywał, słów nie znałem i pomimo kija kapo śpiewać nie mogłem. Esesmani machnięciem ręki zrezygnowali z naszego wyczynu.

Do Dworów przybywaliśmy pociągiem, ale na stację oświęcimską i ze stacji w Dworach na miejsce pracy maszerowaliśmy boso trzymając obuwie w rękach. Wkładaliśmy je tylko na czas pracy.

Maszerowaliśmy w szeregach w opiece strażników z psami i karabinami gotowymi do strzału. Maszerowaliśmy przez gruz, szlakę, szkło, skorupy, rżysko, kałuże. Bandaże papierowe pozakładane wieczorem spadały z nóg i krew broczyła z ran, znacząc każdego dnia pochód Buny. W pociągu towarowym natłoczeni przybywaliśmy do Dworów. Każdy starał się jak najlepiej wyskoczyć z wagonu, ponieważ kapowie i vorarbeitrzy urządzali sobie żarty i na tyłach naszych chwytając się za ręce całą gromadę więźniów stłoczonych u drzwi wypychali siłą. Wielu padało na kolana, twarze, ręce, raniąc się boleśnie.

Od siódmej rano przez dzień cały do piątej wieczorem słychać strzały. Esesmani do celów wybierali sobie więźniów. Pierwszego dnia mojej pracy na Bunie esesmani na naszych oczach zastrzelili dwóch więźniów. Jeden był Izraelitą z naszej grupy. Strażnik kazał mu pójść po deskę leżącą na łące. Za odchodzącym strzelił i spudłował. Nieszczęsny obrócił się i stanął, nie wiedząc co ma czynić. Esesman powtórzył rozkaz, w plecy biedaka wymierzył i tym razem trafił. O dwunastej na plac obiadowy, na który znoszono ze wszystkich stron ofiary teutońskiego szału, nieśliśmy naszego towarzysza obozowej doli pytając siebie, kto z nas będzie wzięty na cel po obiedzie. Po południu w odległości kilkudziesięciu kroków jakiś więzień szedł wierzchem długiego wału żwiru. Wtem padł strzał i więzień zwałił się z nóg. Po chwili ktoś inny nakrył go płachtą papieru z worka cementu. Buna jednak nie wynosiła na swoich ramionach trupów wkraczając wieczorem do obozu. Samochody zabierały je i odwoziły wprost do krematorium. W takt marszów walecznych z takimi trofeami wracały inne komanda (oddziały pracowników).

Wytrzymałem siedem dni. Dręczony biegunką, opuchły po pas, trawiony gorączką, z poranionymi nogami zgłosiłem się do szpitala i zostałem przyjęty. Spoczywając na łóżku sam, względnie

czystym, mogłem wyspać się i wypocząć. Chleba otrzymywaliśmy więcej. Jako nowicjusz w życiu obozowym przypuszczałem, że należało to przypisać trosce o chorych. Ktoś z obsługi szpitalnej wytłumaczył mi, że nasze dodatkowe porcje chleba należały do mużłamanów wywożonych do komór gazowych. Wiadomość nikogo nie zasmuciła i nikomu nie odebrała apetytu. Ludzie pragnęli żyć i wyczekiwali drugiej porcji chleba, obojętni skąd pochodziła. W czasie pobytu mego w szpitalu byłem po raz pierwszy świadkiem wieszania dwóch więźniów przyłapanych w czasie ucieczki z obozu. Z okien szpitala przyglądaliśmy się skazańcom. Pacjenci zachowali milczenie, byli poważni, ten i ów zagryzał chleb. Nie radzono dłużej bawić w szpitalu. Było to ryzykowne, dlatego po trzech prawie tygodniach powracałem do pracy. W dzień odejścia na blok 19 przechadzałem się po podwórku szpitalnym i byłem świadkiem nowych zbrodni: do ambulatorium wnoszono chorych i po pewnej chwili wynoszono ich po zastrzyku śmiertcionośnego fenolu. Wszedłem na korytarz sąsiedniego bloku szpitalnego. Właśnie jakiś pielęgniarz pomagał zupełnie nagiemu pacjentowi dostać się do łazienki. Chory ze śladami biegunki na całym ciele, wychudzony na szkielet, ledwo trzymając się na nogach, opierał się rękami o ścianę i powoli posuwał się ku drzwiom. Pielęgniarz poganiał go gradem przekleństw i groźbami. Wreszcie nieszczęśliwy dotarł do łazienki i wiedząc, co ma czynić, runął na ziemię, zaczął się pod tusze i legł na lewym boku. Pielęgniarz obrócił go nogą brzuchem do ziemi, przydeptał... puścił zimny tusz. Powracałem do pracy. Ale dokąd? Bałem się Bunu. Mieszkałem znowu na bloku 19 i od połowy lipca do 24 sierpnia spałem zawsze w trójkę. Była to prawdziwa tortura. Każdej nocy dwie pary cuchnących nóg koło mej głowy i ta świadomość, że ja również kopię kogoś przez sen w twarz. Sztubowy nowy człowiek przechwalał się często, że gdzie indziej znany był z surowości, ale i z dyscypliny, jaką miał

na izbie. O, mogłem się przypatrzeć każdego dnia metodom, jakimi porządek utrzymywał. Wieczorem przed przyjściem blokowego uczył nas klaskać w ręce na jeden raz. To miało poprzedzać apel na izbie. Niekiedy blokowy zażądał apelu na korytarzu. Proszę pomyśleć, że przejścia między łózkami były ciasne – na jednego człowieka, że łóżka potrójne obarczone były dziewięciu ludźmi po każdej stronie. Co działo się przy piekielnym rozkazie: „wychodzić”. Ludzie z pięt skakali na głowy swoich kolegów wychodzących z dolnych łóżek. Blokowy u drzwi izby okładał pasem wybiegających na korytarz. Sztubowy ze swoim pomocnikiem szalał w izbie bijąc, kopiąc i siłą wytłaczając nieszczęśliwe kłębowisko ludzkie. Sztubowy przechwalał się, że gdzie indziej cała izba na jedno jego słowo musiała włączyć pod łóżka. Tu okazywał się lepszym.

Po apelu wieczornym myłem się, o ile była woda, biłem wszy i zmęczony wyciągałem się na sienniku. Za chwilę całe ciało poczynało piec od tysięcy ukłuć. Usypiałem. Kto zresztą nie usnął po strasliwym zmęczeniu całodziennym. Ileż razy budziło mnie uderzenie w twarz „Panie sztubowy – pytałem pewnego razu – czy nie wolno się kłaść?” „Wolno, ale nie wolno spać.” Wolno było usnąć po wizycie blokowego.

Nie rozumiem po dzisiejszy dzień, dlaczego sztubowi pobili mnie pewnego wieczoru w okrutny sposób, kułakując mi niezliczoną ilość razy w lewy bok. Zapytać „czemu mnie bijecie” lub opór stawiać było rzeczą ryzykowną, można było życie stracić. A śmieszne to, bo ich również pozdrawiałem. Ale nie mniej śmiesznym jest inny wypadek. Pewnej niedzieli na korytarzu naszego bloku zaczepił mnie jeden z więźniów i zaofiarował mi papier listowy. Zażądał za niego porcję chleba (całodzienny posiłek). Przechodzący obok pomocnik sztubowego uderzył mnie w twarz ze słowami: „głupi, taki papier można darmo dostać”. Proszę mi wyjaśnić, dlaczego ten młody chłopiec bił w twarz mnie, milionowca, no-

wicjusza w życiu obozowym nieświadomego rzeczy, a nie owego szakala, który mi chciał odebrać dzienną porcję chleba? Pewnie mi chciał napędzić rozumu do głowy. Również szukam wyjaśnienia, za co otrzymałem kopnięcie i razy w kark i twarz od innych, których nie znałem i którym nie wyrządziłem żadnej krzywdy. Poczytać to wszystko musiałem za chrzest, ponieważ byłem milionowcem, nowym człowiekiem nie mającym prawa do żadnych względów. Po kilku miesiącach zmieni się to. Już na mnie ręki nie wyciągnie byle kto, chyba tylko jakaś szarża, i to się zdarzy tylko raz jeden. Milionowiec, bo numer 39884, jaki otrzymałem, był godny pogardy. Milionowcy nie mieli prawa do życia.

Po wyjściu ze szpitala zgłosiłem się do kartoflarni. Stojąc przed szrajberem kartoflarni Arctem zacząłem od przedstawienia się. „No i co z tego” – wrzasnął Arct. – Chciałem pracować w kartoflarni. „I tak mam was za dużo. No włącz”. Była to tylko obozowa forma przemawiania. Arct był zacnym młodzieńcem. Na drugi dzień stanął pod ścianą śmierci. Naoczni świadkowie opowiadali, że do ostatniej chwili podtrzymywał innych na duchu. Kapem kartoflarni był oficer polski kapitan Lisowski, zacny i dbający o ludzi. Garnęła się do niego inteligencja polska. Siedzieli obok siebie na ławach pochyleni nad skrzynkami i koszami duchowni, literaci, mecenasi, oficerowie, nauczyciele, urzędnicy... i skrobali ziemniaki.

Wydawało się, że w takim komandzie „można wytrzymać”. Niestety! Zaczęło się w niedługim czasie od puchliny nóg, a skończyło się na znanej chorobie. Osłabłem tak, że chodziłem zygzakiem, począłem głuchnąć i ślepnąć. Pewnego dnia nie zauważyłem esesmana stojącego w tłumie więźniów i nie zdjąłem czapki przechodząc obok niego. Zatrzymał mnie straszny cios i syk więźniów „czapka, czapka”. Odwróciłem się i zdjąłem czapkę. Przypadł do mnie i wy-



mierzył mi policzek. Uderzenie było słabe. Zachwiałem się tylko, a powinienem był upaść.

A przyjaciele oświęcimscy? Byli, i to liczni! Nazwisk wiele nie pamiętam – to przypisać trzeba mojemu muzułmaństwu. Ale pamiętam ciebie, ty grubasie mały, chłopięcy gołowasio, pamiętam, jakeś przychodził do mnie na izbę czwartą 19 bloku o wieczornej porze i budził szturchnięciem, zostawiając kawałek chleba i margaryny. Pamiętam ciebie miły chłopcze „Kamerowy” z Bekleidungskammer i te porcje jakimi mnie darzyłeś. To ty przecież ubrałeś mnie tak, jak żaden milionowiec ubrany nie był, że vorarbeiter kartoflarni w Brzezince zwrócił mi uwagę, bym się „ładnym nie robił”. Pamiętam ciebie, Zdziśku Uliasz organizatorze spowiedzi i mszy świętych. Nie wiem, dlaczego prosiłem cię o kawałek chleba, którego przecież do ust nie wziąłem. I o tobie zapomnieć nie mogę, Wojtku Czernek. Jeszcze dzisiaj widzę cię z wielką pajdą chleba w rękach. Czekałeś z nią na mnie gdym wracał z Buny. Nie znałem ciebie na wolności, aleś ty mnie znał. Pamiętam tylu innych i zacych. Przyjaciele moi! Na nic to wszystko się zdało. Wasz chleb, margaryna szły do innych cudzych żołądków i nie z miłości bliźniego, ale że jeść nie mogłem. A gdybym jeść mógł, to może dzisiaj musiałbym sobie wyrzucać brak miłosierdzia, bo takich łachmanów ludzkich, jak ja, były w obozie dziesiątki tysięcy. Pamiętam was i myślę, że tę resztę sił duchowych, jakimi żyłem i wam miałem do zawdzięczenia.

Stałem się muzułmanem! Dnia 24 sierpnia po apelu wieczornym selekcja zakwalifikowała do Brzezinki 1000 ludzi. Wszystkie opuchlaki miały Oświęcim opuścić. Należałem do nich. Każdy rozumiał bardzo dobrze, co znaczy transport. Brzezinka – kazała się domyślać wszystkich okropności i końca w komorach gazowych. Na noc słożono nas w piwnicach bloku. W zaduchu stojąc doczekaliśmy rana i po odejściu komand do pracy w straży psów

i esesmanów ruszyliśmy do Brzezinki. Dzień był pogodny, ciepły i cichy. Droga paru kilometrów wydawała się nieskończenie długa i uciążliwa.<sup>41</sup>

### **3. Brzezinka**

Blok 13. Dnia 25 sierpnia 1942 roku stanęliśmy w Brzezince. Formalności przyjęcia do obozu przeciągały się do wieczoru. Pod koniec nakazano nam stanąć w szeregach i jakiś pisarz obozowy długim kijem począł od prawego skrzydła odliczać rzędy. Paręset ludzi w ten sposób odłączonych odeszło w nie znanym kierunku. Dowiedzieliśmy się potem, że ci odmaszerowali do komór gazowych. Reszta późno w nocy udała się na blok 13. Dopiero teraz otrzymaliśmy zupełną przy wejściu do bloku chleb. Sztubowy końcem łyżki nakładał na chleb żdziebełko marmolady. Prycze wszystkie zajęte. Ciężarem własnego ciała wcisnąłem się pomiędzy śpiących, garnek do kawy położyłem pod głowę i w ubraniu i obuwiu spałem, i tak sypiałem na tym bloku przez cały czas pobytu. Blok bez sufitu, brudny, zawoszony, straszny jak wszystkie ceglane bloki Brzezinki budowane przez jeńców radzieckich.

Stary lager Brzezinki budowany był na polach. W dzień słotne zamieniał się w bajoro, w którym więźniowie brodzili po kostki i gubili obuwie. Bloki nie posiadały umywalni, ani ustępów. Dwie wspólne umywalnie kilkunastu tysięcy ludzi obsłużyć nie mogły, a najczęściej wody nie miały, a gdy były otwarte, pod rurę z jakąś setką dziurek dostać się mogli uprzywilejowani i najsilniejsi. W ustępowych blokach betonowe otwarte koryta cierpiały prawdziwe obłężenie.

---

<sup>41</sup> Z. Kuzak, *Jak Dante...*, art. cyt., s. 416-422.

Mysłący spośród smutnego transportu rozumieli, że naszym wspólnym celem była komora gazowa, i ci postanowili się ratować. Ratunkiem była praca. Udało mi się wraz z 29 innymi dostać do kartoflarni. Byliśmy przekonani, że była ona takim azylem, jak kartoflarnia oświęcimska. Pomyliliśmy się bardzo. Była ona w tym czasie prawdziwie zabójczym komandem. Liczyła 120 kartoflarzy na kilkanaście tysięcy więźniów. Pracowaliśmy od piątej rano z przerwą obiadową i apelu wieczornego do 11, 12 raz do pół do pierwszej w nocy. Budzono nas o trzeciej. Zajęcie w kartoflarni w Brzezince było mniej przyjemne. Należałem do najmłodszych numerów, a właśnie na takich spadał cały ciężar pracy. Oburzało nas to, że ludzie młodszy, silniejsi opuszczali pracę, chodzili „na organizację” zupy, chleba, wieczorem do roboty nie przybywali.

Pewnego dnia po apelu wieczornym pozostaliśmy na bloku. Nie chcieliśmy w nocy pracować. Na drugi dzień vorarbeiter tęgim kijem wymierzał każdemu porcję razów. Mnie darował, gdy się dowiedział kim jestem.

Pewnej nocy jeden z vorarabajtrów przynaglał nas długim drągiem do pośpiechu. Na pewno leniliśmy się. Za co dostałem dwa razy w twarz, stojąc spokojnie przed odejściem na blok – nie mogłem odgadnąć. A byłbym zapomniiał dodać, że nasz rząd ciągle wystawiany na słońce, bez oparcia dla pleców (ksiądz, inspektor szkolny, profesor, prawnik itp.) często obrzucany był ziemniakami. Nierzadko któryś z nas dostał ziemniakiem w twarz lub głowę. To jednak musiało być sprawiedliwe, bo nie tylko ja, ale wszyscy z bloku 13 nie czuliśmy w sobie życia i kiwaliśmy się z niewyspania.

Pierwszego dnia w pracy w kartoflarni, po apelu wieczornym znajomy Izraelita zapytał mnie: – „Czy wiecie co tu było? – Nie wiem. – No, tu były auta i brały ludzi – dokąd? – Do gazu. I o was się pytali, ale powiedzieliśmy im, że pracujecie w kartoflar-

ni, i esesmani powiedzieli, jak pracują niech pracują.” Ów Izraelita już był w aucie, zdobył się przecież na odwagę i począł przekładać esesmanowi, że jest zdrowy i że może pracować, i esesman pozwolił mu pozostać na bloku. Blok topniał w potwornym tempie. Komory gazowe, biegunka i drągi służby blokowej, którymi budziła więźniów o godz. trzeciej na apel ranny, pomagały śmierci w straszliwej koście. Drągi były w robocie i przy apelu wieczornym. By lepiej wypadł, sztubdińscy pomagali maruderom, słabym ledwo wlokącym za sobą nogi muzułmanom. Naprzeciw takim nieszczęśliwcom wybiegał sztubdinst i walił drągami, gdzie trafił. Cios dobrze wymierzony zwałał z nóg każdego. Teraz spadały na niego przekleństwa: „ ty...jeszcze nie wstajesz”... i nowe uderzenia. Najczęściej taki muzułmanin nie miał siły wstać. Podciągano go pod ścianę bloku, gdzie wraz z dziesiątkami innych oczekiwał wybawicielki śmierci. Nie rozumieliśmy dlaczego blokowy każdego dnia po apelu wieczornym pytał nas: „Polacy czy który z was został przeze mnie uderzony?”

Odpowiadaliśmy chórem: „Nie!” Blok topniał. Każdego dnia jego szeregi stawały się krótsze. Każdego dnia coraz mniej opuchlaków dogorywało pod jego ścianami. Dziesiątego dnia mego na nim pobytu jakaś setka oczekiwała na apel wieczorny.

Blok 10. Był to ostatni dzień mego pobytu na tym przeklętym bloku. Kilkunastu pracujących w kartoflarni wykąpano, odziano w świeżą bieliznę i ubranie i przeniesiono na blok 10. Mogliśmy spać pojedynczo. Blok był czysty. Przełożony bloku zauważając u mnie opuchłe stopy, dał mi pięciodniowy wypoczynek na bloku. Było to wiele. Na apele przecież musiałem wychodzić i stać w błocie boso, ponieważ obuwia na opuchłe nogi wciągnąć nie mogłem. Szóstego dnia spróbowałem dostać się do szpitala, którym był blok 12 i zostałem przyjęty. Miałem szczęście. Pielęgniarze odradzali mi zgłaszać się tego dnia do szpitala nie chcąc powiedzieć dla-

czego. Później zrozumiałem, że z powodu stanu mojego zdrowia mogłem dostać się do na blok 7. Z paruset ludzi zgłaszających się do szpitala przyjęto 5.

Blok 12. Dzień był dżdżysty, wietrzny, nieprzyjemny. Przed wejściem na blok prowadzono uszczęśliwioną piątkę do łaźni. W sali tuszów z wybitymi oknami hulał wiatr. Skostniali podeszliśmy pod tusze, z których lunęły na nas strumienie lodowatej wody. Asystujący nam fryzjer bloku 12 nie chciał widzieć, że szybko wycofaliśmy się z tej kąpeli. Dobry chłopiec – muszę to powiedzieć – kazał nam oczekującym na wezwanie, przytulić się do siebie... pod wentylatorem nad głowami. Po długim czasie oczekiwania, drżący, skostniali, sini, boso pomaszerowaliśmy do szpitala. Jeden z lekarzy widząc, że nie rozumiem ani słowa po polsku, kazał mnie położyć do łóżka przerywając badanie. Przez kilka dni spałem dzień i noc, budzony do posiłków, nie czując tysięcy wszy i pcheł. Nie bolało nic, tylko oprócz wielkiej rany na podbiciu prawej stopy ukazało się pięć ropnych kraterów na goleniach.

Puchlina nóg rany znikwały szybko. A gdy wreszcie będę zdrow, co dalej? Znow łager, praca i piekło! Na bloku 12 pomimo głodowych porcji (racje margaryny były dwa razy mniejsze, ponieważ chory nie potrzebuje jedzenia) w porównaniu z innymi blokami – było dobrze. Z obaw wybaWił mnie szrajber szpitala p. Karol Ordower. Pewnego dnia przybiegł do mnie i pytał: „To wy jesteście ksiądz? – Dobrze, że o was dowiedzieliśmy się. Już wam zginąć nie pozwolimy”.

W jaki sposób p. Ordower dowiedział się, że jestem księdzem? W jaki sposób jeszcze kilkakroć inni urzędnicy dowiedzieli się o tym? Byłem numerem jak każdy inny więzień i niedługi czas mało podobny do człowieka. Raz jeden w Oświęcimiu przyznałem się młodemu sztabniście, że jestem księdzem, ale odpowiedź, jaką mi dał, kazała mi być ostrożnym. Zresztą nikt o to nie py-

tał. Wchodząc przecież do obozu postanowiłem przyznać się, kim jestem, i na mojej Stammkarcie pochodzenia którą przenoszono z więźniem z bloku na blok, z obozu do obozu, na marginesie górnym wypisano wyraźnie dużymi literami Pfaffe – klecha. Ta pogardliwa nazwa, dawana wszystkim księżom w obozach, była dla mnie prawdziwą legitymacją i torowała drogę.

Miał rację p. Karol Ordower mówiąc: „Już wam zginąć nie pozwolimy”. I nie pozwolili. W niedługi czas potem odwiedził mnie Niemiec Sudetczyk p. Schlusche. Wiele sympatii okazał mi pewien lekarz Izraelita francuski. To samo muszę powiedzieć o innych lekarzach, tak polskich, jak izraelskich.

W nocy nie mogłem, spać. Robactwo nie pozwalało zamknąć oczu. Za dnia mniej dokuczało. Siedząc na łóżku i wypędzając dziesiątki razy pchły ze zwojów bandaży na nogach, obserwowałem służbę nocną. Pełnili ją zawsze rekonwalescenci. Ochotników do niej nie było wielu. Była ona przykra zwłaszcza dlatego, że nie było ustępu na bloku, a zaledwie kilka naczyń. Niektórzy rekonwalescenci usiłowali pełnić ten obowiązek dobrze pomimo wszelkich trudności, ale trafiali się i tacy, którzy chorego obsłużyć nie chcieli i wypędzali do ubikacji oddalonej od bloku o kilkadziesiąt kroków. Nieszczęśliwi chorzy gorączkujący, okryci ranami, przeklinani, zagrożeni biciem, bez względu na pogodę, najczęściej boso musieli wychodzić na dwór. Pewnego wieczoru dowiedziałem się, że zabrakło służby nocnej, wyskoczyłem z łóżka i poprosiłem lekarza oddziałowego o ten obowiązek. Zgodził się i rozpocząłem.

Początkowo w białiznie, bo przecież sam byłem chory. Po pewnym czasie otrzymałam ubranie. Od godziny ósmej wieczorem, do godziny szóstej rano biegałem po izbie i obsługiwałem chorych. Trud był to nie byle jaki, gdy się zważy, że na przeszło stu pacjentów było 6-7 naczyń nocnych, a wielka liczba nieszczęśliwych to biegunkowicze... Pracę do tego utrudniali ci chorzy, któ-

rzy ze zrozumiałej przecież obawy zabierali naczynia do łóżka i chowali pod kocem. Mistrzami w tym podkradaniu okazywali się przede wszystkim Francuzi, ale i inne narodowości zdradzały tę samą obawę. Innych środków higienicznych – brak kompletny. Pacjenci na ogół znosili cierpliwie wszystkie niewygody. Raz jeden tylko pewien Izraelita tłumacz obozowy targnął się na własne życie – wybiegł z bloku i został zastrzelony przez strażnika pod drutami okalającymi obóz. Był to jeden z wypadków, dość przecież nielicznych, tak zwanego „pójścia na druty”. Drut kolczasty, którym otoczono obóz, był naładowany prądem zdolnym zabić człowieka. Nieszczęśliwy idąc na druty, ginął porażony prądem albo zanim zbliżył się do drutów padał zastrzelony przez czuwającego na wieży strażniczej esesmana.

Jesienią 1942 roku zainstalowano na bloku 12 małe żelazne piece. Podtrzymywano w nich ogień za dnia. W nocy, w tajemnicy, wbrew zakazowi tlił się słaby ogień, a chorzy gotowali bulion, jaki można było w tym czasie otrzymać w kantynie obozowej. Jeszcze nie należałem do tych szczęśliwych, którzy za pieniądze otrzymane z domu mogli w kantynie nabyć papierosy, kiszoną kapustę, czasem buraki, bulion, paprykę, no i ślimaki, niekiedy zupę. Rozgrzewałem członki samym ciepłem pieca, a gdy otrzymałem pieniądze, zaopatrywałem się w większą ilość bulionu i gotowałem. Mimo ogni i bulionu czułem wewnątrz stałe zimno. Bulion parzący wargi i podniebienie nie był w stanie rozgrzać żołądka i kiszek. Zimno! Skóra zdawała się go nie odczuwać. Nawet gdy nad ranem w listopadzie i grudniu wychodziłem na dwór i zdejmowałem z siebie bieliznę, by wytrzeć roje pcheł, mrozu nie odczuwałem. Wnętrze kurczyło się z zimna.

Przy wejściu na „salę chorych” (nie zapominajmy, że jesteśmy w baraku stajennym) po prawej stronie leżeli chorzy i symulujący kapowie. Między nimi bardzo „przyjemny” młody człowiek, który,

jak opowiadano, lubował się w wieszaniu ludzi na ich własnych paskach. Paru innych miało na sumieniu setki mordów dokonanych na współwięźniach. To byli panowie. Gest i mruczenie trzeba było zrozumieć w mig, a ponieważ nie zawsze mi się to udawało, więc policzek, kopnięcie, obelgi były zapłatą za niezręczną usługę. Pewnego razu kapo „marmelada” (nazywany tak za kradzież marmolady) syczał przez zęby z wściekłości „gdybym miał nóż, to bym cię nauczył”. Chciał bym zdjąć z niego przepoconą koszulę i drugą mu założył nie usuwając koca. Inny kapo widząc, że ciągle maszeruję po bloku nawoływany przez chorych – pytał: „Czy ty zwariowałeś, czemu tak latasz?” Tylko ci panowie mieli prawo do usługi. Sic: Tak mi polecono. Inny z tych panów widząc moją niezręczność pytał: „Czym ty jesteś? Nauczycielem! Chyba twój ojciec upadł na głowę!” Inny pewnego razu cisnął we mnie nocnikiem – na szczęście był czysty. Tak! To byli arystokraci! Otuleni miękkimi „kanadyjskimi” kocami (koce odebrane Izraelitom przywożonym do gazowania) otoczeni byli opieką i w liczbie 12-14 mieli osobnych sztubdinstów.

Czy była w nich sama złość? Sztubendinstowi odstępowali zupełnie. Mnie częstowali papierosami. A pewnie za zaszczyt niezwykle miałem sobie poczytać, gdy dopiero co rozgniewany na mnie kapo zapalał papierosa i pociągnąwszy dwa, trzy razy, podawał mi prawie całego z uśmiechem. Pewnego razu dowiedzieli się ci panowie od jednego z lekarzy, że jestem księdzem. Wezwali mnie do siebie i poczęli mi czynić wyrzuty: „Tyś nas okłamał. Mówiłeś, że jesteś nauczycielem, a jesteś księdzem. Pamiętaj, że my tu wszyscy jesteśmy katolikami.” Zmienili się. Kapo, który denerwował się moim bieganiem po bloku, wyraził mi współczucie, że sam przez długą część nocy musiałem obsługiwać tyłu chorych. Kapo „marmelada” wykorzystał pierwszą sposobność, by mi powiedzieć, że słyszał od Jurka Jackowskiego, iż z powodu pomagania więźniom



obozu oświęcimskiego sam znalazłem się w ich gronie. Wydawało mi się, że rozpocznę wśród nich rolę jakiegoś apostoła. Niestety! Zapalenie opłucnej z wodą w prawym boku przerwało moje zajęcie. Dr Kulesza kazał mi leżeć. Powróciły długie, nudne śmiertelnie, najczęściej bezsenne noce. Skracałem je bawiąc się liczeniem i mordowaniem na karku (ale dłaczego na karku) po 50 i 60 wszy. Nakrywałem dłonią na piersiach czy udach po kilka pcheł naraz. Dzień przechodził prędej przerwany snem, rozmową, wizytą lekarską i o radości! Officium Parvum, jakie sztubdińci znaleźli w sienniku i sprezentowali mi w pierwszych dniach grudnia. Ożywiali niekiedy cały blok sztubdińci skazani przez esesmana odpowiedzialnego za szpital na bieganie wokoło stołów.

Pod koniec listopada 1942 roku p. Karol Ordower przyniósł nam wiadomość, że władze niemieckie pozwoliły nam otrzymywać paczki żywnościowe odpowiadające dziennej racji wyżywienia. Posłaliśmy zawiadomienie do domów i w niedługim czasie pojawiły się pierwsze przesyłki większe od przewidzianych. Nadzieja wstąpiła do serc... Drugą paczkę otrzymałem dopiero po Trzech Królach 1943 roku.

Boże Narodzenie! Co nam dadzą władze? Więźniowie przypominali sobie rok ubiegły, opowiadali, że przydzielono większą ilość chleba, twierdzili, że w tym roku nie otrzymamy nic, ponieważ mamy paczki.

Odgadli. Normalna porcja chleba i dwudziesta czwarta część 500 gramów kostki margaryny – to była Wigilia i takie były święta obchodzone na bloku 12 Krankenbau przy choinkach i zachrypłych kolędach. Ale umilono nam życie. Zaprzeczyc się nie da. Nie tylko choinki usnieżono wata. Koncert nam dała trupa obozowych grajków, którzy dość często dla kawałka chleba czy miski zupy lub papierosa zjawiali się na naszym bloku i w izbie pielęgniarzy lub przy łózkach kapów dudlili wiecznie to samo, budząc

u jednych muzułmanów radość i nadzieję, a u drugich rozpacz i przygnębienie.

Odwszenie! Dzień zimowy, przeplatany deszczem, śniegiem i słońcem. Wrota otwarte na ścieżaj. Chorzy z jednej strony bloku przenoszą się na drugą i skupiają po dwóch, po trzech na jednym łóżku. Lekarze i pielęgniarze zabierają i wynoszą sienniki i koce do wygazowania. Za parę godzin powtórzy się to z drugą stroną. Tymczasem chorzy mają się wykąpać. Więc w trepach i gubiąc trepy idą muzułmany po błocie do łazienki, popychane palcem, poganiane przekleństwem... Idą, utykają, przewracają się, ale idą: biegunkowicze okryci świerzbem, z zapaleniem opłucnej, owrzodzeni... w łazience harmider. Po wejściu należy bieliznę zostawić przy drzwiach i do wanny. Jest nią ceglane koryto, do niego wchodzi czterech chorych, kuca w cieplej, nie zmienionej wodzie i na rozkaz „myć się do cholery” poczynają się taplać jak kto może. Co za radość! Chciałoby się w tej cieplej wodzie pozostać jak najdłużej, ale za drzwiami, na wietrze czekają inni i do wieczornego apelu trzeba wykąpać wszystkich. Więc „dość cholery, jeszcze was obmyją” sztubdinst na głowy czterech muzułmanów puszcza czysty, ciepły tusz z konewki ogrodniczej. „Wyłazić” Bielizna na mokre ciało i wśród wichru powrót na blok. Dodać muszę, że łazienkę z „wanną” z kilku tuszami i obok wygodny ustęp budowali sami pielęgniarze z „Tatą” Józefem Biernackim na czele z materiałów „zorganizowanych” z wielkim niebezpieczeństwem dla życia. W ówczesnych warunkach obozu Brzezinka – było to prawdziwe dobrodziejstwo dla nieszczęśliwych chorych.

Dzięki trosce dr Kuleszy, zastrzykom wapna, jakie mi organizował Jurek Jackowski, i paczkom, przychodziłem do siebie. Wprawdzie waga coś ponad 54 kilogramy trzymała się uparcie, ale zimna już nie odczuwałem i samopoczucie miałem coraz lepsze. Zapalenie opłucnej bez punkcji ustąpiło szczęśliwie, ale stwierdzono

zapalenie suche opłucnej w lewym boku. Czuję się przecież z każdym dniem lepiej i musiałem się liczyć z koniecznością opuszczenia szpitala. Dr Kulesza dawał do wyboru: praca w komandzie, co mogło wyjść na zdrowie, lub pobyt wypoczynkowy na bloku siódmym.

Blok 7. Wiele o nim słyszałem. Przechodziłem obok niego każdego dnia, gdy pracowałem w kartoflarni, ale go nie znałem. W pierwszych dniach lutego 1943 roku stanąłem w jego progach i ogarnęło mnie przerażenie. Blok ten ceglany wybudowany w strasznych warunkach przez jeńców radzieckich, bez sufitu, miał dach podbity heraklitem. Dzielił się na cztery równe co do wielkości, sztuby – izby. Każda z izb miała prycze podwójne. Ceglana podłoga pod pryczami dolnymi w miesiącu lutym nie służyła za legowiska dla żywych. Kładąc po sześciu ludzi na pryczy, można do bloku tego wpakować około 400 pacjentów. Tymczasem w miesiącu lutym 1943 roku na izbie pierwszej lekarzy, pielęgniarzy i chorych było 60 osób, na drugiej około 120-130, a na trzeciej i czwartej po paruset. Książka meldunkowa kryła w sobie i taką tajemnicę, że blok ten w miesiącach poprzednich liczył 1000... raz jeden 1492 pacjentów. Były to miesiące letnie. Olbrzymia ilość pacjentów pozostawała na podwórku. Żydzi siedzieli na trupach, leżąc na ziemi opierali głowy o trupy.

W lutym prycze izby czwartej- oddziału biegunki musiały pomieścić 10-16 pacjentów, którzy stojąc i w kucki oczekiwali transportu. Pacjenci ubrań z siebie nie zdejmowali, bielizny nie zmieniali. Blok ten uchodził za szpital i posiadał oddziały lekarzy i pielęgniarzy, ale nie miał żadnych środków leczniczych. W ciżbie izby trzeciej i czwartej trudno było rozdać posiłek. Jedną miskę kawy czy herbaty chwyciło kilka rąk i cała zawartość naczynia wylewała się na ziemię, a o drugiej porcji nikt marzyć nie mógł. Z pragnienia, głodu, braku snu, ludzie dochodzili do takiego wycieńczenia,

że nawet nie mogli przyjmować pokarmu. Pragnienie dokuczało najbardziej tym, których trawiła gorączka lub niszczyła biegunka. Na bloku wody nie było, a zapasu kawy czy herbaty nie można było robić. Zdarzało się, że pacjent nie mogąc się opanować, schylał się nad kałużą powstałą z kawy, herbaty, zupy i... pił, inny porwał prowizoryczne naczynie nocne, (puszkę, stary garnek) i przykładał do ust chcąc ugasić pragnienie. Korytarz izby czwartej wiodący do ustępów stale obłożonych był miejscem wszystkich nieczystości, w których stali, siedzieli, leżeli dogorywający ludzie. Nad ranem korytarz ten prawie ciemny był tak zavalony trupami, że chcąc dostać się do ubikacji, trzeba było iść po trupach. Jeszcze w tej chwili słyszę jęk jaki się wydobywał spod moich nóg „nie depcz mnie”. Na apel ranny musieli wychodzić pacjenci izby trzeciej i czwartej bez względu na pogodę. Wielu boso, półnaczy. Niektórzy bojąc się zimna opierali się. Odbywały się przy tym sceny wstrząsające. Kijami okładano chorych, przewracano na ziemię i wyciągano na podwórze. Równocześnie Leichenkommando – grabarze wywlekali za ręce trupy z całej doby. W miesiącu lutym 1943 roku każdego rana do apelu wywlekano 80-100-120 trupów. Na podwórku bloku 7 nieszczęśliwi ludzie stali niekiedy po kostki w błocie: kto nie mógł stać – leżał. Po apelu izby trzeciej i czwartej pozostawały długi czas na dworze, aż sztubdiniści oczyścili blok. Oczekując na otwarcie drzwi, nieszczęśliwi pacjenci drżąc z zimna, podnosili rozdzierający serce lament: „Na rany Chrystusa, zmiłujcie się nad nami, zabijcie nas, zawieźcie nas do gazu, nie męczcie nas”! Niektórzy z tych ludzi już na blok nie wracali. Padli z wycieńczenia i podciągnięci pod ścianę konali powoli. Na podwórku bloku siódmego stale leżały wały nagich trupów. W nocy ucztowały na nich szczury. Co pewien czas selekcja przeznaczała ludzi do komór gazowych. Przy selekcji tatuowano każdego na przedramieniu literą A lub L. Literę A otrzymywali Aryjczycy, L – Izra-

elici. Tak mi tłumaczono różnicę znaków. Nie byłem świadkiem, by chorzy bronili się przed transportem do komór gazowych. Widać było u wielu ożywienie. Silniejsi sami wchodzili na platformy aut, podawali ręce innym, żartowali, dawali jakieś polecenie pozostającym na bloku np.: ” Chleb mi pozostał pod siennikiem, weź go sobie”. W esesmanach takie zachowanie budziło wesołość. Prawdopodobnie przypuszczali, że ci nieszczęśliwi nie zdawali sobie sprawy z tego, co ich czeka. Pewne zrozumienie przecież tego usposobienia daje pytanie, jakie ci biedacy często stawiali: „Czy jutro będzie gaz? Już czas skończyć tę mękę ”. Dr Krauze lekarz blokowy, mówił mi, że na samym bloku siódmym, oprócz gazowania śmierć pożarła przez niecały rok ponad 30 tysięcy ludzi.

Blok siódmy była to czeluść, która każdego dnia wchłaniała rzeszę nieszczęśliwych, by ich wkrótce ze siebie wyrzucić. Była to poczekałnia komór gazowych. To było piekło.

Blok 8. W marcu 1943 roku rozdzielono blok 7 i część pacjentów przeniesiono na blok 8. Przełożonym tego bloku był Józef Biernak. W ciągu długich miesięcy obserwując pracę tego człowieka, musiałem przyznać, że słusznie nazywano go „Tatą”. Nie wystarczyło mu na miejscu prych wstawić piętrowe łóżka, budować małą umywalnię, zabrał się do założenia małego ogródka z ławkami pomiędzy blokiem ósmym a dziewiątym. Pewnego razu zapytałem go, co go skłania do tych wysiłków? Odpowiedział krótko: He! Żeby chorym było lepiej! Rzeczywiście było lepiej. Blok ósmy był odciążeniem dla siódmego. Na obydwu zrobiło się luźniej. Służba blokowa mogła lepiej i spokojniej spełniać swoje obowiązki. Śmiertelność zmniejszyła się. Z bloku ósmego wynoszono rano po kilka trupów. Nieco gorzej było na bloku siódmym. Wielu pacjentów na bloku ósmym otrzymywało dietę w postaci tłuczonych ziemniaków. Każdy z nas rozumiał, że załamanie się ofensywy kazało Niemcom myśleć o przyszłości i dlatego okazywali względy.

Również temu przypisywaliśmy pozwolenie na otrzymywanie paczek. Po paru przesyłkach większych wolno nam było otrzymywać paczki 250 gramowe. Czegoż jednak nie dokaże przemyślność ludzka? Niekiedy więźniowie otrzymywali po kilka, po kilkanaście paczek dziennie. Prawie każdego dnia otrzymywałem parę pakietów, ale zawsze były tak spleśniałe, że niewiele miałem z nich pożytku. Inni doznawali tej samej przyjemności. Podkreślić muszę sprawność i uczciwość urzędników poczty, którzy rekrutowali się z więźniów. W ciągu prawie półtora roku nie mogłem stwierdzić braku jednej paczki, mając dokładną wiadomość, jak często były mi wysyłane. Inni stwierdzili to samo. Paczki przyczyniły się do podniesienia zdrowotności. Szczęśliwi odbiorcy odstępowali mniej szczęśliwym swoje porcje obozowe. Wszyscy doznawaliśmy wrażenia, że im gorzej wiodło się naszym prześladowcom, tym lepiej wiodło się nam.

Nie mogę zamilczeć świąt wielkanocnych Izraelitów 1943 roku. Na drzwiach bloku ósmego, pełniąc służbę nocną siedziałem na stole. Było to miejsce dla mrowia pcheł mniej dostępne niż zydel. Chyba około dwunastej w nocy ktoś zaczął się dobijać do drzwi bloku. Otwarłem. Na progu zatrzymali się dwaj przyjaciele z sąsiedniego bloku siódmego p. Katz, który przed swoim wywiezieniem z Paryża zdołał ulokować swe dzieci w klasztorze żeńskim, i p. Kamrat spod Łodzi. P. Katz podał mi na tacy jakiś malusieńki kieliszek wódki, kawałek ryby i chleba ze słowami: Proszę księdza, dzisiaj nasza Wielkanoc.

Jeśli sobie dobrze przypominam, to właśnie w tym czasie prosiłem p. Ganga, jednego z urzędników bloku siódmego, by mi wytatuował na lewym przedramieniu obowiązujący numer 39884. Tatuowanie numerów wprowadzono w Brzezince z początkiem roku 1943.

### Blok 11.

W lecie 1943 roku, w celu powiększenia obozu kobiecego o nasze bloki, przeniesiono mnie do niedawno uporządkowanego obozu „F”. Był to Lagerkrankenbau – szpital. Dostałem się na blok 11 tyfusu plamistego. Był to barak mały, czysty, z oknami, na 46 podwójnych łóżek. Dano mi na nim służbę nocną...Blokowym krótki czas był p. W. Nowakowski, po nim Niemiec Bock nr 5, wieloletni więzień obozów. Znany z gorliwości w pracy szpitalnej, doprowadził blok do idealnego porządku. Szrajberowi bloku p. K. Smoleniowi polecił malować ściany „organizowaną farbą”. Szyby w oknach musiały lśnić. Podłogę często musieliśmy szorować. Dla personelu przedzielili ścianką drewnianą część baraku i na ścianie tej zaimprovizowanej izby pielęgniarzy zawiesił koce. Takie same koce przeznaczył na łóżka. P. W. Nowakowski wyczynami graficznymi ozdobił izbę. Była to najpiękniejsza izba pielęgniarzy w całym Lagerkrankenbau liczącym wówczas 15 bloków.

O godzinie szóstej rano udawałem się na spoczynek po służbie nocnej. Blokowy kazał mi spać w izbie pielęgniarzy. Koło godziny dwunastej budząc się z powodu harmideru, jaki powstał przy rozdawaniu zupy, zauważyłem, że blokowy po izbie chodził na palcach, z odwiedzającymi rozmawiał po cichu. Widać było, że nie chciał przeszkadzać swojemu wachterowi (stróż).

Polska młodzież nazywała go „Tatą”. Budząc się słyszałem często „Jest Tata?” Niejeden z polskiej młodzieży zawdzięczał mu życie. Niejednego uratował przed komorą gazową. Za tę troskę o polską młodzież zdegradowany ze stanowiska Lagereltestekrankenbau (przełożony szpitala) w Oświęcimiu w charakterze niższego urzędnika pracował jakiś czas w szpitalu obozu Buna koło Dworów i stamtąd przeniesiony został na nasz blok 11.

Drugą bardzo sympatyczną osobą była postać dr Malinowskiego. Niestrudzony o zdrowie swoich pacjentów, poświęcał im każ-

dą chwilę, kazał się budzić w nocy w wypadkach poważniejszych. Udając, pytając czemu pan doktor poświęca tyle trudu ludziom, których nie można uratować? „My lekarze, mamy swoją etykę. Do ostatka musimy pełnić swój obowiązek!”

Służba nocna na bloku 11 była wyczerpująca. Łatwo się na to zgodzić, bo to oddział tyfusu plamistego. Łóżka prawie wszystkie zajęte. Na szczęście, niestrudzony Bock urządził ustęp wewnątrz bloku. Drzwi baraku można było zamknąć na klucz, ale okna letnią porą musiały być otwarte i nad nimi trzeba było czuwać nieustannie, by ktoś z pacjentów nie wyskoczył. Na bloku 10 dwukrotnie pacjent tą drogą wydostał się na dwór i „poszedł na druty”. Czy zrobił to umyślnie? Któż to wie. Trup nie mógł dać odpowiedzi. Na bloku 11 noc była nierzadko ciężka. Trawieni gorączką tyfusową zdradzali przeróżne zachcianki: jeden usiłował wyjść oknem i nie pozwolił się od niego odciągnąć, drugi co pewien czas odziewał się kocem i szedł w odwiedziny do innych pacjentów i bez słowa powracał do siebie, by za chwilę powtórzyć to samo, trzeci bronił się przed gestapowcami, inny wyskakiwał z łóżka przewieszając koc na ręce niby płaszcz biegł za kimś, pytając mnie po drodze, czy nie widziałem zbiega, inny z rozkrzyżowanymi rękoma wolnym krokiem spacerował po łóżku i wpatrując się w płomienie buchające z kominów krematoryjnych wołał rozdzierającym głosem: „mama, mama”. Blokowy dziesiątego bloku lagru D – Niemiec, kryminalista, postrach więźniów, morderca licznych współwięźniów, uciekał z łóżka, rzucał się na chorych i kułakował. Człowiek ten szamocąc się z pielęgniarkami wezwanymi przeze mnie na pomoc woła wskazując na mnie palcem „ten ma twarz katolickiego księdza”. Przy tych słowach wyrwał się, uciekł do łóżka i nakrył się kocem. Konając wzdycha: „Jezus, Jezus”.

Każda noc dostarczała mnóstwa wrażeń, do snu nie usposabiała, przemijała szybko.



Za drutami naszego obozu – szpitala stały rzędem cztery krematoria, dwa starsze dwukominowe, dwa nowocześniejsze jednokominowe. Drugie i trzecie od bloku 11 odległe o jakieś 200 metrów, pracowały dzień i noc. Za dnia słały na obóz czarne płachty dymu, nocą co pewien czas wznosiły się z czeluści kominów krwawe kilkunastometrowej wysokości drżące słupy płomieni. W świetle reflektorów można było widzieć ciemną, gwarną masę ludzi, która pomału bieląła rozbierając się do „zapowiedzianej, a pewnej i oczekiwanej kąpeli”. W ciszy nocnej dolatywały głosy dzieci nawołujących swe matki, okrzyki Sonderkommanda jak „fertig, zum Baden” (gotowe do kąpeli) trzask drzwi komór gazowych... i zalegała cisza...Zapuszczanie exhaustorów (wentylatorów) było dowodem końca gazowej kąpeli... Okna krematorium wypełniały się od czasu do czasu oślepiającym blaskiem bijącym z otwartych pieców. Powtarzało się to w ciągu nocy wiele razy. Jak długo trwało gazowanie... nie mając zegarka, nie mogłem obliczyć, a Wielka Niedźwiedzica w jasną noc pozwalała jako tako na wyliczenie godzin. Słyszałem od innych, że gazowanie trwało pół godziny. Gazowano muzułmanów obozowych i zwożonych ze wszystkich zakątków Europy Izraelitów. Z naszego szpitala wywieziono parę razy „nieuleczalnie chorych”. Podziwiać trzeba było opanowanie, spokój tych biednych ludzi. Izraelici francuscy protestowali Marsylianą w chwili, gdy już auta ruszały ku krematorium. Esesmani usiłowali przeszkodzić, Lagerarzt (lekarz obozowy esesman) łaskawie pozwolił.

Obóz D. Lekarz obozowy postanowił oczyścić z inteligencji personel szpitalny i kilkunastu pielęgniarzy przepędził do obozu D (męski obóz pracy). W liczbie szesnastu znaleźliśmy się na komando Kiesgrube (kopalnia żwiru) obsadzone przez jeńców radzieckich. Była to resztką, jak opowiadano, z 1800 jeńców, na których próbowano gazów. Lagerführer (komendant obozu) Schwarz Hu-

bert miał do nich sympatię nawet zatrzymywał się przed „blokiem Rusinów” i kazał sobie śpiewać rosyjskie piosenki. To zrozumiałe, że Rosjanie stale opuszczali pracę a od czasu do czasu ktoś z nich uciekł z obozu na dobre. Poszukujący zbiega esesmani zaglądali w każdą dziurę, sami czołgali się pod barak wysoko stojący nad ziemią, psy wołały im tymczasem obwąchiwać obcasy.

Praca w tej zwirowni nie była ciężka. Rosjanie większość dnia poświęcali gotowaniu „organizowanych” ziemniaków i pogawędkom. Miesiąc październik i listopad upłynął im na świeżym powietrzu. W pierwszych dniach grudnia Kazik Kosk, Raportschrajber, wezwał mnie do siebie i po krótkiej rozmowie przeznaczył na blok „Rusków” i Kanady w charakterze blokschrajbera. Skończyło się przecież na funkcji blokpflegera (pielęgniarsza). Każdego dnia rano i wieczorem prowadziłem chorych do ambulatorium. Był to obowiązek zajmujący niewiele czasu. Pomagałem więc sztabdinstom przy zajęciach takich jak szorowanie podłogi, porządkowanie prycz, myciu naczyń, przynoszeniu porcji chleba, zupy, kawy, herbaty, odzieży, obuwia.

Czas od października 1943 roku do marca 1944 roku mijał bez szczególniejszych wrażeń. Życie obozowe płynęło szybko „normalnie”. Selekcje do komór gazowych od marca 1943 roku przede wszystkim przeprowadzane wśród Izraelitów odbywały się co pewien czas. Mnie pozostał w pamięci szczegół, o którym nigdy nie zapomnę. Wypatrując przez szparę wrót bloku znajomych wśród transportowanych do gazu na platformie ciężarówki zauważyłem niejakiemu Silbersteina z synem. Chłopiec płakał. Ojciec wpatrywał się we wrota naszego bloku. Wydawało mi się, że chciał coś powiedzieć. Ostrożnie wychylając się pozdrowiłem go. Silberstein poznając mnie zawołał: „Proszę pozdrowić p. Gausszera, chciałem z nim mówić... proszę go pozdrowić.” W obliczu strasznej śmierci ten człowiek myślał o innym. Nierzadko prze-

znaczeni do gazu spędzali czas na którymś bloku skracając czas religijnym śpiewem.

Uroczystość sprawił nam komendant obozu w związku z ucieczką dwóch więźniów. Polak z karnej kompanii i Izraelita z Bekleidungskammer (magazynów odzieżowych) zostali przyłapani, gdy zamierzali opuścić obóz. W parę tygodni potem polecono wszystkim blokom stanąć na placu pomiędzy kuchniami. Obydwu uciekinierów podprowadzono do gotowych szubienic, a komendant kazał odczytać akt oskarżenia. Obaj byli winni zbrodni. Tłumaczący akt oskarżenia esesman kiepską polszczyznę podał nam to zapewnienie, że „jeżeli wy się postaracie, to pan Lagerführer się postara”. W ciszy śmiertelnej asystowaliśmy egzekucji. Obaj skazańcy do ostatniej chwili zachowali dzielną postawę. Idąc do rusztowania i stojąc na nim, jeszcze w chwili zakładania im powrozów na szyję wołali: „Niech żyje wolność, niech żyje Polska, pomścijcie nas!”

Inna potworność wstrząsnęła wszystkimi więźniami. W obozie rodzinnym nagromadzono rodziny Izraelitów czeskich. Mogli oni otrzymywać paczki i pisać listy. Naiwnym wydawało się, że „szczęśliwi pójdą na wolność”. Pewnego dnia otrzymali rozkaz napisania listów z datą kilku dni naprzód i w liczbie paru tysięcy przy zdwojonej ostrożności, pod karabinami esesmanów i kijami blokowych i kapów pomaszzerowali do komór gazowych. A listy dochodziły do celu przeznaczenia i poczta jeszcze przez długi czas otrzymywała paczki pod adresem zagazowanych.

Prowadzono nas do odwszenia do wielkiej łaźni pomiędzy drugim a trzecim krematorium. Mieliśmy wtedy sposobność przecho- dząc przed otwartą bramą komory gazowej zaglądnąć do jej tajemniczych czeluści.

Nikommu przecież nie przyszła ochota, by wejść do wnętrza i na własne oczy przekonać się, że urządzeniem swoim przypominała łaźnię. Gdzie indziej mogłem to stwierdzić na własne

oczy. W „Dzaunie” jak mówiono, tj. w rzeczywistej łaźni, golono nas i kąpano. W międzyczasie prażono ubrania. Przyczyniało się to do odwszania bloków, ale niezupełnie. Zastosowano zatem gaz, którym duszono ludzi w komorach gazowych, i oczyszczano obóz radykalnie od wszelkich owadów i robactwa. Gdy po pewnym czasie usiłowano powtórzyć ten skuteczny zabieg, zarząd obozu odmówił. Był to środek za drogi.

Komorom gazowym nie wolno było stać beczynninie. Na zmianę, a niekiedy wszystkie razem pracowały nieustannie. Oprócz muzulmanów obozowych wszystkich narodowości, Izraelitów przywózków ze wszystkich stron, różnych skazańców, pochłonęły one i obóz Cyganów. To według Hitlera był element najmniej wartościowy. Pomiędzy Cyganami znajdowali się i obywatele niemieccy: oficerowie i żołnierze wycofani z frontu wschodniego... Zasluga nie odgrywała roli, jako rasa byli wszyscy minderwertig – mniej wartościowi. I ci między nimi odznaczeni Krzyżem Żelaznym byli tacy sami. Wszyscy bez wyjątku byli minderwertig.

Ciekawiło nas pytanie, czy bardzo cierpieli gazowani? Opowiadania Sonderkommanda były różne. Zdarzało się, że po otwarciu komór gazowych znajdowali jakby ciała spokojnie uśpione. Kiedy indziej zagazowani przedstawiali okropne kłębowisko ludzkich ciał, mieli twarze przerażone, usta pełne krwawej piany, paznokcie zdarte. Jeden z więźniów opowiadał nam pewnego wieczoru na dobranoc, że pracował obok krematorium w czasie gazowania. Przez ściany komory gazowej wydobywał się tak straszliwy skowyt, że ten człowiek (bez honoru, poczucia własnej godności, lekceważący sobie życie ludzkie, lubiący bijatykę, okrucieństwo) pragnął natychmiast paść trupem, byle na jedną chwilę nie znaleźć się w tej otchłani nie dającej się opisać męki. Trwać miała do piętnastu minut. Opowiadano, że esesmani niekiedy motocyklem głuszyli jęki wydobywające się z komory. Sonderkommando, które od czasu

do czasu przynosiło różne trofea w postaci koronek, medalików opowiadało, że pewnego razu grupa Polaków przywiezionych wprost z wolności do komory gazowej w oczekiwaniu na śmierć śpiewała pieśni patriotyczne i religijne, śpiewała długo, aż wreszcie gaz odebrał im mowę.

Jakże inaczej upływały święta Bożego Narodzenia w tym 1943 roku w Brzezince. Przesyłki były prawdziwie świąteczne. Byłem na dwóch Wigiliach u p. Białasiewicza i u p. inż. Kieszczyłskiego. Bloki rozbrzmiewały kołędami. Stary rok kończono hucznie, a Nowy witano o dwunastej biciem w gongi.<sup>42</sup>

Ks. Zygmunt Kuzak, niezależnie od różnych tragicznych i dramatycznych przeżyć, cierpień, głodu i chorób, które przechodził podczas pobytu w obozie w Oświęcimiu i Brzezince, martwił się jak wielu innych więźniów niepewnością jutra i dalszego pobytu w obozie, które zazwyczaj wcześniej czy później dla wielu więźniów kończyło się tragiczną śmiercią.

Ks. Kuzak wiedział, że przeprowadzone śledztwo na Montelupich w Krakowie, podczas którego nie udowodniono mu żadnego przestępstwa, nie zakończyło się nie tylko dla niego, ale również dla wielu więźniów, którzy pewnego dnia wezwani w obozie przez gestapo na przesłuchanie, już z niego nie powracali. O tej dramatycznej sytuacji w obozie ks. Kuzak napisał w swoim wspomnieniu „Przesłuchanie na gestapo”:

„Nie pamiętam dnia ani godziny, ale to chyba było w roku 1943. Letnią porą przyszedł od mnie lagerszrajber – pisarz obozowy, więzień zacyjny Kazik Koski i powiedział mi, że jutro mam pójść do gestapo do obozu oświęcimskiego – byłem wtedy w obozie Brzezinka jakieś dwa kilometry poza obozem oświęcimskim. Na drugi dzień po obiedzie przyszedł po mnie Kazik i podprowadził mnie

---

<sup>42</sup> Ks. Z. Kuzak, *Jak Dante*, art. cyt., s. 422-436

pod bramy obozu. Czekał już na mnie jakiś starszy esesman. Ten odezwał się do mnie, że mogę iść swobodnie, on za mną podąży rowerem. Jakże był grzeczny! Szedłem dość wolno, bez żadnego przyspieszenia. On pomału jechał za mną.

Gestapowiec czekał na mnie w izbie baraku tuż za krematorium. Mój konwojent wprowadził mnie do baraku i wyszedł. Przy stole siedział gestapowiec, sekretarka przy maszynie do pisania i stał esesman tłumacz.

Tutaj nie było SIE ani Herr Kuzak, ani Herr Direktor. Tutaj było twarde DU i ciągle DU – Ty! Znowu oskarżenie o fałszowanie przepustek. Nie chodziło o jedną przepustkę przez POLIZAJGRENZESOLA – Przez policyjną granicę na Sole, ale o trzy przepustki, które miałem sfalszować dla trzech z podziemia. Gestapowiec wymienił mi nazwiska zupełnie mi nie znane. Nazwisk takich nigdy nie słyszałem. Nie tylko, miałem nosić nazwisko – pseudo – Stanisław Łukaszewski. O tak! Mówił gestapowiec. Ty nazywasz się Kuzak, ale twoje nazwisko w organizacji podziemnej – Stanisław Łukaszewski. Ponieważ przeczytałem. Owszem! Mówiłem: proszę tu przyprowadzić jednego z tych moich oskarżycieli. Jeżeli się okaże, że się znamy, możecie mnie zastrzelić. Po pewnym czasie gestapowiec kazał tłumaczowi rozmawiać ze mną. Ten przystąpił do mnie i począł po śląsku przekonywać mnie, że nie powinienem przeczyć, po co ja biorę winę innych na siebie itd. itd. Wybuchnąłem, krzyżąc: „do diabła, już wam tysiąc razy powtarzałem, że nie, powiedziałem, przyprowadźcie tu jednego, jeżeli mnie rozpozna, możecie mnie zastrzelić.” Sekretarka przysłuchiwała się temu ze zdziwieniem. Gestapowiec był również moim wybuchem poruszony i zapytał tłumacza, czemu tak krzyżę. Tłumacz zaczął „zum Teufel.... i tak dalej..... Gestapowiec krzyknął: „ty tracisz cierpliwość, uważaj, byśmy nie stracili cierpliwości i przy tych słowach rzucił wzrokiem na żelazny koziołek. Na tym koziołku mu-

siał przesłuchiwany zginać się i składał zeznania pod obfitą porcją tęgich razów.

Gestapowiec krzyknął: raus! Wpadłem na korytarz i stanąłem pod ścianą. Dłuższą chwilę oczekiwałem na ponowne wezwanie. Już bez dalszej indagacji spisywała sekretarka zeznania negatywne... W tej chwili wszedł esesman i dał znać, że w Brzezince rozpoczął się apel, a brakuje jednego więźnia. Mój sędzia kazał mi odejść i polecił przyjść – nazajutrz.

Miałem szczęście, że nie spotkałem się ze starszym Grabnerem szefem gestapo. Z takiego przesłuchania przed kilku dniami powrócił, ale na noszach jeden z łapanki, o której wspominałem wyżej. Poszedł do Oświęcimia na przesłuchanie, ale go przynieśli. Po pewnym czasie wezwany został raz jeszcze i już nie wrócił. Mówiono, że niesiono go do bunkra i tam został zastrzelony.

Gdy po powrocie do Brzezinki wchodziłem do obozu, apel już się skończył. Wszyscy więźniowie byli w dobrym usposobieniu – gwarzyli wesoło. Podszedłem do raportfirera i zameldowałem się. Kazał mi odejść – i po chwili Danysz lagerelteste – starszy obozu krzyknął: „bloki rozejść się”. Gdy wszedłem na blok ósmy i stanąłem przed blokowym Biernacikiem, ten odezwał się: „więc wróciłeś”. Miało to swoją wymowę, bo przecież niedawno był świadkiem innego powrotu i końca. Tak, wróciłem, ale jutro znowu idę na przesłuchanie rano”.

Na drugi dzień sekretarka spisywała protokół negatywny. Podpis mój i powrót do obozu w Brzezince. Biernacik ze zdziwieniem kiwnął głową. Jednak powróciłeś! Nie zapytał o nic.

I cóż? O co tu chodziło? O dwa tysiące? Na pewno nie!

Przed aresztowaniem gadaliśmy często o metodach przesłuchiwania i dochodziliśmy do wniosku, że nie wolno się przyznać. Że należy zawsze mówić jednakowo. Że przyznanie się choćby tylko do czegoś nieznacznego daje początek dalszym przesłucha-

niom i torturom bez końca. Zawsze nie i nie! I coś jeszcze ważnego. Niemcom nie podoba się pokorna postawa. Trzeba stawiać się. Może i to w Brzezince było dla mnie zbawieniem?

I przesłuchania moje na tym się skończyły”<sup>43</sup>

#### **4. Znowu Oświęcim**

„Osiemnastego marca 1944 roku polecono wszystkim księżom w Brzezince przygotować się do drogi i na drugi dzień po odwzieszeniu odmaszerowaliśmy w liczbie coś ośmiu do Oświęcimia, aby stamtąd udać się do Dachau. Winszowano nam, bo „ tam było bardzo dobrze”. W Oświęcimiu ważono nas, badano krew, polecono podpisać dokument, że nie mamy pretensji do obozu i kazano czekać. Dnia 31 marca wykąpano nas, przebrano i... zamiast na stację pomaszzerowaliśmy na blok 16. Co się stało? Czy prima aprilis? Nikt nie umiał wytłumaczyć. Tak na drugi dzień znaleźliśmy się na komando Bauhof (składy budowlane). Polecenie było wyraźne: żaden z nas nie mógł pracować w magazynach. Żaden nie mógł być vorarbajtrem. Wszyscy do cementu, cegły, żelaza, śmieci... Załamanie się przecież frontu wschodniego, eskadry alianckie nad obozem, rzucenie kilku bomb na obóz esesmański – to wszystko nie pozwalało już naszym przyjaciołom myśleć o szczegółach. Byli zanadto zafrasowani o siebie. Świadczy o tym i ta humoreska. Rapportführer Kaduk chwyciwszy pewnego wieczoru jakiegoś Izraelitę, wołał po pijanemu: „ Zanim my zdechniemy, co jest możliwe,

---

<sup>43</sup> Ks. Z. Kuzak, Przesłuchanie na gestapo, cyt., s. 5 i 6; Osobiste wspomnienia ks. Z. Kuzaka z dnia 11 listopada 1984 roku o przesłuchaniach w obozie.



was wszystkich wydusimy”. A na Bauhofie jeden z naszych stróżów, niższej rangi esesman, radził swemu koledze, by się więźniami zbyt nie interesował, by nie przeszkadzał w „organizowaniu” jarzyny z ogródków, które sami więźniowie uprawiali. „Nie myślisz – przekonywał – że oni jutro mogą cię rozerwać na kawałki i rzucić na śmietnisko. Daj im spokój!”

Więźniowie znali nastroje panujące wśród esesmanów i dlatego szrajber Bauhofu p. Skowron polecił mi, bym przedstawił księży chorych i starszych i tym rozdał zajęcia łatwe, jak utrzymanie porządku w magazynach i na ulicy. Silniejszym przydzielił zajęcia również nietrudne, jak prostowanie drutów w „zimnej kuźni”. Ostatni w liczbie dziesięciu mieli sztaplować deski (układać). W ten sposób w ciągu tygodnia 21 księży otrzymało odpowiednią pracę. Do końca kwietnia pracowałem przy deskach. W maju przeniesiono mnie do kuźni, w której majstrem był zacny p. Tadeusz Olkusznik. Zadaniem kuźni Bauhofu było naprawiać taczki, obcinać stare łopaty, naciągać kilofy, robić skoble, zawiasy, haki, naprawiać siekiery, młotki murarskie itd. Roboty tej nie było za wiele. Normalnie każdego dnia gotowano organizowany w magazynach esesmańskich groch, ziemniaki z wagonu stojącego przed kuźnią i kto co miał z paczki. Było to straszne nadużycie i dlatego u drzwi kuźni jeden z „kowali” stale wypatrywał kontrolujących esesmanów i natychmiast dawał znać reszcie swoich kolegów i sąsiedniej stelmachowi. Na dany znak wszystko znikało i kuźnia poczyniała wrzeć pracą... daleko było słycać uderzenia młotów „wyciągających” przytępione kilofy, których cały stos zawsze gotowy leżał na ziemi. Takim kowalom jak ja i moi koledzy najłatwiej było tego rodzaju pracą przekonać esesmana o naszej gorliwości. I udało się.

Prawie każdego dnia syrena dawała znać o ucieczce więźnia. Było ją słycać niekiedy i trzy razy w dzień: z Brzezinki, Oświęcimia i Bunu koło Dworów. Najczęściej zbiegowie wracali i wysta-

wieni wysoko na stole dawali świadectwo kruchości ich wysiłków. Mimo to rosła liczba ryzykujących ucieczkę. Zbiega już nie wieszano jak dawniej. Rodziny jego nie rozstrzeliwano, o czym nas zawiadamiano regularnie przy każdej ucieczce w roku 1942. raz tylko musieliśmy być świadkami egzekucji na młodym Izraelicie czeskim, skazanym na powieszenie za ucieczkę. Opowiadano po tym, że „wszystko było należycie przygotowane” ponieważ powróż pod niewielkim stosunkowo ciężarem skazańca pękł i nieszczęśliwy stanął na ziemi z miną bardzo zdziwioną, jak mi się przynajmniej wydawało. Wszyscy byli przygotowani na gest łaski z strony lagerführera. Pomyliliśmy się jednak. To był zbrodniarz nie z zawodu ale z urodzenia. Kazał przynieść nowy powróż, ponieważ ten nie budził zaufania, polecił odprowadzić biedaka do bunkra i tam go zgładzono w inny sposób.

Kiedyś byłem pytany przez docenta UJ, czy należałem w obozie do ruchu oporu. Odpowiedziałem: nie. Dziwnym mi się wydawało to pytanie. Skierowane do księdza? Ksiądz i polityka?! Ale któż wie? Może należałem. Otóż ów Zdzisiek, Eliasz nazwiskiem był organizatorem nabożeństw. O tym, że mnie czasem zawiadomił o spowiedzi, wspominać nie będę. Od czasu do czasu wzywał mnie do odprawienia mszy świętej. Odprawiałem ją na strychu bloku szpitalnego. Obecnych bywało paru, kilku, raz jeden ponad dwudziestu. Wszystko było należycie przygotowane. „Czujki” gotowe były dać w każdej chwili ostrzeżenie. Całym strojem księdza była stula, ale coś w rodzaju stolika było nakryte obrusem i mszał się znalazł, i nawet kielich złoty. Przedmioty potrzebne do mszy św. pochodziły od Salezjanów oświęcimskich i kogoś tam jeszcze. Dostarczali je cywilni robotnicy przybywający codziennie do obozu. Najpiękniejszą chwilę przeżywałem w obozie oświęcimskim w uroczystość Wielkanocy 1944 roku. W wigilię zawiadomiony przez Zdziska udałem się wieczorem na blok szpitalny. Tam spo-

wiadałem, nocowałem, a o godz. piątej rano w gabinecie denty-  
stycznym odprawiłem mszę świętą. Duży stół nakryty obrusem  
służył za ołtarz. W czterech butelkach cudnie skrętami papieru  
imitujących lichtarze jarzyły się świece. Na ścianie w oświetleniu  
dentystrycznego reflektora, widniało oblicze Pańskie. Dzieło ja-  
kiegoś obozowego artysty. Pod nogami czułem dywan. Nie przy-  
znam się, że byłem do łez wzruszony. Czy inni księża odprawiali?!  
Jednym z pierwszych, którzy w obozie oświęcimskim na tajnych  
zebraniach odprawiali msze św., był ks. Józef Kowalski Salezjanin,  
zamordowany w karnej kompanii w 1942 roku. Tajemnicę udało  
się utrzymać do końca. I nie było jaką. Nawet w bunkrze w bloku  
śmierci odprawiano msze święte. Organizatorzy tych religijnych  
impresz zdali egzamin. Tego ruchu oporu esesmani nie wykryli.<sup>44</sup>

## 5. Mauthausen<sup>45</sup>

Komando Bauhof było niepokojone stałymi wybiórkami  
na transport do innych obozów. Przed transportem wielu broniło  
się jak mogło, ponieważ nie wróżył on nic dobrego. W nowym

---

<sup>44</sup> Ks. Z. Kuzak, jak Dante, art. cyt., s. 436-438.

<sup>45</sup> Miejscowość Mauthausen leży w Górnej Austrii nad Dunajem  
w pobliżu Linz. Od 1938-1945 roku znajdował się tam hitlerowski obóz  
koncentracyjny, który z powodu bardzo trudnych warunków życia  
i ciężkiej wyczerpującej pracy w kamieniołomach i zakładach zbroje-  
niowych stał się ośrodkiem masowej zagłady. Przez obóz przeszło około  
335 tysięcy więźniów różnej narodowości, głównie Polaków. W obozie  
zginęło około 123 tysięcy więźniów. 5 maja 1945 roku więźniowie opu-  
ścili obóz, który następnie zajęli Amerykanie. Encyklopedia Powszechna  
na PWN, wyd. 3 warszawa 1985, s. 42.

obozie było się nowicjuszem w „pływaniu” i można było utonąć zanim się nauczono pływać. Jakie będzie otoczenie, jaka praca, czy paczki przyjdą? To były niewiadome przerażające! Udało mi się parę razy uniknąć transportu. Coś dwa razy dopomógł mi w tym p. Skowron, raz dzięki pilnującemu nas na placu wybiórki jednego ze straży ogniowej Wojciecha Czerneka – zwaiałem.

Dnia 16 września 1944 roku nie pomogła ani faszka konia-ku, jaką przeprowadzającemu wybiórkę kapo obiecał mój dobry znajomy z magazynów esesmańskich. Na drugi dzień paruset oświęcimiaków dołączyło wieczorem w Brzezince do innych więźniów, przede wszystkim z Powstania Warszawskiego, zaopatrzone w chleb i kawałek kiełbasy i wpakowano do wagonów więziennych. Wagon, w którym siedziałem, miał okna zakratowane. Trzech esesmanów zajmowało miejsce w części oddzielonej ścianką. Dziwni to byli ludzie. Pozwolili korzystać ze swojej ubikacji, i to darmo, sami przynosili nam wodę do picia, nie zabraniali palić, rozmawiali z nami, nie obawiali się, że jakiś więzień brał karabin do ręki i oglądał, nie obrażali się, że ktoś poklepywał ich po ramieniu... Byli to Kroaci. Pewnie dlatego przeklinali swojego przełożonego jakiegoś führera.

Ten był Niemcem. W niedługi czas po opuszczeniu stacji wpadł do naszego wagonu i niezadowolony, że niektórzy stali z braku miejsca, zamiast siedzieć, począł nas okładać batem ukręconym z drutów. W pewnej chwili zdawało mi się, że krew bluznęła mi z twarzy. Uderzenie było mocne. Gdybym miał dzisiaj lat dwanaście opowiadałbym, że mi o mało oka nie wyciął. Pierwszą noc przesiedzieliśmy na ziemi z kolanami pod brodą. Na drugą noc – leżąc na zmianę na podłodze. Po dwóch dobach jazdy przez piękny kraj czeski, przez zburzone miasta Austrii pozdrawiani przez rozpoznającą nas ludność stanęliśmy (19 września) w Mauthausen.

Kilka kilometrów drogi od stacji do obozu przemierzaliśmy wolnym krokiem.

Z brzaskiem stanęliśmy w obozie. Położony na górze, otoczony z trzech stron granitowym murem, zaopatrzonym w potężne wieże strażnicze z karabinami maszynowymi, zionął chłodem. W obrębie murów, po prawej stronie od wejścia, stała kuchnia, za nią komora gazowa i krematorium przyświecające obozowi w nocy swoją brudnoczerwoną żagwią, dalej magazyny odzieżowe; po lewej stronie bloki mieszkalne, a w tyle bloki kwarantanny. Po zwyczajnych formalnościach, jak kąpiel, przeróżne zapisy, znaleźliśmy się na blokach kwarantanny. Osiemset ludzi na cztery izby bloku. Jedna mała umywalnia z kilku kurkami i kilka muszli ustępowych były dla nas nie dostępne. Do naszej dyspozycji mieliśmy jeden tusz przed wejściem do bloku czynny wieczorem przez kilka lub kilkanaście minut i otwarty, dostępny ze wszystkich stron kanał kloaczny na środku podwórza. Blok był czysty. Racje żywnościowe takie same jak w Oświęcimiu i Brzezince. Praca – w kamieniołomach i oczekiwanie na transport do jakiegoś obozu filialnego. A sława tych obozów straszna... Kopanie tuneli do fabryk podziemnych... kamieniołom w Gusen, jakieś jego „młyny”... opowiadania mroziły krew w żyłach. Tak! Każdy nowy obóz był nowym morzem, na którym trzeba było się uczyć pływać.

Wieczorem rozbieraliśmy się na dworze (parę tylko razy w ciągu dziesięciu dni padał deszcz). Trzymając ubranie i obuwie w rękach wchodziliśmy do baraku gęsiego. Podłoga izb zaścielona szczelnie siennikami nie pozostawiała żadnego przejścia. Na każdym sienniku ustawiał sztubdinst czterech ludzi (po dwóch na końcach siennika) i gdy wszystkie sienniki były obstawione, wszyscy naraz kładli się, przy czym sztubdinst dopomagał nogą lub kijem. W ten sposób obsadzał wszystkie rzędy sienników. Była to praca nie lada. Jeśli ktoś w nocy opuścił swoje miejsce, już go więcej nie odnalazł.

Po pierwszej nocy wstali wszyscy zmęczeni. Na sąsiednim bloku widzieliśmy przez okno, jak blokowy po takiej ściśniętej masie ludzkiej biegał z kijem i uspokajał niezadowolonych. Nasz blokowy krzyczał, ale nikomu nie złorzeczył, podnosił gumę do góry, ale nie bił. Austriak, miły w obejściu, małomówny, więzień polityczny. Pierwszego wieczoru, gdy idąc gęsiego za innymi, kierował się ku siennikom, zatrzymał mnie gestem ręki wskazał mi kąt pierwszej izby. Oddaliłem się i przysiadłem na sienniku, oczekując nie wiedząc czego. Po pewnej chwili blokowy nakazał gestem izbowemu położyć siennik i parę kocy pod szafą blisko wyjścia. Potem bez słowa wskazał mi gotowe posłanie. Z obuwia i ubrania zrobiłem sobie poduszkę, położyłem się i oczekiwałem końca układania ludzi do snu. W ostatniej chwili blokowy zwrócił się do mnie z prośbą, czybym nie przyjął kogoś na swój siennik? Ścisk był wielki. W ciągu dnia wybijałem numery na blaszkach., jakie więźniowie w Mauthausen nosili na lewej ręce przed dłońią. Otrzymałem łatwy do zapamiętania numer 101000.

Pewnego dnia udałem się do kamieniołomu oddalonego o jakieś dwa kilometry od obozu. Sprowadzało do niego przeszło 140 spadzistych schodów. Jakiż postęp! W pierwszych latach schodów nie było... do otchłani kamieniołomów musieli więźniowie nierzadko schodzić po śliskiej pochyłości. Biada temu, kto się potknął. Na ramionach wynosili bloki kamienne wagi pięćdziesięciu kilogramów i więcej. Pokazywano mi „tarpejską skałę”, z której kapowie strącali więźniów na złomy granitu, leżące kilkadziesiąt metrów niżej. Jakaż zmianę można było obecnie zauważyć?! W miejscach 10 czy 12 tur zrobiliśmy sześć za cały dzień. Kapo idąc obok mnie upominał mnie, bym nie spieszył, ponieważ nie wszyscy są tak mocni jak ja. Do południa nosiliśmy kamienie wagi paru lub kilku kilogramów gorzej było po obiedzie. Jakiś podoficer esesmański wpadał do kamieniołomu i nakazał brać większe kamienie. Maltre-

tował przy tym ludzi: chwycił kapo za nosy i zginał ich aż do ziemi, dusił więźniów, że im oczy wyłaziły. Nie dopilnował swego rozkazu i kapowie polecieli nam brać płaskie kamienie i trzymać je sztorcem na ramieniu. Kapowie pamiętali dawne czasy, ale obecnie asekurowali się na gwałt. Był to wrzesień 1944 roku.

Kapo tkalni „zawodowy” zbrodniarz, znany z okrucieństw w poprzednich latach, zapraszał mnie do swojej pracowni, zapewniając, że księdzu tylko u niego może być dobrze. Miał już u siebie dwóch księży, jakiegoś kanonika z Pragi i ks. Trochtę. (Niedawno zmarłego kardynała z Czechosłowacji).

Ów ks. Trochta i ks. Ćwiklik, towarzysz z kartoflarni oświęcimskiej, dowiedziawszy się o moim przybyciu postanowili mi dopomóc i dzięki nim zostałem w Mauthausen. Dziesiątego dnia zostałem sprowadzony do rewiru tzn. do szpitala obozowego i wszedłem do rezerwy pielęgniarzy na bloku 5 rekonwalescentów. Łóżka potrójne cierpiały wielkie obciążenie: po trzech, po czterech pacjentów spoczywało na jednym łóżku. Ileż to razy w nocy waliły się, a rekonwalescenci rozsypywali się po podłodze i podnosili krzyk. Oczekiwały ich ciężkie prace, toteż przyznawano im podwójne porcje chleba, margaryny, mleka, ziemniaków, nawet mięsa. Wagę odzyskiwali szybko i przy transporcie do filialnego obozu wyglądali dobrze. Nie tak dobrze wiodło się pacjentom innych bloków szpitalnych. Liczba pacjentów wraz z rekonwalescentami dochodziła do pięciu tysięcy i ponad. Chorzy więźniowie przybywali nie tylko z obozu Mauthausen, ale i z innych obozów. Przy większym napływie selekcja odciążała szpital. Bloki pacjentów to stajenne baraki.

W Mauthausen nie było najgorzej. Wprawdzie paczek nie otrzymywałem i na porcjach obozowych począłem szybko chudnąć. Straciłem coś 20 kilogramów. Ale towarzystwo lekarzy, pielęgniarzy – Polaków, Rosjan, Jugosłowian było sympatyczne i przyjazne.

Zawierzony mi obowiązek służby nocnej spełniałem w towarzystwie p. Szczerbińskiego, byłego sekretarza PPS we Francji. Noc była za krótka, by omówić wszystkie tematy, jakie poruszaliśmy siedząc pod piecem lub spacerując po bloku.

Rekonwalescenci, poza rzadkimi bardzo wyjątkami, nie potrzebowali obsługi. Po szóstej rano kładłem się spać. Ach! Cóż to było za spanie. Tylko Bock „Tata” w Brzezince rozumiał swego Nachtwächtera. Łóżko miałem wśród innych dzieląc je z p. Karczewskim z Warszawy, aptekarzem bloku. On spał na nim w nocy. Ciągły harmider, wizyty, szturchania ze strony przechodzących nie pozwalały spokojnie przespać jednej godziny. A poza tym zachcianki: zamówić sobie wizytę u księdza, zapytać jak coś rozstrzygnąć coś jak np., jaki jest drugi przypadek liczby mnogiej od dies-dium czy dierum? Sprzeczano się o to z docentem uniwersytetu praskiego w izbie blokowego. No i tym podobne „ważne” sprawy, dla których budzono.

Mauthausen, jak każdy inny obóz, żył nadziejami, ale nikt mniej realnie nie myślał o wypadkach niż Francuzi. Taki ojciec Riquet jezuita (kaznodzieja Notre Dame w Paryżu) jakiś profesor Sorbony (nazwiska nie pomnę) już w październiku kazali Anglikom lądować w Hamburgu i maszerować na Berlin... już... już... tylko ich patrzeć. Z oburzeniem spoglądali na wątpiących. A przyszłość była dla nich opromieniona blaskami tak różowymi, jak najwspanialsze zachody słońca w Mauthausen. Trzeźwo, spokojnie i nie bez obaw myślał o wszystkim i o losie samego obozu lekarz naczelny bloku 5, Rosjanin.<sup>46</sup>

---

<sup>46</sup> Ks. Z. Kuzak, *Jak Dante*, art. cyt., s. 438-441.



## 6. Dachau i różne wspomnienia obozowe<sup>47</sup>

Chyba około pół do piątej po południu 29 listopada szarpnięciem obudził mnie

szrajber bloku wołając: „prędko, prędko, jedźcie do Dachau”. Nie nowina. Od miesiąca już

o tym gadano. Nigdy mnie tam nie ciągnęło. Nie wierzyłem, by tam było tak rozkosznie, jak zapewniano. Byłem zawsze przekonany, że małej grupce księży w obozie może być znacznie znośniej nawet w warunkach ciężkich, źle być musi wielkiej gromadzie. A poza tym, czyżby Niemcy. Już coś słyszałem o tych rozkoszach w oświęcimskim obozie od bywalców w Dachau, a teraz miałem usłyszeć o tym od tych, którzy je przeżyli.

Poganiany wołaniem, zapomniałem się zegnać i zapomniałem moje Officium Parvum, które mi dotychczas towarzyszyło. Już po apelu wybiegliśmy na plac apelu na górze. Zastaliśmy tam księży z obozów filialnych i w liczbie 56 nocowaliśmy na bloku kwarantanny. Blokowy przy rewizji pozabierał nam to, co mu się wydawało niedozwolone, jak drugi sweter otrzymany z domu i drugą koszulę. Sypiałem w Oświęcimiu we dwójkę i w trójkę, tę noc przeleżałem na sienniku w czwórkę.

Rano 30 listopada podążaliśmy na stację, gdzie oczekiwał nas, nie dbając na spóźnienie, pociąg osobowy. W klasie trzeciej do-

---

<sup>47</sup> Dachau leży w Bawarii na północ od Monachium. W 1933 roku hitlerowcy zorganizowali tu pierwszy obóz koncentracyjny, który przetrwał do kwietnia 1945 roku. Przez obóz przeszło około 250 tysięcy więźniów różnych narodowości, między innymi ponad 1600 księży polskich. W Dachau zginęło około 148 tysięcy osób. Encyklopedia PWN wydanie trzecie Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1983, t. I, s. 564

jechaliśmy do Linzu. Tam przesadzono nas do osobowego wagonu klasy pierwszej. Wagon był zniszczony: brakowało poduszek, w paru przedziałach nie było szyb. Dla kilku zabrakło miejsca, musieli zatem siedzieć na podłodze w bagażowni. Po całodziejnej podróży stanęliśmy w Salzburgu i wtłoczeni na stację czekaliśmy rana. Na pobliskim torze stał pociąg obładowany amunicją. Syreny wyciem bezustannie zwiastowały naloty. Rano ruszyliśmy dalej. Czas podróży był przykry, chłodny, deszczowy. Humor przecież nie brakowało nikomu, do czego przyczyniali się głównie esesmani. Wiedzieli oni, że mieliśmy papierosy, w jakie księża mogący korzystać z kantyny zaopatrzyli siebie i swoich towarzyszy. Esesmani niemający co palić kazali sobie płacić za każdą usługę, więc za pozwolenie pójścia do ustępu, za naparstek wody, jaką nam wymierzali ze swoich manierek, musieliśmy płacić papierosami. Wieczorem szef konwoju w każdym przedziale wyciągnął rękę i żądał papierosów. To nie byli esesmani z 1940 roku.

W nocy 30 listopada wjeżdżaliśmy na stację w Dachau, a zegar bramy obozu wskazywał 12.15, gdyśmy się znaleźli za jego drutami. Był już 1 grudnia 1944 roku. Do rana przesiedzieliśmy w kotłowni łaźni obozowej. Rano po apelu odprowadzono nas na jeden z bloków kwarantanny. Czas upływał na niczym. Dziesiątego dnia przeniesiono nas na blok księży 26 i 28. Polscy księża pozostali na bloku 28, księża innych narodowości na bloku 26. Nareszcie znaleźliśmy się między swoimi. Bloki były dwa razy dłuższe niż w Mauthausen i posiadały cztery podwójne izby. Pierwsze izby miały w pośrodku piec kaflowy, wokół niego stoły, a pod ścianami wysokie, wąskie szafki na naczynia. Drugie izby były sypialniami o potrójnych łóżkach. Najczęściej na dwóch siennikach spało trzech.

W dniu 29 kwietnia 1945 roku Dachau liczyło polskich duchownych 798, a w tej liczbie 211 zakonników. W czasie wojny zginęło w Dachau 852 duchownych polskich. Ta liczba najwymowniej

świadczy, jak było dobrze nam w sławnym Dachau. Nie zapominajmy, że obok stał blok 26 nazywany niemieckim, gdzie mieszkali duchowni różnych narodowości, którzy na ołtarzu hitlerowskiego szafu złożyły również setki ofiar. Nie myliłem się nie pragnąc nigdy Dachau. Ale jak w innych obozach, tak i w obozie pod Monachium zmieniło się wszystko na lepsze. Klęski na frontach napędzały Niemcom rozumu do głowy. Terror i tutaj zmalął. Porcje jedzenia tak „wielkie” i mizerne jak w Oświęcimiu, Brzezince, Mauthausen. Sytuację ratowała żywność otrzymywana z domu.

Blok niemiecki posiadał kaplicę. W niej to w okresie Bożego Narodzenia (trzeba pamiętać, że był to rok 1944) przeżyliśmy piękne niezapomniane chwile. Pasterka ściągnęła tłumy świeckich. Oprócz tego w tejże kaplicy księża różnych narodowości dali koncert kolęd. Nie muszę dodawać, że nasze były najefektowniejsze, poza tym chór polskich księży dał koncert na bloku polskim dla gości. Oprócz tego dwie szopki przygotowane przez polskich księży urozmaicały okres Bożego Narodzenia swoimi występami w różnych blokach.

Czułem się lepiej niż w Mauthausen nie tylko dlatego, że znalazłem się wśród księży, ale i dlatego, że salezjanie, których tutaj spotkałem, dzielili się ze mną tym, co otrzymali z domu.

Ale właśnie mniej więcej w miesiąc od przybycia do Dachau poczułem lekki ból w lewym boku, który z dnia na dzień niewiele się powiększał, ale temperatura poczęła się stawać nieznośna i siódmego stycznia stwierdziwszy u mnie flegmonę dr Czarkowski kazał mi się położyć na stole operacyjnym i pod narkozą dokonał cięcia pod mięśniami piersiowym. Powróciłem przecież na blok i dopiero 11 stycznia wieczorem przyjęto mnie na czwartą izbę flegmony bloku pierwszego. Izba posiadała łóżka potrójne, podwójne i pojedyncze. Dostałem się na podwójne i zająłem miejsce u góry. Jedzenie było marne: zupa bez wartości, a chleba zwyczajna porcja 250

gramów z jakimś dodatkiem kilkunastu gramów margaryny, sera lub kielbasy. Znajomi księża nie zapominali. Po długim czasie leczenia otrzymałem dietę i drugie śniadanie składające się z jakichś 50 gramów chleba i kawałka margaryny, czwartą część litra mleka, czasem mniej i coś tam jeszcze.

Choroba nie ustępowała. Dwanaście razy z przerwami paruniowymi temperatura nagle rosła i o godz. trzeciej po południu dochodziła do 40 stopni z kreskami. Przy takiej temperaturze gryzłem po szesnaście, osiemnaście jakichś tabletek i temperatura spadała do 36. O śmierci nie myślałem, a można było lękać się kostuchy, ponieważ od czasu do czasu przenoszono jakiegoś chorego na łóżko przy drzwiach, co było znakiem, że koniec rychły... Można było mieć obawę, bo za oknami oddziału flegmony znajdowała się trupiarnia i w niej odbywał się stały ruch.

Śmiertelność w tym czasie w Dachau była znaczna. Najwięcej ofiar było wśród Francuzów leżących obok mnie. Chirurg francuski z lękiem dzielił się z innymi przygnębiającą wieścią o straszliwym żniwie śmierci. Jak w Oświęcimiu, Brzezince Francuzi i w Dachau nie zdradzali żadnej odporności. Pomimo pomocy otrzymywanej od Czerwonego Krzyża ginęli jak muchy.

Chyba w lutym, a może w marcu, z całym zaufaniem kładłem się na stole operacyjnym po raz wtóry, ale i ta operacja na niewiele się zdała. Wydawało mi się, że dolegliwości fizyczne powinny zejść na plan dalszy.

Samopoczucie mieliśmy coraz to lepsze, pomimo coraz większych braków: przesyłki z domu były coraz rzadsze, wreszcie ustały, racje żywnościowe coraz mniejsze, bochenek chleba dzielony dawniej na czterech przeznaczono na sześciu, ośmiu, dziewięciu, diety w szpitalu zniesiono. „Im gorzej, tym lepiej” pocieszaliśmy się, w tym przeświadczeniu utwierdzały nas częste naloty na Monachium odległe o jakieś 18 kilometrów. Za dnia przerywały pracę,

w nocy nie pozwalały spać. Killkrotnie na dobę odzywała się syrena trwogą przejmując esesmanów, radością napełniając nas.

Nadzieje nasze rosły. Wydawało się nam, że słyszeliśmy grzmot armat. Przybywający do Dachau więźniowie z innych obozów opowiadali o ewakuacji. Obóz nasz zapełniał się. Któregoś dnia pod koniec kwietnia przybył transport więźniów z Buchenwaldu. Nieszczęśliwi wchodziłi za bramę obozu i padali na ziemię. Wielu przyprawdzono do szpitala. Na naszej izbie znalazło się kilka ofiar tego strasznego transportu, wlokącego się okrężnymi drogami, przeszło dwadzieścia dni. Byli to ludzie w bestialski sposób zmasakrowani i postrzelani. Opowiadanie ich było wstrząsające. Jechali w zamkniętych i odkrytych wagonach, karmieni garścią zboża, surowymi ziemniakami i kawałkami chleba, okładani kolbami i strzelani dla byle jakiego powodu, np. zmiana pozycji w siedzeniu długimi godzinami na podłodze wagonu z kolanami pod brodą. Wielu ludzi umarło z głodu. Ratując się przed śmiercią głodową z dogorywających wyrzynali kawałki mięsa. Z wielu wagonów po ich otwarciu trupy nagromadzone przy drzwiach sypały się na ziemię.

Lęk ogarnął wszystkich. Szeptano sobie, że Niemcy nie oddadzą nas Amerykanom żywymi, bo dlaczego uciekają z więźniami z Buchenwaldu? Nie rozumieliśmy, dlaczego bloki musiały stawać na polu apelowym i oczekiwać nie wiedząc na co długimi godzinami. Krążyła wieść, że zdrowi opuszczą obóz, a chorzy? Ktoś domyślał się, że chorych wystrzelają.

Dnia 29 kwietnia 1945 roku wczasn rano przyszedł do mnie p. Nowak warszawianin, i powiedział mi, że nad główną bramą widnieje biała chorągiew. Wyszedłem. Dzień był pogodny, słoneczny. Tak! Nad bramą powiała biała chorągiew. Daleko nad horyzontem płonęła forteca... Grzmot działa był rzadki, lecz wyraźny. Koło obozu uwijały się jak jaskółki amerykańskie samoloty. No i co? – pyta

p. Nowak. Chcą nas oszukać. Niemcy chcą, byśmy siedzieli spokojnie. W tym coś jest. Nie! Ta flaga oznacza, że teren jest wyjęty spod działań wojennych. Nie! Chcą nas oszukać.

Dzień płynął szybko. Był nerwowy. Było słychać grzechot karabinów. Napięcie rosło. Wydawało mi się, że panowała cisza. Nagle powietrze wstrząsnął straszny krzyk. Trzydzieści tysięcy ludzi dało upust swej radości. Amerykanie wchodzili do obozu. Była godz. 17.35. wielu silniejszych pacjentów wybiegło na główną ulicę. Nie podszedłem. Bałem się... W tej chwili oswobodzenia po czterech latach niewoli odczuwałem wszystkie krzywdy... Twarz paliła mnie od policzków, kark bolał od razów, bok jęczał pod furią kulałów, grzbiet giął się pod uderzeniami drąga... czułem dżganie w żywe mięso... Zraniona godność upominała się o swe prawa... krzykiem domagała się sprawiedliwości. Ciekawość zwyciężyła... Wyszedłem ku wieży strażniczej, stojącej za drutami, w kącie pod murem okalającym obóz. Do wieży podchodził Amerykanin w towarzystwie więźniów. Esesmańskiej, poddającej się obsadzie wieży kazał stanąć pod murem i jednym pociągnięciem automatu zwałił wszystkich na ziemię. Przy innych strażnicach postąpiono podobnie. Dnia tego rozstrzelano ponad 500 esesmanów przyłapanych w obozie. Nie dawali pardonu.

Była to kara za ten straszny transport z Buchenwaldu, którego pociąg pełen trupów zastali na stacji. Obóz wrzał radością długie godziny.

Zapadła noc. Dziwiło nas, że działa od strony Amerykanów dawały bezustannie ognia. Jawił się lęk. Powstało pytanie, a jeśli esesmani powrócą? Decyzja była gotowa – uciekać, bo rozjuszone teutony nie oszczędzą nikogo. Ręką sięgałem po ubranie, wzrokiem śledziłem obuwie pod łóżkiem. Ktoś wrócił z obozu. Usłyszałem szept: mówią, że Niemcy wracają. Po pewnym czasie zjawiał się Jurek. Przyłgnałem do siennika, gdy zauważyłem, że Jurek roze-

brawszy się wyszedł do góry na łóżko. Rano przyszedł na blok major amerykański i opowiadał, że niemiecki oddział Wikingów miał rozkaz dnia 29 kwietnia o godzinie 8 wieczorem przybyć do obozu, więźniów wystrzelać i obóz spalić. Zbrodniarzy tych uprzedzili Amerykanie o trzy godziny.

W krótkim czasie Amerykanie likwidują obóz w Dachau. Chorych przenieśli do prowizorycznego szpitala amerykańskiego a zdrowi udali się do Fraimanu...

Dnia 8 sierpnia żegnałem się z życiem obozowym. O godzinie coś pierwszej po południu znalazłem się w sanatorium w Gross Sachsenheim niedaleko Ludwigsburgu (Wurttemberg). Leczenie, operacja i obowiązki kapelana zabrały mi trzy lata. 24 czerwca 1948 roku stanąłem na wolnej ziemi w Krakowie.<sup>48</sup>

Niezależnie od dosłownie podanego artykułu ks. Zygmunta Kuzaka pt.: „Jak Dante za życia, przeszedłem przez piekło” opisującego tragiczne przeżycia autora w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, pragnę zgodnie z wolą autora, podać również jego inne nieznanne wspomnienia z obozów koncentracyjnych.

Niestety, wspomniane opisy – maszynopisy zostały napisane kiedyś na lichym papierze i w niektórych wypadkach trudno je dzisiaj odczytać. Aby ich treść nie uległa zniszczeniu, pragnę je dosłownie przepisać, by zgodnie z wolą ks. Kuzaka ich autentyczna, wiarygodna i cenna treść służyła historykom do dalszych poszukiwań i badań naukowych.

---

<sup>48</sup> Ks. Z. Kuzak, Jak Dante, art. cyt, s. 442-446.

## **Ucieczki**

Bywały! I jak wiemy, niewiele było udanych. Przyznawałem się więźniom obozu oświęcimskiego i Brzezinki, że mieszkałem w Oświęcimiu i nawet nieraz udało mi się pokazać nasz Zakład. I to widocznie zachęcało niektórych odważniejszych do projektowania mi wspólnej ucieczki. Pamiętam pewnego pułkownika, ale nazwisko jego zgubiłem, pamiętam jeszcze kogoś. To byli Polacy. Obydwaj potrzebowali pomocy, przytrzymania jakiś czas w Zakładzie. Najlepszą ofertę składali dwaj Żydzi stubdynści, moi dobrzy znajomi. Zapewniali mnie, że nie pożałuję, że mi się odpląca, byle im wskazać drogę do Zakładu, potem dadzą sobie radę...

Odmawiałem. Gdy wspominałem o tym po powrocie do Polski, usłyszałem szept: „ja bym uciekał”.

Pewnego razu przystąpił do mnie jakiś duchowny, o ile sobie dobrze przypominam, był to... tylko tyle, był to duchowny. Projektował ucieczkę we dwóch i to doskonale przemyślaną i należycie przygotowaną. Pracował on w biurze, gdzie wyrabiano przepustki dla cywilów „angesztelten” dla cywilnych robotników, którzy każdego dnia przybywali do obozu w celu wykonania pewnych robót. Ów duchowny twierdził, że jest mu bardzo łatwo wyrobić taką przepustkę dla siebie i dla mnie jako dla cywilnych robotników. Potrzebował tylko mojego zdjęcia. Rzecz zrozumiała, że takiego zdjęcia w obozie nie posiadałem, ale miałem je w domu. tj. w Zakładzie naszym w Oświęcimiu. Jak je dostać i przemycić do obozu? Nie było trudno. Z naszego Zakładu przychodzili do pracy w obozie znani mi nasi koadiutorzy – bracia Jan Tchórz i Antoni Krupczak i paru innych robotników z naszej stolarni. Właśnie któryś z naszych braci, chyba najpewniej mógł to zrobić Tchórz dobrawszy się do moich rzeczy w domu. To było łatwe. Również odmówiłem. Dlaczego?



Gdy w roku 1942 znalazłem się w obozie któregoś dnia musiałem stać wraz z innymi długie godziny na apelu wieczornym, ponieważ brakowało jednego więźnia. Jak się mówiło – uciekł. Więźnia nie przyłapano. Pod koniec tego morderczego apelu stawał przed każdym blokiem wyznaczony więzień i też zapowiadał, że jeżeli więzień nie wróci, to całą jego rodzinę sprowadzą do obozu. Tego nigdy nie byłem świadkiem. Inni więźniowie i opowiadali, że tak się działo.

Kto słysząc takie zapewnienie chciałby narazić swoich drogich na nieszczęście. Siebie ocalić, choć to było wątpliwe, a innych zgubić!

Dla mnie było jasne i temu duchownemu tłumaczyłem. W obozie wiedzą, że jestem z Oświęcimia i tam będą mnie poszukiwać, mogą zabrać innych salezjanów do obozu, aż do mojego powrotu... szykanowałiby moich rodziców, moich braci... Nie! Odmówiłem. Wkrótce potem wyjechałem do Mauthausen.

Gdy wróciłem do Polski, opowiadał mi ks. Rokita, który po moim aresztowaniu dyrektorował naszemu domowi w Oświęcimiu, że pewnego dnia zgłosił się do niego jakiś mężczyzna i prosił o udzielenie pomocy... bo grozi mu niebezpieczeństwo ... bo z obozu... ks. Rokita nie dowierzał. Ale gdy egzaminował szczerść opowiadania, odezwała się syrena. Był to znak dla obozu i okolicy, że ktoś z obozu zdołał zbiec. Nieznany ten człowiek przerażony powiedział, że właśnie jego w tej chwili poszukują i by koniecznie udzielić mu schronienia. Ks. Rokita ukrył go w Zakładzie i po jakimś czasie zbieg ten udał się w dalszą drogę.

Gestapo obozowe nie poszukiwało zbiega na terenie naszego Zakładu, ale zgromadzenie zakonne, do którego należał na pewno doznało przykrości.

Nie! Nie! Nie mogłem przyjąć takiej oferty, ani za dobrą zapłatę obiecywaną przez poczciwego Jankiela i jego kolegę.

Mogłem uciekać w chwili gdy mnie Siebert aresztował w Oświęcimiu. Te same względy powstrzymały mnie przed nieroztropnym krokiem. I chwała Bogu!

I znowu przed chwilą podałem nazwisko gestapowca, który mnie aresztował. Siebert a pomocnik jego Procner. Skąd zdobyłem ich nazwiska? No! Nie bądź naiwny! Żaden z nich nie przedstawił mi się. Dowiedziałem się o ich nazwiskach dopiero po powrocie do Polski. Co stało się z Procnerem nie wiem. A co z Siebertem?

Jeśli to prawda? Gdy wróciłem do Polski w 1948 roku, mówiła mi siostra Teodozja przełożona serafitek w Oświęcimiu w czasie wojny, że Siebert oczekiwał na dwa tysiące marek. Zgadzało się to z opowiadaniem pewnego więźnia w Bielsku Białej, gdzie spędziłem prawie dwa dni z 30 sierpnia na 1 września. Więzień ten twierdził, że za dwa tysiące marek można było odzyskać wolność. Ale finał takich operacji dla Sieberta miał okazać się fatalnym. Zwolnił więźnia. Po pewnym czasie gestapo z innego rejonu zażądało tego więźnia na przesłuchanie. Obóz – powiedzmy poprawnie – gestapo obozu oświęcimskiego podało wiadomość, że wtedy a wtedy więzień ten został odwołany przez Sieberta do Krakowa i stamtąd nie wrócił. I to pogrzebało Sieberta...twierdzono, że został wysłany na front... to że zginął w obozie oświęcimskim... Ile w tym prawdy?<sup>49</sup>

### ***Ty nie jesteś księdzem***

We wspomnieniach moich z lat obozowych pod tytułem „Jak Dante za życia przeszedłem przez piekło” umieszczonych w „Martyrologium Duchowieństwa Polskiego w czasie okupacji hitlerow-

---

<sup>49</sup> ASIK B 2849; Ks. Z. Kuzak SDB, *Ucieczki*, mps., s. 1-2

skiej 1939-1945” zeszyt III str. 406, pomiąłem pewien ciekawy szczegół. Chyba w marcu 1944 roku księży z obozu Brzezinka przeniesiono do Oświęcimia. Było nas ośmiu. Przygotowano nas odpowiednio, a więc wykąpano, odwieszono, wygolono na niemowlęta i tak przygotowani czekaliśmy na ubrania, bo mieliśmy jechać do Dachau. W momencie wyczekiwania zbliżył się do nas Rapportführer (esesman odpowiedzialny za stan obozu) i przyglądając się nam powiedział wskazując jednego z nas „ty nie jesteś księdzem”(esesman mówił pfarrer): myśmy odparli „ale jakżeż, on jest księdzem”. Tak, to prawda, ciągnął dalej esesman, ale on nie ma twarzy księdza. A jak on to poznaje, pytali niektórzy. Esesman tłumaczył, że czynności kapłańskie księdza zmieniają twarz i całe zachowanie się mężczyzny i po tym się poznaje..

Jednak do Dachau nie pojechaliśmy wraz z dwudziestu innymi księżmi obozu oświęcimskiego. Przebywaliśmy na osobnym bloku, nie pracowaliśmy, było nam dobrze. Mieliśmy paczki: wesoło upływał nam każdy dzień i tydzień. Trzydziestego pierwszego marca wieczorem nowe przygotowanie do podróży do Dachau i gdy stanęliśmy już gotowi do wymarszu na stację kolejową, przyszedł rozkaz „na blok szesnasty”. Sądziiliśmy, że to prima aprilis. Nie! Rano dowiedzieliśmy się, że będziemy pracować na Bauhofie (magazyny budowlane Bauhof) i że mamy się pocić... To zrozumiałem dopiero po przybyciu do Dachau z Mauthausen. Schreiber (pisarz) komanda Bauhof, p. Skowron polecił mi podać mu listę księży sła-bych. Księży tych umieścił w różnych miejscach, gdzie była robota lżejsza np. prostowanie drutów do betonów. Pracownicy przy takiej robocie siedzieli pod dachem i robili duży hałas, a więc „pocili się”. Innym dał pracę zamiatania ulicy, na której śmieci nie było, ale leżało tam stale wiele drobnego żwiru i ks. chyba Szwajnoch – żwir ten usypywał w bardzo ładne przyzmy. Wreszcie mnie „mianował” „vorarbeitrem” (przewodnikiem) nad dziewięcioma księż-

mi. Mieliśmy sztaplować deski. Esesman odpowiedzialny nie był zadowolony z naszej roboty i po pewnym czasie p. Skowron przeznaczył moich podkomendnych do różnych lżejszych prac, a mnie dał robotę w kuźni Bauhofu, gdzie majstrem był inżynier p. Tadeusz Olkuśnik – zwany Tadzikiem. W kuźni zastałem dwóch węgierskich bardzo zacnych i uczciwych pracowników, dwóch Polaków i Rosjanina. A jaką miałem robotę, przy której powinienem „się pocić”? Robota moja to naciąganie zdartych kilofów i młotków murarskich, sporządzanie haków i kółek do stajni. Naprawianie taczek i kółek do taczek zdarzało się rzadziej, a betoniarka na naprawę czekała i czekała... No i pociłem się! Tadzik Olkuśnik lubił sobie ze mnie pożartować np. kazał mi robić gwoździe kowalskie. Pokazał mi i jemu ze specjalnego przyrządu wyskakiwały gwoździe jak się patrzy. Mnie zawsze wyskoczyła fajka. I nie nauczyłem się robić gwoździ kowalskich. Te moje fajki bawiły p. Tadzika i moich kolegów, takich samych kowali jak ja.

Ale pewnego dnia wszedł nagle esesman, który mi dostarczył robotę i przyglądając się jak do wzoru narysowanego na cementowej podłodze kuźni, pręty żelazne rozpalone w ogniu polowej kuzienki ze Zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu przymierzałem, zagadnął: „dein Beruf” – jaki twój zawód? Jestem kowalem. „Nie, nie jesteś kowalem” Powtórzył pytanie i ja powtórzyłem odpowiedź. Uśmiechnął się i wyszedł. Potem i dziś żałuję, że go okłamałem, a nie musiałem. Zmieniły się czasy. Terror, codzienny terror ustąpił miejsca łagodnemu traktowaniu więźniów. Przecież z końcem roku 1942 zezwolono na paczki i zakazano bicia. Można się było bronić przed biciem groźbą doniesienia raportfurerowi a to się nie opłacało. Esesman ów mężczyzna wysoki, barczysty, z szeroką twarzą, jasny blondyn z niebieskimi oczami robił wrażenie dobrego człowieka, może katolik? E! Szkoda, że się nie przyznałem. Dla zgorszonego tym wyznaniem muszę dodać, że nie zrobiłem tego

z obawy, bo przecież wszędzie i w urzędach obozowych i prywatnie wobec kapów i blokowych przyznawałem się do mojego zawodu. Więc? Już sama moja odwaga, że nie mówiłem prawdy, świadczy, że można było tak sobie pożartować. I ja żartowałem. Chyba rozpoznawał we mnie księdza.

Pewnego ranka, gdy wychodziliśmy do roboty, usłyszałem jak esesman stojący przy bramie wskazując na mnie swojemu koledze odezwał się „der ist Pfarrer” – to jest ksiądz. Usłyszeliśmy również żartobliwe wytłumaczenie tego rozpoznawania księży: „to wasze Dominus wobiskum i oremus zmienia was.”

Esesman przy bramie obozu w Brzezince, gdy przed nim stanąłem meldując przejście do innego obozu, odezwał się: „ty jesteś proboszczem. Nie! Jak to nie? Proboszcz ma parafię, a ja nie miałem parafii, ja jestem zakonnikiem i byłem dyrektorem zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu.”

Nieraz jakiś kapo rozpoznawał mnie bardzo dobrze. Ale jak przedstawiłem wyżej, to działa się na ogół ze wszystkimi księżmi! Nie miałem się, czym chwalić! Prawda?<sup>50</sup>

### **„Byli wśród nich ludzie”**

(wspomnienia obozowe)

„Ze świecą w biały dzień szukaj porządnego Niemca”

Na pewno to przesada. Na pewno, bo przecież kapitanowie oddziału Bawarczyków stacjonujących w naszym Zakładzie Wycho-

---

<sup>50</sup> ASIK B 2849; Ks. Z. Kuzak SDB, Oświęcim – Brzezinka 1944 r. „Ty nie jesteś księdzem” mps., s.1-2.

wawczym św. Jana Bosko w Oświęcimiu, w święto Bożego Narodzenia 1939 oświadczyli, że chętnie przyszliby do kościoła, gdyby ich zaproszono i po chwili na zaproszenie oddział Bawarczyków wymaszerował do kościoła i zajął pierwsze miejsca w ławkach przed prezbiterium, a obydwaj kapitanowie weszli do prezbiterium. Nie muszę dodawać, że zachowali się godnie – po niemiecku.

Później urządzaliśmy dla nich Msze Św. w Kaplicy św. Jacka. Odprawiał je śluzak ks. Aleksander Kotuła salezjanin.

Bawarczycy traktowali nas grzecznie. Ale to samo muszę powiedzieć i o innych oddziałach Wehrmachtu, które gościły w naszym Zakładzie. I Würtemberczycy protestanci Prusacy protestanci nie wyrządzali nam przykrości. Dowódca Prusaków służył swoim wozem naszemu ks. Strauchowi. Austriacy przed opuszczeniem zakładu polecieli nam usunąć wszystko, co się tylko dało wynieść. I kilkunastu kleryków z tajnego kursu teologii, na oczach żołnierzy wynosili biblioteki, gabinety – fizyczny, chemiczny, mineralny, zoologiczny i zabezpieczali na strychniach i w piwnicach kaplicy. Ukryli również instrumenty kapeli i orkiestry... Wszystko to doczekało się końca wojny.

Zdarzyły się wypadki, że jakiś żołnierz potłukł figurki świętych inny przebił portret kardynała Hlonda, ktoś wydlubał oczy w portrecie ks. Michała Rua. Ale równocześnie pozostawiono w spokoju obrazy Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych wiszące nad głowami żołnierzy w ich sypialniach (salach szkolnych).

Ale to był Wehrmacht – żołnierze! Złośliwości pokazali niewiele!

A esesmani?

Przypominam sobie dwie rewizje w więzieniu Montelupich w Krakowie, w roku 1942. Pewnego dnia wpadł do mojej celi (mojej, ponieważ byłem „Zelleälteste – starszym celi”) esesman uchodzący za lepszego i odezwał się do mnie: Pfarrer-Zelle reinmachen,

verstehen Sie – Zelle reinmachen” – cele oczyścić. Mógł podejrzewać naszą celę, że posiadamy rzeczy zakazane jak szczyryk i ołówki..., bo karty do grania inżynier Amühler wyrysował wspaniale. Oczywiście oczyściliśmy celę. W popielisku pieca spoczął szczyryk i ołówki, skrawki papieru z pieśniami religijnymi, zniknęły gdzie indziej. Rewizja wypadła dobrze. Nasz strażnik był zadowolony.

Drugi raz rewizję przeprowadził esesman, którego można by ochrzcić każdym ordynarnym imieniem. Kazał nam wyjść z celi, a po oczyszczeniu jej z rzeczy niepotrzebnych jak kawałek papieru, szkielko, kawałek cegły, małe pudełeczko przystąpił do osobistej rewizji i kazał opróżnić kieszenie. Gdy na podstawioną dłoń złożyłem mu różaniec, wpatrywał się w niego przez chwilę, potem wlepił oczy w moją twarz, oddał różaniec i przerwał rewizję.

W ciągu dziesięciu miesięcy mojego pobytu we więzieniu Montelupich w moich celach 111 i 114 nigdy nikogo nie znieważyli. Jeden z nich, właśnie ten lepszy, często wrzucał do celi kciuka. Czasem przynosił drugi kawałek chleba. Inny w drodze do kąpieli wręczył mi raz cygaro innym razem papierosa.

A teraz dwa szczególne wypadki.

Pierwszy z opowiadania p. Gorzkowskiego, który przed wojną miał drogerię na rynku dębnickim w Krakowie. Spotkaliśmy się w obozie oświęcimskim i tam p. Gorzkowski opowiadał mi historię chyba rzadką.

Gorzkowski jako drogerzysta pracował w obozowej zielarni. Szefem jego był oficer esesman. Rangi jego nie pamiętam. Gorzkowskiemu, po dłuższym kontakcie z tym człowiekiem zdawało się, że to porządny Niemiec i postanowił przez niego skontaktować się ze swoją rodziną. Pewnego dnia, gdy Niemiec wszedł do bunkra z ziołami, Gorzkowski przystąpił do niego i zapytał, czyby nie zechciał – będąc w Krakowie – odwiedzić jego rodzinę i przy tym nakreślił mu drogę do drogerii na rynku dębnickim. Oficer nie dał

żadnej odpowiedzi i wyszedł z bunkra. Jest źle – pomyślał Gorzkowski. Ogarnął go strach. Źle! Pomyliłem się. Po iluś tam dniach oficer znowu pojawił się w bunkrze i przekonawszy się, że są tylko obydwoj – sam kazał bunkier zamknąć od wewnątrz i polecił Gorzkowskiemu napisać list do rodziny. Gorzkowski skreślił kilka słów do żony córki i wręczył oficerowi. Ten opuścił bunkier. Gorzkowski odetchnął z ulgą. Wiec nie myliłem się – to porządny człowiek. Po pewnym czasie pojawił się w bunkrze darzony zaufaniem Niemiec. Kazał bunkier zamknąć. Podał Gorzkowskiemu list. Gorzkowski przeczytał i chciał oddać esesmanowi, ale ten odezwał się: czytaj, jeszcze raz czytaj. Gorzkowski wzruszony odczytywał list raz jeszcze i złożywszy podał oficerowi a ten: Nie! Gorzkowski! To jest twój list, ale zniszcz go tak, żeby ślad nie został i uważaj, to kosztuje dwie kule – „dass kostet zwei Kugel”.

To opowiadał mi Gorzkowski w obozie oświęcimskim. Gdy w 1948r. w lecie powróciłem do Krakowa i przechodziłem przez rynek dębnicki, zauważyłem w drogerii Gorzkowskiego, wstąpiłem i dowiedziałem się reszty.

Oto: gdy pewnego dnia jakaś limuzyna stanęła na rynku dębnickim, i do drogerii wszedł oficer esesmański, lokal opróżnił się szybko. Oficer zapytał o żonę Gorzkowskiego. Gdy ta przedstawiła się, zwrócił uwagę na drugą kobietę w głębi lokalu. Dowiedziawszy się, że to córka Gorzkowskich pozwolił jej zostać. Potem doręczył list, kazał szybko dać odpowiedź i przygotować jakąś paczkę. A koniec poznaliśmy poprzednio.

Podobną historię opowiadał mi inżynier Ludomir Kieszczyński. Po przybyciu do obozu w Brzezince, znalazł się w ósmym bloku szpitala obozowego, gdzie byłem stróżem nocnym. Oprócz tego, że był w obozie dotknęła go jeszcze inna kara: nie mógł pisać do rodziny i nie mógł otrzymywać paczek. Po wyjściu ze szpitala dostał się do biura projektów (tego się domyślam). Ze mną kontak-



tował od czasu do czasu. I pewnego razu pytał mnie o radę. Jego szef – oficer wydawał się dobrym człowiekiem. Kieszczyński pytał, czy będzie bezpiecznie obdarzyć tego pana misją odwiedzenia rodziny Kieszczyńskiego w Warszawie. „Skoro ten Niemiec jest dla pana inżyniera uprzejmy – jak słyszę – to można go zapytać, a on uczyni, co zechce.” I oficer ten spełnił prośbę Kieszczyńskiego.

Był rok 1944. Wiemy, że do obozu każdego dnia przybywali cywilni robotnicy z Oświęcimia i okolicy. Dla znajomych więźniów przywozili lekarstwa (tak jak ja otrzymywałem lekarstwa od ks. Rokity) coś do zjedzenia, a nawet jakąś flaszeczkę. Moi dobrzy znajomi obozowicze zaprosili mnie z okazji jakiegoś święta na obiad. Nasz szef podoficer pozwolił na to przyjęcie. Zastrzegł się tylko, by nie było wódki. Sam zadowolił się większą ilością papierosów i opuścił nas.

Przez kwiecień 1944 r. pracowałem w kuźni Bauhofu. Majstrem był inżynier Tadeusz Olkuśnik. Moim obowiązkiem było naciągać stępiące kilofy, młotki murarskie, sporządzać haki i kółka do stajni i szwajnować (czysto polskie słowo) taczki i wykonywać całe mnóstwo innych drobnych przedmiotów. Haki do stajni zamawiał esesman i dostarczał pręty żelazne. Pan Tadeusz Olkuśnik narysował mi na betonowej podłodze w odpowiednich rozmiarach wzór i według niego miałem kuć haki. Na początku musiałem przygotowany hak przymierzyć do rysunku i nieraz powtarzać robotę; kłaść hak w ogień kuźni polowej, rozprostowywać i znowu odpowiednio naginać. Ale po dziesiątkach prób wystarczyło mi na oko przymierzyć i gotowy hak chłodził się na dworze i wraz z innymi czekał na odbiór. Pewnego razu wpadł do kuźni mój pracodawca esesman i przypatrywał się mojej robocie. Blondyn z niebieskimi oczami wyglądał na pocziwego wieśniaka. Jego jowialny uśmiech pozwalał na poufałość. Zapytał mnie o zawód. Odpowiedziałem: „Ich bin der Schmid. Nein! Du bist kein Schmid! Dein Beruf? Po-

wiedziałem panu, że jestem kowalem. Nie! Ty nie jesteś kowalem. Ten człowiek należący do „panów świata” Herrenvolk winienby mnie odpowiednio poczęstować. A przecież czując, że go okłamałem (po raz pierwszy i to, dlatego że byłem taki pocziwy) uśmiechnął się i wyszedł z kuźni.

Z naszej kuźni prowadziły drzwi do stolarni Bauhofu, w której pracowało kilku stolarzy – więźniów obozu. Vorarbeiter – ślązak, ojciec Czyż, i paru innych. Vorarbeiter – przewodnik, wykorzystując chwilę nieobecności esesmanów często gotował „zorganizowane” ziemniaki ze stojących obok wagonów i nierzadko na oczach strażnika. Wtedy ktoś z kuźni lub stolarni czuwał przy drzwiach i wypatrywał przez szparę Niemca. Oto zdarzyło się, że czujka zameldował: „poszedł” i opuścił posterunek. Vorarbeiter począł wyładowywać ziemniaki do podziału dla współwięźniów. Aż tu nagle na progu stolarni stanął esesman. Przez chwilę przyglądał się zajęciu przodownika stolarni i powiedział: jeden organizuje, drugi gotuje, inni nic nie robią. I odszedł.

Zanim dostałem się do kuźni Olkuśnika byłem przez miesiąc kwiecień vorarbeitrem i miałem dziesięciu księży podkomendnych. Sztafłowaliśmy deski. Pewnego razu musiałem sprzątać jakiś barak i udałem się tam z jednym księdzem. Ponieważ nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo, bo ani kapo, ani esesmana nie było widać, oparłem miotłę o ścianę baraku i z moim kolegą gwarzyliśmy sobie wesoło. Wtem zza ściany baraku wychylił się esesman i widząc nas próżnujących zbliżył się do mnie i zapytał: co tu robisz? Jestem vorarbeiter. On: winien był chlusnąć mnie w bezczelną papę, ale wziął miotłę, podał mi ją i powiedział „also arbeiten, arbeiten” i zostawił nas w spokoju. Ale ktoś zauważył. To był już rok 1944. Niemieckie fronty trzeszczały i „panowie świata” rejterowali „planmassig”. To prawda, ale w ciągu czterech lat pobytu w wię-

zieniu i obozach zdołałem między esesmanami zauważyć ludzi. I to samo muszą powiedzieć inni.<sup>51</sup>

***Porzucisz jednego brata a zdobędziesz ich tysiąc  
Nie ma do kogo ust otworzyć***

W Dachau mieszkałem w izbie drugiej bloku 28 (dwudziestego ósmego). Pewnego dnia przed apelem porannym wyszedłem z bloku i skierowałem się ku izbie czwartej, gdzie mieszkali salezjanie wśród mnóstwa innych księży. Jeszcze nie zdążyłem dojść do drzwi, gdy natknąłem się na księdza diecezji częstochowskiej. Wydawało mi się, że płakał, a z ust jego wydarło się słowo: „nie ma do kogo ust otworzyć”. Co ci jest, pytałem. Przez długi czas chodziliśmy w milczeniu oczekując na apel.

W Dachau w 1945 roku zastałem następujących salezjanów: księży Bartoń Władysław, Dębski Walenty, Garecki Stanisław, Kasprzyk Jan, Koniczny Władysław (Kuzak Zygmunt), Padurek Józef, Pływaczyk Stefan, Sebastjański Stanisław, Szymański Władysław, Waloszek Walenty, klerycy: Jacewicz Wiktor, Spinek Wiktor, koadiutorzy Dobiasz Antoni, Malina Władysław.

W niedługi czas po przybyciu do Dachau zainteresowali się mną księża salezjanie i na blok kwarantanny przychodząc przynosili mi nieco zupy, może oddając część swojej porcji. Gdy po kwarantannie znalazłem się w bloku 28, księża każdego dnia aż do mojego odejścia do szpitala obozowego zapraszali mnie na podwieczorek. Po wyjeździe z Oświęcimia do Mauthausen 17 września 1944 roku nie otrzymywałem paczek. Salezjanie dachauwscy wiedząc o tym,

---

<sup>51</sup> ASIK 2226: Ks. Z. Kuzak SDB „Byli wśród nich ludzie” „Ze świecą w biały dzień szukaj porządnego Niemca” mps., s. 1-4.

dzielili ze mną swoje racje otrzymywane jeszcze z Polski. Ks. Stefan Pływaczyk podsuwał mi swoją paczkę na śniadanie, inni po przyjęciu z pracy.

Przypomniałem sobie wtedy: „opuścisz jednego brata znajdziesz w Zgromadzeniu ich tysiące”

Mogłem wtedy i ja zapłakać, ale nad miłością współbraci!”

### ***„Dzięki Wam jestem z Wami!”***

Jeśli chcecie, bym coś napisał dla „Naszej Nostry” napiszę i nie obchodzi mnie wcale, że rumienić się ktoś będzie – przyjechał i nie znać na nim tych przeżyć strasznych o jakich słyszeliśmy. Przetrwał! Pytanie dlaczego przetrwał, skoro tylu innych zginęło. Przetrwał, choć tylu innych znajdowało się w lepszych warunkach. Na to pytanie każdy laik da odpowiedź: łaska Boża, Opatrzność, ks. Bosko, Wspomożycielka... i wydawałoby się, że wprost ktoś wziął za rękę i przeprowadził przez piekło, wyciągnął z toni, wywłócił z pieca krematorium! Nie było tak! A ponieważ Nostra jest dla nas i ma służyć naszej potomności, opowiem jak było. Zgadzam się: Opatrzność, Wspomożycielka, ks. Bosko, ale przez ludzi. I to działanie przez ludzi chciałbym podać wszystkim.

W obozie Brzezinka radość niebywała. Pisarz obozowy zawiadamia więźniów, że władze obozowe pozwalają przyjmować paczki odpowiadające dziennej racji wyżywienia. Formułkę tę każdy musi umieścić w liście pisanym do swoich. Po paru tygodniach w grudniu 1942 roku przychodzi pierwsza paczka. Z nią nadzieja wstąpiła w serce, nadzieja przetrwania. Dziwnym było to uczucie radosnej nadziei. Łączyła się z nim jakaś obawa, czy władze niemieckie pozwolą i nadal otrzymywać paczki żywnościowe, czy to też czynią z racji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia,

jak postąpiły w roku 1940. Jeśli tak, to lepiej wcale! I wydawało się, że obawy były słuszne, bo następne paczki żywnościowe pojawiły się dopiero po Trzech Królach. Nie odbyło się bez trudności. Gest łaski nadzwyczajnej i nieoczekiwanej przez nikogo w obozie usiłowano uczynić jak najmniejszym. Nowe zatem polecenie ograniczyło wielkość paczki do 250 gramów. Przemysłność niemiecka spotkała się przecież z chytryością. Rzecz jasna – otrzymywano paczki żywnościowe 250 g., ale po 10 i 15 naraz. Dopiero w kwietniu 1943 roku dopuszczono paczki bez ograniczenia wielkości i ilości. Można było mieć nadzieję przetrwania, zwłaszcza, że od grudnia 1942r. zabroniono bić.

Co zawdzięczać trzeba paczkom? Kto nie doznał głodu, nie zrozumie ani teraz, co to jest głód... przypominam sobie więzienie Montelupich w Krakowie. Moi towarzysze wiecznie narzekali na głód. Jeden przyznał się, że dostaje bólu w szczękach, drugi odczuwał nieprzyjemne ssanie w piersiach, inny miał ochotę drapać wapno ze ścian i jeść... Jedno ziarnko pęczaku uronione z kotła na progu celi, na tym progu, na którym wczas rano stawiano kubeł kloaczny, więzień podnosił do ust i powiedzeniem "Książę to dar Boży" odparowywał uwagę o niehigieniczności. Kruszynę sera leżącą na posadzce chciwie porywał nie zwracając uwagi na towarzyszy i na godność, jaką piastował na wolności. Z nienawiścią śledził większą kromkę chleba w rękach swego towarzysza. Tworzył wagę i do kruszyny wymierzał racje, by o jeden gram nie otrzymać za mało. Przy steku przekleństw prowadzili boje o chleb i miskę zupy. Obojętny był na wzgardę i okradał innych by głód zaspokoić. Krajał chleb na drobne kosteczki, by żuć dłużej. Śnił! Śnił! Każdej nocy śnił o jedzeniu i młaskał ustami.

Trzymałem się dobrze. Upływały tygodnie i miesiące o 250-300 gramach chleba dziennie i o  $\frac{3}{4}$  litra zupy, w której znajdowałem 2 niecałe łyżki pęczaku lub kaszy, kiedy indziej kilka łyżek kapusty

lub buraków. Dodatki marmolady, sera, pasztetu trzy razy w tygodniu rozdrażniały jedynie niezdolne podtrzymać życie. Zacząłem wreszcie i ja śnić. I cóż to były za sny? Po kuchni oświęcimskiej biegałem od garnka do garnka zły, że wszystkie znajdowałem puste. Siedziałem przy stole w refektarzu, a klerycy ze wszystkich stron nadstawiali półmiski, a księża zachęcali do jedzenia. Zauważyłem, że do duszy zakradać się poczęło pragnienie takich snów. Przynajmniej we śnie najeść się! Wyobraźnia więźnia na jawie poczyniła roić pragnienia. Oto jakiś inny więzień widział siebie wolnym i zaspokajającym głód chlebem, inny ziemniakami, inny kielbasą, inny widział siebie na łóżku w starej prefekturze zakładu oświęcimskiego i miał przed oczyma na szafce nocnej i biurku bochny chleba i słoje z konfiturami i masłem.

Pewnej nocy sen! Ten sam powtarzający się sen! Każdej nocy rozkoszny o jedzeniu sen! Kawał mięsa był niezwykle twardy... obudził mnie silny ból... gryzłem własny język...

Szalejąca bestia głodu ogłuszała, oślepiła, odbierała rozum, setkami gardzieli żądała śmierci na przyłapanego złodzieja chleba, bez litości mordowała złodziei chleba, kazała zapomnieć i zaprzepaścić najszczytniejszą osobistą godność!

Czyście zrozumieli, co to jest głód?

Dlatego niech będzie błogosławiony Bóg, który obudził w ludziach pamięć o głodnych więźniach obozów.

Niech będą błogosławieni ci, którzy zapominając o niebezpieczeństwie spieszyli głodnym z pomocą.

Niech będą błogosławione Siostry Albertynki i Serafitki.

Niech będą błogosławieni Salezjanie Balawajeder, Bączkowski, Grimán, Rokita, Strauch...

Niech będą błogosławione nazwiska pań: Etagens, Kordek, Ratajczak, Brzezińskiej i Stokowskiej...

NIECH KARTY TE NIE ZGINĄ! NIECH NABIORĄ TRWAŁOŚCI PERGAMINU. NIECH SŁOWA TE ZŁOCĄ SIĘ I JAŚNIEJĄ, JAK JAŚNIAŁA I ZŁOCIŁA SIĘ WASZA DOBROĆ!

Kraków – Łosiówka 1948 – Ks. Zygmunt Kuzak<sup>52</sup>

### *Ten ksiądz uratował mi życie*

Pismo inżyniera dr Jerzego Skotnickiego zaskakuje mnie, bo nie rozumiem, jak w dużej mierze przyczyniłem się do uratowania mu życia. Telefonem z Warszawy wczoraj podał pewne szczegóły z pobytu swego na bloku XI szpitala obozowego w Brzezince. Na tym bloku tyfusu plamistego byłem nocnym stróżem przez szereg miesięcy w 1943 roku. Jakimiś usługami zapisałem się we wdzięcznej pamięci inżyniera Skotnickiego, ale jakimi?

Ale gdyby wszyscy z „poczekalni do krematoriów” to znaczy z bloku 7 i bloku 12 w Brzezince chcieli się przypomnieć... Wszędzie tam byłem stróżem nocnym i oddawałem chorym te same usługi. To był obowiązek stróża nocnego „nachtwachtera” – podawać naczynia nocne, na plecach zanosić słabszych do beczki kloacznej i odnosić na prycze, podać herbaty spragnionemu... jeżeli była i tyle razy w ciągu nocy odpalić papierosa, zagotować bulion...

Każda z tych usług na pewno czyniła lżejszym los tych nieszczęśliwych. To był mój obowiązek!

Niektórzy te drobne usługi tak dobrze ocenili jak inżynier Skotnicki. Np. pewien izraelita z Włocławka dr medycyny – nazwiska nie pamiętam – ile razy zauważył mnie na podwórku między

---

<sup>52</sup> ASIK B 2849: Ks. Z. Kuzak, „Porzucisz jednego brata a zdobędziesz ich tysiąc”, mps., s. 1; Tamże, „Dzięki Wam jestem z Wami”, s. 2.

blokami siódmym i ósmym obozu Brzezinka mówił głośno: „ten ksiądz uratował mi życie”. Nie było to dla mnie przyjemne i pewnego razu zapytałem go, w jaki sposób uratowałem mu życie? Odpowiedział gdy ksiądz podawał mi nocnik /jakiś garnek/, a może miskę do zupy/, bo gdybym musiał do ustępu chodzić przez korytarz zavalony trupami, byłbym na pewno zginął.

Albo inżynier Kieszczyński! W Monachium, czy Gross Sachenheim w sanatorium Misji Watykańskiej tak mnie przedstawił swoim znajomym Polakom, czy Niemcom: „Ten ksiądz mnie i mojemu synowi uratował życie”. W jaki sposób, pytałem: „Gdy ksiądz podarował mi 10 marek /w bonach/. Ja począłem nimi operować i to postawiło mnie na nogi”.

Inżynier Kieszczyński nie mógł korespondować ze swoją rodziną i nie mógł wtedy otrzymywać paczek.

Np. 17 września 1944 roku jakiś więzień w Oświęcimiu podczas apelu porannego przypadł mi do rąk i całując dziękował za kromkę chleba, jaką każdego wieczora dawałem mu. On nie miał paczek. Kiedym się bronił – czynił to wobec setek więźniów – „księżę mnie przybyło”... Ale te fragmenty i setki innych są zrozumiałe tylko przez więźniów obozów niemieckich.

Inni mogą wierzyć, lub uśmiechnąć się pobłaźliwie”.

### ***Śp. mgr ks. Stanisław Rokita***

Pogrzeb jego odbył się w Czerwińsku przy udziale czterech biskupów: Bp. Dąbrowskiego, Bp. Przykuckiego, Bp. Sikorskiego, Bp. Wosińskiego i około dwustu salezjanów i okolicznego duchowieństwa, w tym wszyscy inspektorzy salezjańscy.

Ks. Stanisław Rokita pełnił różne obowiązki w naszym Zgromadzeniu: dyrektora, inspektora i delegata naszego generała dla



provincji polskich. Ostatnio przebywał w Czerwińsku nad Wisłą. Rezydent i spowiednik. Znając dobrze język włoski służył w dalszym ciągu naszym prowincjom tłumacząc wiele akt z języka polskiego na włoski np. akta Kapituł Inspekcyjnych itd.

Przed prawie dwoma laty dotknięty został strasznym półpaścem. Piszę strasznym. Ci, którzy byli świadkami jego cierpienia, tak to określali i on sam pisząc mi żalił się, że cierpi straszliwie, zwłaszcza w nocy. Żadne lekarstwa nie pomagały. Czasem chwilową tylko przynoszą ulgę. Ostatnio dołączyło się jeszcze jakieś cierpienie i 26 września pożegnał ten świat. Spoczął na cmentarzu w Czerwińsku w sobotę 29 t.m. 1984 roku.

Na pogrzebie nie byłem. Gdy ks. inspektor wspomniał, że może mnie zabrać, ale że jazda potrwa około sześciu godzin, zrezygnowałem. Nie czułem się na siłach. Różne dolegliwości nie pozwalają mi dzisiaj na jakieś poważniejsze wysiłki.

Ks. Rokita to mój kolega i przyjaciel od pierwszej klasy gimnazjalnej. Asystencja w Oświęcimiu razem, razem studia uniwersyteckie w Krakowie, razem studia teologiczne we Włoszech, pobyt w Oświęcimiu w zakładzie i prowadzenie zaocznego studium teologicznego dla naszych teologów, którym gestapo odmówiło paszportów. I cóż dalej?

W roku 1941 zostałem aresztowany w sierpniu i moje miejsce dyrektora zakładu zajął ks. Rokita.

Że piszę w tej chwili te kilka słów pod jego adresem, to dlatego, że jemu to zawdzięczam. Gdy znalazłem się w obozie oświęcimskim ks. Rokita przysyłał mi paczki żywnościowe i dzięki nim udało mi się przetrwać. Ale gdyby ks. Rokita tylko o mnie pamiętał, może bym o tym nie wspominał. Właśnie, że nie tylko mnie. Jeszcze żyją jego pomocnicy w dziele jego wielkiego miłosierdzia względem obozowiczów salezjańskich i innych. Jeszcze żyje ks. Orszulik i ks. Hofman Alfred, którzy ze szczegółami mo-

gliby opowiedzieć o tej Bożej akcji. Ks. Rokita każdego tygodnia wysyłał do obozów kilka paczek, a w okresie świąt nawet kilkanaście. Nie było rzeczą łatwą i nie było rzeczą bezpieczną takie masy żywności i to nie było jakiej wysyłać do obozów. Wiemy, że w Reichu wszystko było na kartki. W jaki sposób ks. Rokita otrzymywał żywność? Domyślamy się: Nielegalnie. Od naszych przyjaciół. To był sabotaż gospodarki państwowej.

Za jedną paczkę, jaką otrzymałem mógł ks. Rokita znaleźć się w obozie. A przecież takich paczek wysyłał mnóstwo... I trwało to tak długo, jak Niemcy rządili naszą Polską.

Pewnego razu otrzymał ks. Rokita ostrzeżenie z poczty oświęcimskiej, że przez to może podpaść, że wysyła tyle paczek. Wysyłał także z poczty stacji oświęcimskiej.

Ja i chyba wszyscy, którzy jemu zawdzięczają przeżycie obozów koncentracyjnych, na wiadomość o jego śmierci składają mu hołd i podziękowanie.”<sup>53</sup>

### ***Du hast verlebt... A jednak przeżyłeś***

Z takim powiedzeniem spotkałem się w tramwaju w Sztutgardzie dokąd przyjechałem w pewnej sprawie z sanatorium w Hilbronn nad Neckarem. Byłem w tym sanatorium kapelanem. Do tego spotkania doszło tak. Stałem na platformie tramwaju i w pewnym momencie zauważyłem znajomą twarz człowieka. Ale gdzie ja go widziałem? I zwracając się do niego powiedziałem: „Pan był w obozie oświęcimskim”. Na czoło tego człowieka wypłynęła bruzda i posuwała się

---

<sup>53</sup> ASIK B 2849: Ks. Z. Kuzak, „Ten ksiądz uratował mi życie”, mps., s. 1; Tamże, Śp. mgr ks. Stanisław Rokita SDB, mps., s. 1 a i 2 a.

coraz wyżej. Miała miejsca dość. Łysina była obszerna. Ale on odpowiedział: „Ty też byłeś w obozie”. Po chwili: daleko jedziesz? Nie: Wsiadam zaraz.”

Kłamałem. Miałem jechać dalej jeszcze parę przystanków, ale chciałem przerwać napięcie jakie to spotkanie wywołało na nas obydwu i w pasażerach. Był to rok 1947/48. Toczyły się w Niemczech sądy nad zbrodniarzami hitlerowskimi. Człowiekiem tym był kapo w obozie Brzezinka. Według relacji innych więźniów nie spisywał się dobrze. I dlatego przeraził się, gdy go rozpoznałem. Opuściliśmy tramwaj wcześniej, niż nam było to potrzebne i on stojąc ze mną na trotuarze, zauważył: „ty znasz mnie dobrze”. Odparłem: „Owszem znam cię dobrze z dobrej strony”. Mówiłem prawdę, bo w roku 1942 kapo ten był już inny. W tym roku poznałem go w Brzezince.

Właśnie chodzi mi o to „a jednak przeżyłeś”. Bo z tym można się spotkać jeszcze. Już odpowiadałem porównaniem: z jakiej kompanii po bitwie nie wracał ani jeden człowiek, z innej powracało kilku. Dlaczego? Czemu to jeden żołnierz przeszedł cały front w bezustannej walce i ocalał, a obok padali jego koledzy. Ilu takich szczęśliwych może to powiedzieć? I prawda. Podobnie z więźniami obozów: Twierdzi się, że ocalało tylko 10% ogólnej liczby więźniów obozów koncentracyjnych. Czytam to i równocześnie wątpię. Wydaje mi się, że procent tych szczęśliwych za mały; jest większy.

Ale pytanie dlaczego ja przeżyłem? Jednym zdaniem odpowiem: dać nie mogę, Chyba takim: Opatrzność, miałem szczęście, taki los był mi pisany, tak było postanowione, Bóg tak chciał, modlitwy przyjaściół...i tak dalej. Ale obok tego najważniejszego Opatrzność – czy nie było innych czynników zbawiających więźnia w obozach koncentracyjnych? Wspomnę kilka. Gdy przyjechałem do obozu oświęcimskiego w roku 1942 po dziesięciu miesiącach więzienia na Montelupich, nieznan mi więzień z obozu – nieznan, bo był to pierwszy dzień mojego pobytu w tym piekle na ziemi pytał mnie

o numer obozowy i kazał mi go powtórzyć parę razy. Powtarzałem 39884, 39884. Usiłowałem zapamiętać. Kto to był ów więzień. Później dowiedziałem się, że to był organizator Mszy świętych, że znał naszego księdza Kowalskiego...

Później dowiedziałem się, że był to Zdzisław Ulijasz. On odchodząc ode mnie dodał: „my już wiemy”. Co wiedzieli i kto? On na pierwszym miejscu i jego koledzy, którzy interesowali się księżmi. A mógł się dowiedzieć, że przybył do obozu ksiądz, to dzięki temu, że postanowiłem przyznać się do mojego zawodu – księdza wbrew ostrzeżeniu, by tego nie robić, bo księży mordują.

Otóż księży mordują! Gdy zostałem przeznaczony do komanda Buna – dzisiaj Zakłady chemiczne w Oświęcimiu, stanął przede mną niski wzrostem vorarbeiter – przodownik pracy – i zapytał mnie o zawód. Odpowiedziałem: ksiądz. Podniósł na mnie oczy niepewny. Powtórzyłem” bitte schreiben Sie priester”. Ale gdy ja powtórzyłem ksiądz, ktoś z tyłu lekko uderzył mnie w plecy dając ostrzegawczy znak. Ten z zielonym winklem – trójkątem na piersiach – Berufsverbrecher, zapisał moje personalia i kazał mi chodzić obok siebie. Gdy nas na chwilę opuścił towarzysze pracy poczęli biadać nade mną: „to morderca, on księdza zabije, on zabija, zobaczy ksiądz”. To był czerwiec 1942 roku. Pierwszego dnia pracy na BUNA byłem świadkiem, co ten człowiek robił z więźniami. Kołka nie żałował. Mnie nie dotknął. Wracając na stację we Dworach przekonywałem go, że źle robi, że bije, że inni tak samo cierpią jak on, że chwala go jako dobrego vorarbeitera itd. Tak długo jak pracowałem na Buna od następnego dnia kołka nie nosił, nikogo nie bił. Do mnie odnosił się grzecznie, na moje życzenie brał sam konewkę, szedł do studni i przynosił wodę do picia i przy tym uważał, żeby Pfarrer – ksiądz napił się pierwszy, przy obiedzie kazał i każdego dnia podchodzić do termosu po drugą porcję zupy, inni co któryś dzień na zmianę. Jak długo mieszkałem

na bloku dziewiętnastym, odnosił się do mnie dobrze i interesował się moim zdrowiem.

Pewnego dnia, gdy po powrocie z Buna wchodziłem do bloku dziewiętnastego, jakiś więzień biało ubrany – strażak obozowy – podawał mi porcje chleba obłożoną margaryną i marmoladą. Nie chciałem przyjąć twierdząc: „chyba pan się myli, dlaczego.” Więzień odpowiedział: „Nie myślę się. Znam ks. Dyrektora z kościoła salezjańskiego w Oświęcimiu”. Ja go nie znałem. Był to Wojciech Czernek kierowca. Kazał mi każdego dnia podchodzić pod jego blok 15. Miał zawsze przygotowaną miskę gęstej zupy. Niekiedy przygotował żyłkę do golenia. Zupę zjadałem. Nie wiem, czy, mi się udało wykorzystać żyłkę.

Wnet pojawiła się pewna liczba młodych Polaków, którzy o mnie zadbali. Ciekawe w jaki sposób? Czasem ktoś z nich przyniósł mi kawałek chleba, czasem sera, raz jeden jajko, świeżą bieliznę, lepsze ubranie... Ktoś mi obiecał, że mnie zrobią vorarbeiterem, ale nieco później będzie mi lżej. To dzieje się w 1942 roku w Oświęcimiu, który wydawał mi się nie sanatorium, jak nam to mówili starzy więźniowie, ale piekłem na ziemi.

Ale niechże ci się nie wydaje, że na tych dodatkach żywnościowych przytyłem i było mi coraz lepiej. Całkowicie przeciwnie: Chudłem coraz bardziej i doszedłem do wagi 56 kilogramów. Z więzienia na Montelupich z Krakowa przyjechałem z wagą 70 paru kilogramów. W czasie aresztowania w Zakładzie oświęcimskim 30 sierpnia 1941 roku ważyłem 82 kilogramy. W oświęcimskim obozie traciłem wagę nie tylko z powodu głodowych porcji obozowych, bo cóż to znaczy 250 gramów chleba na dobę, trzy ćwierci litra zupy bez wartości – bez tłuszczu bez mięsa, z liści kapusty, czy garścią kaszy, czy jakąś ilością rozgotowanych właściwie niedogotowanych ziemniaków. Cóż za wartość miała rano i wieczorem herbata bez cukru i mleka? Tak wygląda, że chciałem coś ukryć. Ale co? Przypomina

mi się w tej chwili wykrzyknik „jak to, wyście w obozie otrzymywali kiełbasę? Tak; nie tylko kiełbasę, ale i ser i marmoladę...Ale ty nie-mądry pytaj ile??? Każdego dnia jakiś dodatek do chleba wieczorem po apelu wieczornym. Może było dwadzieścia gramów np. margaryny. Kostkę 500 gramową dzielono na dwadzieścia części. Tak było przez parę dni. W innych dniach mniej więcej takiej samej wagi plasterki kiełbasy, czy sera z paroma łyżkami marmolady. Już wiesz, że na apelu wieczornym pewnego dnia obóz oświęcimski usłyszał słowa z ust Fritesca lagerführera, czy jak inni mi to opowiadali z ust rapporführera: „kto z was żyje dłużej niż trzy miesiące jest złodziejem”.

Słuchaj! Ja ci pozwalam zjadać na obiad dwa talerze twojej zupy, na śniadanie 50 gramów chleba do herbaty bez cukru i bez mleka, do obiadu 50 gramów chleba, do herbaty 100 gramów chleba i te dwadzieścia gramów margaryny, czy kiełbasy, czy sera z marmoladą...Próbuj tak przez tydzień...Dodaj do tego, że ja spałem w trójkę przez dwa miesiące. Więc te dodatki miłosierne od kolegów obozowych, miały dla mnie znaczenie psychologiczne. Podnosił mnie na duchu...więc mam przyjaciół, do tego posługa duchowa i sakramentalna po jaką się zgłaszali lub wskazywali blok i łóżko chorego... To dodawało siły do przetrwania. Duchowej siły. Dla niejednego to było wszystkim!

Wyczerpany fizycznie, nazwany muzułmaninem, opuchnięty, niezdatny do roboty wraz z tysiącami innych opuchlaków dostałem się do Brzezinki. A tutaj pod wieczór 24 sierpnia 1924 roku ktoś prętem z gromady naszej odliczył kilkanaście rzędów i te odeszły...jakeśmy się zorientowali ...do komór gazowych. Dlaczego ja i dwaj księża ks. Ćwiklik wikariusz z Grybowa i ks. Brudz profesor seminarium tarnowskiego nie znaleźliśmy się w zasięgu tego pręta? I dalej żyłem. Przyjmował nas do obozu w Brzezince pewien Peter blokowy szpitala obozowego i mnie na karcie meldunkowej dopisał „amen-

tia”... Każdemu coś dopisywał. Zapytał mnie nieco później jeden ze schreiberów (pisarz) czy rozumiem to słowo „amentia” – szaleństwo pomieszanie zmysłów. Ów Peter uchodził za dusiciela księży.

W Brzezince opuchłem jeszcze więcej. Nogi z trudnością mogłem zginać. Na górną pryczę wyciągali mnie inni. Ostrzegano mnie, bym się nie kładł pod pryczami na ziemi. Było tam najwygodniej, ale niebezpiecznie. O godzinie trzeciej rano stubdynści (służba bloku) złożona też z więźniów budzili śpiących drągami.

Z bloku trzynastego, na którym mieszkaliśmy po przyjeździe z obozu oświęcimskiego wywożono do komór gazowych. Właśnie ów ksiądz Ćwiklik przystąpił do mnie i powiedział mi, że musimy z tego bloku uciekać, bo zginiemy. Dzięki niemu dostałem się do kartoflarni i już na drugi dzień wyszedłem do pracy. Gdy wróciłem wieczorem do bloku, pewien żyd powiedział mi „czy wiecie co tu było? Cóż takiego? Tu były ciężarowe wozy i brały ludzi do gazu i pytano o was, ale powiedziano im, że pracujecie i esesman powiedział, no jak pracuje, niech pracuje...”

Powtórzyły mi się rany na stopach i na łydkach i pewnego dnia postanowiłem pójść od szpitala obozowego. Do tego szpitala, którego przełożonym był ów Peter „dusiciel”. Pielęgniarski mój blok Rusków Francuz odradzał mi, ale nie podawał racji. Wbrew temu ostrzeżeniu poszedłem i przyjął mnie z paruset innych chorych doktor Zenkteler – lekarz tego bloku, więzień. Należałem do piątki szczęśliwych, którzy tego dnia rano dostali się do szpitala. Już nie w trojkę jak w Oświęcimiu, już nie w szóstkę w ubraniu, obuwiu w roju wszy i pcheł jak na bloku trzynastym, ale sam mogłem leżeć i spać bez przeszkód. Budzono mnie szturchnięciem podając porcję jedzenia. Na tym bloku Krankenbau – szpitala obozowego przebywałem od września 1942 do końca stycznia 1943 roku. Jako chory, a potem nachtwächter – stróż nocny, albo inaczej Nachtpfleger – pielęgniarz nocny. Cóż miałem do roboty? Podawać chorym

nocniki i wynosić kloakę do dołu poza barakiem. Czy to jakaś dla mnie okoliczność szczęśliwa? O jak szczęśliwa! To przecież zima, a ja pod dachem. Poza barak wychodziłem tylko na chwilę gdy z wiadrem kloaki spieszyłem do dołu.

Z początkiem lutego 1943 roku zostałem przetransportowany na blok siódmy, straszny blok siódmy poczekalnia komór gazowych i w tym bloku pełniłem w dalszym ciągu służbę nocną. To zajęcie stróża nocnego w bloku szpitalnym pełniłem aż do jesieni 1943 roku. To zajęcie przykre było przecież zbawieniem. Zawsze byłem pod dachem. Za dnia nikt się mną nie interesował, bo miałem prawo do wypoczynku po służbie nocnej. Nawet esesmani gdy zauważyli mnie w łóżku, słysząc, że to stróż nocny, dawali spokój.

Wymienione dotychczas okoliczności dość dobrze tłumaczą możliwość przetrwania przeze mnie obozu.

Były jeszcze inne okoliczności, które pozwoliły przetrwać.

Muszę wymienić choroby, które najczęściej więźniów sprowadzały do grobu, powiem poprawnie – do pieców krematoryjnych. Choroby te to tyfus plamisty roznoszony przez wszy, flegmona i biegunka. Dokuczliwy był świerzb, ale nie był śmiertelny. Oglądałem ludzi pokrytych świerzbem od stóp do głów. Nie słyszałem, by ktoś z tego powodu schodził z tego świata. Tyfus pochłaniał najczęściej w pierwszych latach obozu. Chyba mnie żarły te same wszy i tyfusu nie przeżywałem. Wszystko mogło na mnie sprowadzić flegmonę i flegmony nie dostałem. Biegunkę przecierpiałem kilka razy, ale mnie nie zmoęła. Zapalenie opłucnej raz i drugi także mnie nie dobiło.

Oboz oświęcimski otwarto w czerwcu 1940 roku. Do grudnia 1942 roku można było w kantynie obozowej za marki przysłane z domu, a wydawane nam w bonach dwumarkowych, jednomarkowych i pięćdziesięciofenigowych, otrzymać papierosy najgorszego gatunku, kapustę kiszoną, ćwikłę, czasem ślimaki...chleba nigdy,



kielbasy nigdy...Obozy miały cel niszczyć, a nie konserwować życie więźniów.

Gdy fronty niemieckie poczęły trzeszczeć i coraz więcej młodych Niemców maszerowało na front, więźniowie stali się potrzebni do roboty dla wojska. Należało ich podkarmić i dlatego już w grudniu 1942 roku pozwolono nam pisać do domu i prosić o paczki żywnościowe. Pierwsze paczki przysły przed Bożym Narodzeniem. Drugą paczkę otrzymałem po Trzech Królach. Co za radość!!! Nadzieja przetrwania. To nie wszystko! Również wtedy wyszedł zakaz bicia, co równało się zabijaniu. Funkcyjny: blokowy, schreiber, kapo, vorarbeiter, za pobicie więźnia byli degradowani. Rosła w nas pewność, że przetrwamy.

Warunki sanitarne uległy poprawie. W Brzezince przeprowadzono odwzieszenie bloków za pomocą gazu i bloki bardzo często prowadzono do wielkiej sauny na całą noc kąpeli. W paczkach obok jedzenia mogliśmy otrzymywać ubrania i bieliznę, skarpety, szaliki, rękawice. Nie stwierdziłem utraty jednej paczki, jakie otrzymywałem każdego tygodnia.

W tej sytuacji byliśmy pewni przetrwania.

Dziewiętnastego września 1944 roku wraz z setkami warszawiaków z powstania przybyłem do Mauthausen. Esesmani polecili nam iść powoli. W czasie pracy w kamieniołomie kapowie nie zwracali uwagi na to, że braliśmy kamienie małe jak do zabawy, Gdy pewnego dnia esesman nagadał kapom i karał ich za taką robotę polecili nam trzymać kamienie na ramieniu raczej płasko, by robiły wrażenie wielkich. Mnie kapo dawny morderca polecił chodzić pomału, ponieważ „nie wszyscy są tak silni jak ja”. Aby nie zapomnieć: W czasie jazdy z Oświęcimia do Mauthausen esesmani swobodnie rozmawiali z nami. Nie do wiary – pozwolili oglądać swoje karabiny. Przeklinali swojego przełożonego jakiegoś führera.

Blokowy dla mnie okazywał szczególne względy. Mimo ścisku w izbie sypialnej na jednym sienniku sztabdynci układali po czterech – mnie blokowy kazał przygotować siennik osobno i na ostatku pytał, czy nie zechciałbym przyjąć kogoś do siebie, bo już brakowało miejsc.

Do roboty w kamieniołomie poszedłem z ciekawości. Wszyscy więźniowie w Mauthausen czuli się dobrze. Nie spotykali się z szukanami ani ze strony blokowego, ani ze strony sztabdynców.

Po przyjeździe do Dachau dnia 29/30 listopada 1944 nas księży w liczbie 56 esesmani traktowali grzecznie. Sami postarali się o papier polecili nam zastąpić nim powybijane szyby. Na stacjach szli po wodę ze swoimi manierkami i podawali spragnionym. Mnie esesman pozwolił udać się do klozetu – na papierosa. Wieczorem komendant wchodził do przedziałów i żądał papierosów. Niektórzy z nas mając bony zakupili sporą ilość papierosów w kantynie obozowej i mogliśmy esesmanów zadowolić.

W Dachau rozkazem Himmlera byliśmy wszyscy skazani na śmierć. Specjalny oddział esesmanów miał przybyć o godz. ósmej wieczorem.

Amerykanie przybyli o godzinie 17 wieczorem.

Nie zebrałem tu wszystkich okoliczności, które pozwoliły przetrwać obóz. Wiele innych podawałem we wspomnieniach obozowych. Zebrałem niektóre razem, by namacalnie pokazać, że bez uciekania się do nieuczciwości mnie i nie tylko mnie udało się przeżyć to piekło na ziemi.

Bez nieuczciwości! Jak to? Przecież można było udawać robotę, okradać z jedzenia współwięźniów, dla utrzymania pozycji funkcyjnej traktować więźniów brutalnie, co podobało się esesmanom, bo to odpowiadało polityce exterminacyjnej itd.

Czy jednak tylko te okoliczności zewnętrzne umożliwiły przetrwanie obozu? Grek powiedziałby „LOS”, a może „Deus ex machina”

wyraziliby się Rzymianin. Lubimy powtarzać „przypadek”, takie były okoliczności, jak sam przytoczyłem.

A ponad tym wszystkim jeszcze coś. Ponad greckim i rzymskim nasza – „Opatrzność”. „Ilu krewnych, znajomych, przyjaciół modliło się o nasz powrót. Ile umartwień przedkładano Bogu w takiej intencji!? Co ty myślisz? Mnie trudno byłoby przyjąć, że tylko zbieg okoliczności tyle razy ratował mi życie. Tak często stałem na progu śmierci i nagle niebezpieczeństwo mijało.

Posłuchaj! W naszym Zgromadzeniu w Hiszpanii żyje pewien ksiądz różdżkarz, któremu udało się wykryć wodę w setkach miejscowości. Przełożeni nasi w Rzymie zabierając się do budowy znaleźli się w kłopotcie. Studnia już głęboka nie dawała wody. Zwrócili się z prośbą do owego księdza o radę. Kazał sobie przysłać mapę z dokładnym wskazaniem miejsca studni. Przeglądnął mapę zastanowił się i odpisał: „kopac dalej, woda jest, ale kopaczka należy ubezpieczyć, ponieważ będzie taka ilość wody, że może go zatopić”. Kopaczka ubezpieczono i na czas wydobyto i woda jest. NO! Powiadasz – te rzeczy znamy. Nie o to chodzi. Zapytano księdza w jaki sposób on będąc w Hiszpanii może odczuwać wodę w Rzymie. Tłumaczył: tak patrząc na tę mapę otrzymuję tu w Hiszpanii promieniowanie tamtej wody...Co myślisz?

Czy życzeń ludzkich nie można porównać do takiego promieniowania na odległość? Ja przyjmuję i to greckie i rzymskie „DEUS EX MACHINA” ale w wydaniu chrześcijańskim „OPATRZNOŚĆ” i telepatię.<sup>54</sup>

---

<sup>54</sup> ASIK B 2849: Ks. Z. Kuzak, „A jednak przeżyłeś”: dwa więzienia w Bielsku i Krakowie i obozy: Oświęcim, Brzezinka, Mauthausen i Dachau, mps., s. 1-7.

## ROZDZIAŁ IV

### DZIAŁALNOŚĆ DUSZPASTERSKO- -WYCHOWAWCZA W LATACH 1945-1988

#### **1. Kuracja i działalność duszpasterska w sanatoriach w Niemczech w latach 1945-1948**

Ks. Zygmunt Kuzak po szczęśliwym uwolnieniu przez Amerykanów więźniów przebywających w obozie koncentracyjnym w Dachau, które nastąpiło w godzinach popołudniowych 29 kwietnia 1945 roku, jeszcze przez jakiś czas przebywał w szpitalu obozowym, gdzie leczył się i spieszył, jak w Oświęcimiu i Mauthausen, z samarytańską pomocą ciężko chorym uwolnionym więźniom.

Gdy po pewnym czasie Amerykanie zorganizowali obok obozu w blokach poesesmańskich specjalny szpital dla poważnie chorych byłych więźniów, ks. Kuzak razem z resztkami obozowiczów wy-

jechał do Freiman położonego około pięć kilometrów od Monachium, gdzie z kilkuset księżmi – byłymi więźniami oraz bardzo wielu Polakami wysiedleńcami – rozpoczął wolne życie, bo chociaż na razie mieszkał w wielkich koszarach poesesmańskich, to jednak mógł opuszczać miejsce pobytu i poruszać się swobodnie.

W Freimanie ks. Kuzak nie przebywał długo, gdyż z powodu nie wyleczonego w Dachau przez dra Alojzego Czarnakowskiego zapalenia kości, przy dodatkowym podejrzeniu gruźlicy kości, wysłano go do sanatorium Misji Watykańskiej w Gross Sachsenheim Würt odległego o 12 kilometrów od Ludwigsburga. Sanatoriów Misyjnych było pięć:

W Gross Sachsenheim sanatorium mieściło się w zabudowaniach szkoły gospodarstwa domowego, w Birtgheim i Veihingen w budynkach szpitalnych, we Freundental w pałacu jakiegoś magnata, a w Frauenalb w zabudowaniach dawnego klasztoru benedyktynek zniszczonego przez rozzuchwalonych żołnierzy francuskich podczas wojny napoleońskiej. W zorganizowanych sanatoriach przebywali pacjenci różnych narodowości: Estończycy, Litwini, Łotysze, Polacy, Rosjanie, Ukraińcy i Żydzi, tak mężczyźni jak i kobiety, którzy przybyli tu z różnych obozów Dipisów tj. wysiedleńców.

O przebywających w sanatoriach około czterystu pacjentów bardzo troszczyli się lekarze, siostry zakonne francuskie i polskie pielęgniarki świeckie i pracownicy niemieccy mieszkający w pobliskich miejscowościach. Przebywającym w sanatoriach pacjentom powodziło się świetnie. Wyżywienie było dobre i obfite. Lekarze oraz służba zdrowia, bardzo troszczyli się o powierzonych im pacjentów.

W tych cieplarnianych warunkach zdrowsi kuracjusze uczyli się języka polskiego, angielskiego, matematyki, brali też udział w zorganizowanych spotkaniach doszkalających oraz zwiedzali zabytki

ki w pobliskich miastach. W Gross Sachsenheim księża leczyli się i pełnili obowiązki kapelanów. Ks. Zygmunt Kuzak, mimo że sam był poddawany różnym zabiegom medycznym nie tylko przez dwa lata pełnił obowiązki kapelanem w Gross Sachsenheim i przez prawie rok w Heilbronn, ale został mianowany szefem oddziału N. C. W. C. – Narodowa Katolicka Dobroczytna Konferencja.<sup>55</sup>

Patrząc na przeszło trzyletni pobyt ks. Kuzaka w sanatoriach w Niemczech, mimo woli nasuwa się pytanie, czy nie powinien on, jak inni zdrowi kapłani zaraz powrócić do Polski, gdzie z powodu wymordowania w czasie wojny wielu kapłanów odczuwano wielki brak duszpasterzy?

Na to pytanie należy odpowiedzieć krótko: Ks. Zygmunt Kuzak nie tylko powinien, ale musiał przebywać w sanatoriach, by leczyć swoje zrujnowane zdrowie, gdyż sami badający go lekarze dziwili się, że jego organizm, skłonny do chorób, przetrwał i przezwyciężył straszne warunki obozów koncentracyjnych, mimo że dobrze zbudowany, mający 182 centymetry wysokości wycieńczony więzień ważył w obozie zaledwie 54 kilogramy.

Według wywiadu i przeprowadzonego badania lekarskiego w Misji Watykańskiej w Gross Sachsenheim w dniu 27.12.1945 roku, Zygmunt Kuzak, urodzony 16.06.1901 roku, przeszedł cztery razy zapalenie płuc. W szóstym, dziewiątym, dwunastym i czter nastym roku życia. W 17. roku tyfus brzuszny. W 28 roku życia w Rzymie „malarię maltańską”. W 1942 i 1943 roku przechodził zapalenie opłucnej. Z powodu pobicia w obozie cierpiał i cierpi bóle w lewym boku, a podczas przeprowadzanego badania odczu-

---

<sup>55</sup> ASIK B 2849: Ks. Z. Kuzak, Sanatoria 1945-1948, mps., s. 1-3; ASIK B 2849: Ks. Z. Kuzak, „Gdyby Polacy wygrali wojnę...” Kraków, 21.01.1981; mps., s. 1-3;

Ks. Z. Kuzak, „Jak Dante...”, art. cyt., s. 444-446.

wa ból z powodu ropnej przetoki wielkiej około czterech centymetrów znajdującej się w lewym boku poniżej sutka.

Po badaniach przeprowadzonych w Gross Sachsenheim i leczeniu wysłano chorego do sanatorium w Ludwigsburgu, gdzie po przeprowadzeniu w 1946 roku operacji wykryto u niego gruźlicę płuc, z której wyszedł cało dzięki troskliwej opiece lekarskiej.

Ks. Kuzak, przebywający z konieczności w sanatoriach, nie tylko się leczył, ale pełnił obowiązki kapelana dla sióstr francuskich. Gdy siostry francuskie zostały odwołane, na ich miejsce Amerykanie sprowadzili z Berlina wywiezione tam z Żywca polskie siostry szarytki, dla których ks. Zygmunt dalej odprawiał Msze święte. W niedzielę i święta uczestniczyli w nich polscy pacjenci, pielęgniarki i inne osoby.

Ks. Kuzak jako kapelan brał czynny udział w zebraniach kapłanów polskich, którzy pod przewodnictwem ks. dziekana Rabsztyna radzili nad metodami i sposobami duszpasterzowania wśród emigrantów polskich przebywających w Niemczech, którzy gromadzili się bardzo chętnie na odprawianych dla nich specjalnych nabożeństwach polskich, organizowanych w niedziele oraz z okazji Bożego Narodzenia, Wielkanocy, pierwszych piątków miesiąca i nabożeństw majowych, które cieszyły się dość dużą frekwencją.

Mówiąc o nabożeństwach majowych, należy podkreślić, że ks. Dziekan, zauważywszy u ks. Zygmunta Kuzaka napisaną przez niego w 1937 roku broszurkę pt. „Wspomożycielka św. Jana Bosko”, polecił ją wydrukować i w 1947 roku jako czytanki na miesiąc maj rozesłać kapłanom organizującym polskie nabożeństwa majowe na ziemi niemieckiej.

Poprawiający się stan zdrowia ks. Zygmunta pozwolił mu na coraz to większy i aktywniejszy udział w życiu duszpasterskim. W Heilbronn w każdą niedzielę odprawiał dwie msze święte z kazaniami, na które przychodzili do kaplicy: Polacy, Litwini, Ukra-

inicy, Rosjanie oraz niemiecka obsługa sanatorium. Niezależnie od odprawianych nabożeństw w ciągu tygodnia głosił konferencje apologetyczne, odprawiał nabożeństwa wieczorne, odwiedzał chorych, głosił rekolekcje w Weihingen, w Britigheim, w Heilbronn oraz wygłaszał siostronom konferencje i słuchał spowiedzi.<sup>56</sup>

Mimo że księdzu Zygmuntowi w Heilbronn nad Nekarem wszystko bardzo dobrze się układało i pracy duszpasterskiej mu nie brakowało, to jednak przynaglany przez ks. Inspektora Jana Ślósarczyka, by jak najszybciej powrócił do kraju, po zawiadomieniu ks. prałata Lubowieckiego i chwilowym przekazaniu obowiązków kapelana w sanatorium ks. Wolniakowi, pracującemu w parafii polskiej, w połowie czerwca 1943 roku z dużą grupą pacjentów i niewielką grupą dzieci wywiezionych przez okupantów hitlerowskich do Niemiec wyruszył do Polski.

Duży transport kolejowy przybył do Heilbronn nad Nekarem z Włoch, skąd zabierał tymczasowo przebywających Polaków pragnących powrócić do ojczyzny. W nocy z 13 na 14 czerwca 1948 roku ks. Zygmunt Kuzak z grupą wielu jeszcze słabujących Polaków opuścił Heilbronn i przez Frankfurt nad Menem, Brunzswig, Hannover, Hamburg, Wittembergę, Wartburg, Magdeburg przybył do Wrocławia. Pociąg jechał długą okrężną trasą, ponieważ z różnych miast zabierał chorujących Polaków i Polki. W transporcie był nawet jeden wagon przeznaczony dla nerwowo chorych. Dwaj pielęgniarze z Kobierzyna dyżurujący we dnie i w nocy w wagonie chorych, dowiedziawszy się, że ks. Kuzak w obozie w Brzezince i Mauthausen pełnił obowiązki nocnego pielęgniarza,

---

<sup>56</sup> ASIK A 2025/37: Ks. Z. Kuzak, Dokumenty: Wywiad i badanie lekarskie przeprowadzone 27.12.1945 w Mission Vaticane Sanatorium de Gross Sachsenheim: Ks. Z. Kuzak, Sanatoria, cyt., s. 6, 7, 9; Ks. Z. Kuzak, Jak Dante..., art. cyt., s. 422-424.



poprosili go, by ich zastąpił w dyżurowaniu w nocy. Ks. Zygmunt chętnie się na to zgodził, ale szybko przekonał się, że były to o wiele trudniejsze dyżury niż wśród normalnych chorych przebywających w szpitalu obozowym. Podczas kilkudniowego zatrzymania się przybyłych emigrantów w PURZE na Psim Polu we Wrocławiu salezjanie pracujący pod przewodnictwem ks. proboszcza i dyrektora Józefa Nęcka w parafii Najświętszego Serca Jezusowego we Wrocławiu przy Placu Grunwaldzkim 3, zaprosili ks. Kuzaka do siebie i po serdecznym powitaniu, ugoszczeniu, odwieźli do odjeżdżającego transportu, którym razem z innymi pasażerami udał się do Krakowa, gdzie po długiej nieobecności z radością przybył 24 czerwca 1948 roku.<sup>57</sup>

## **2. Działalność duszpastersko-formacyjna w Polsce w latach 1948-1988**

Mówiąc o działalności duszpasterskiej ks. Zygmunta Kuzaka, nie mam zamiaru dokładnie omawiać tego ważnego tematu, gdyż nie jest on bezpośrednio związany z niniejszym opracowaniem, ale pragnę w krótkim zarysie zwrócić uwagę na pewne fakty i wydarzenia, które świadczą o tym, że były więzień, mimo że za życia przeszedł szczęśliwie przez straszne piekło obozów koncentracyjnych, to jednak nie załamał się, ale po wyjściu na wolność prawie czterdzieści lat jako kapłan bardzo gorliwie i ofiarnie pracował dla dobra Kościoła i Zgromadzenia Salezjańskiego, którego był wiernym synem.

---

<sup>57</sup> Ks. Z. Kuzak, *Sanatoria*, cyt., s. 11 i 12; Ks. Z. Kuzak, *Jak Dante za życia przeszedłem przez piekło*, cyt., s. 446; Ks. Z. Kuzak osobiste relacje o pracy w sanatoriach w Niemczech.

Ks. Zygmunt Kuzak późnym wieczorem 24 czerwca 1948 roku, po długiej podróży i przeszło siedmioletniej nieobecności, z małym bagażem w ręku przybył do Salezjańskiego Instytutu Teologiczno-Filozoficznego w Krakowie przy ul. Tynieckiej 39. Przybyłego i oczekiwanego współbrata bardzo serdecznie powitał ks. Inspektor Jan Ślósarczyk, mieszkający na Łosiówce, ks. Stanisław Pływacz, dyrektor Instytutu i inni współbracia, z radością dziękując Bogu za wprost cudowne ocalenie więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

Po miłym i serdecznym powitaniu, ks. Kuzak z polecenia ks. Inspektora Ślósarczyka zamieszkał na Łosiówce i zaraz został mianowany wykładowcą historii Kościoła, patrologii, homiletyki oraz spowiednikiem kleryków, spowiednikiem Sióstr Albertynek i Sióstr Urszulanek w Krakowie.

Mianowany wykładowcą już podczas wakacji zabrał się gorliwie do przygotowania zleconych mu wykładów, których klerycy studiujący teologię z dużą uwagą i zainteresowaniem słuchali, gdyż były solidnie przygotowane i urozmaicone tzw. „głosami”, tj. uwagami praktycznymi ułatwiającymi zrozumienie i zapamiętanie omawianego problemu.

Ks. Kuzak mieszkający na Łosiówce był dobrym wykładowcą oraz mądrym, świątym i roztroptym, wymagającym spowiednikiem kleryków, który nie tylko udzielał rozgrzeszenia, ale swoją osobistą świętością, przykładem życia zakonnego oraz swoimi głębokimi ascetycznymi naukami i wskazaniemi zachęcał swoich penitentów do ustawicznego, permanentnego, trudnego wspina się na wyżyny świętości. Autor tego opracowania, który sam po przyjeździe 22 sierpnia 1949 roku do Krakowa na pierwszy kurs filozofii korzystał z sakramentalnej posługi ks. Kuzaka, nie musi wiele mówić o skuteczności tego kierownictwa duchowego, gdy świadczą o tym fakty:

Ks. Zygmunt Kuzak miał szczęście być spowiednikiem aż sześciu błogosławionych, których prowadził i zachęcał do wspinania się do doskonałości i heroicznej świętości. W Poznaniu, w latach 1930-1933 w Salezjańskim Oratorium przy ul. Wronieckiej 9, był spowiednikiem błogosławionych oratorianów: Czesława Józwiaka, Edwarda Kaźmierskiego, Franciszka Kęsego, Edwarda Klinika i Jarogniewa Wojciechowskiego, zgilotynowanych 24 sierpnia 1942 roku w Dreźnie; w latach 1934-1938 w Salezjańskim Instytucie Teologicznym w Krakowie był spowiednikiem bł. Józefa Kowalskiego, zamordowanego w okrutny sposób 4 sierpnia 1942 roku w obozie w Oświęcimiu, którego Ojciec Św. Jan Paweł II razem ze wspomnianymi oratorianami z Poznania i innymi męczennikami, ogłosił 13 czerwca 1999 roku w Warszawie błogosławionym męczennikiem Kościoła Katolickiego.

Niezależnie od pracy dydaktyczno-formacyjnej wobec kleryków i sióstr zakonnych, ks. Kuzak bardzo chętnie głosił kazania w obecnym kościele znajdującym się przy seminarium, w parafii św. Stanisława Kostki na Dębnikach w Krakowie oraz wygłaszał konferencje dla kleryków i sióstr oraz spieszył z pomocą duszpasterską wszędzie, gdzie tego zaszła potrzeba.<sup>58</sup>

Ks. inspektor Jan Ślósarczyk, obserwując gorliwość i zapał rwącego się do pracy duszpasterskiej ks. Zygmunta Kuzaka, po przeprowadzonej z nim rozmowie, mianował go w sierpniu 1950 roku

---

<sup>58</sup> Ks. Z. Kuzak, *Jak Dante...*, art., cyt., s. 446; *Elenco Generale della Societ , cyt.* 1948, vol. I, s. 232, 235; Ks. Z. Kuzak, *Kartoteka osobista, cyt.*, s. 2; *Kronika Salezjańskiego Instytutu Teologicznego w Krakowie ul. Tyniecka 39 od 1.01.1949-10.04.1950, 22.08.1949*; J. Krawiec, *Błogosławieni Świadkowie Chrystusa, cyt.*, s. 33, 40; *Tenże, Cierpieć i być wzgardzonym, cyt.*, s. 64, 88; *Osobiste wspomnienia piszącego i obserwującego działalność ks. Z. Kuzaka na Łosiówce w 1949/50.*

dyrektorem wspólnoty salezjańskiej w Przemyślu, a ks. Biskup przemyski Franciszek Barda mianował go administratorem powierzonej salezjanom w Przemyślu parafii św. Józefa.

Do spełnienia obowiązków przełożonego domu i duszpasterza parafii ks. Zygmunt był dobrze przygotowany, gdyż prowadził głębokie życie wewnętrzne, posiadał odpowiednie przygotowanie intelektualne, gorliwość duszpasterską, jako wykładowca homiletyki miał dobrą dykcję oraz inne przymioty zewnętrzne, które ułatwiały mu kontakt i nawiązanie współpracy z wiernymi.

W pracy nowy duszpasterz zwrócił szczególną uwagę na ożywienie życia religijnego i sakramentalnego we wspólnocie parafialnej. Mając do pomocy odpowiednią liczbę kapłanów, a głównie znanego i cenionego spowiednika w Przemyślu ks. Franciszka Niemczyka, pragnął, jak kiedyś świątynia salezjańska w Oświęcimiu była „konfesjonalem” dla miasta i okolicy, tak również kościół parafialny św. Józefa w Przemyślu na Zasaniu był takim konfesjonalem, w którym wierni podczas wszystkich nabożeństw mogliby się w każdej chwili spokojnie wyświadczyć.

Ks. proboszcz pracujący gorliwie w parafii, mianowany również przez ks. biskupa ordynariusza spowiednikiem zwyczajnym alumnów seminarium w Przemyślu oraz spowiednikiem sióstr benedyktynek, albertynek, felicjanek i opatrznościarek, sam długie godziny siedział w konfesjonale i polecał innym kapłanom, by w wyznaczonych godzinach pilnowali swego dyżuru.

Dobrze obstawione konfesjonały sprawiły, że wierni nawet z miasta i okolicy licznie przybywali do kościoła salezjańskiego, by się wyświadczyć oraz uczestniczyć w uroczystościach odprawianych nabożeństwach, podczas których ks. Kuzak – piszący homilie do „Współczesnej Ambony” – głosił interesujące i dobrze przygotowane kazania oraz jako homileta domagał się tego samego od innych kapłanów, których za dobrze przygotowane i wygłoszone ka-

zania lubił chwalić, a w razie potrzeby zwrócić uwagę na różne uchybienia i błędy – za co niektórzy młodzi kapłani mieli do proboszcza nieuzasadniony żal.

Mimo że praca duszpasterska w parafii św. Józefa w Przemyślu pięknie się rozwijała, i ks. proboszcz przygotowywał się do odnowy i malowania kościoła, to jednak po sześćoletniej kadencji, zgodnie z Ustawami i Regulaminami Towarzystwa św. Franciszka Salezego został w 1957 roku zwolniony z obowiązków dyrektora i proboszcza w Przemyślu i po ks. dyrektorze Adamie Cieślarze mianowany po raz drugi dyrektorem zakładu Salezjańskiego w Oświęcimiu przy ul. Jagiełły 10 oraz proboszczem parafii MBW Wiernych w Oświęcimiu.<sup>59</sup>

Dlaczego ks. Zygmunta Kuzaka, którego następcą w Przemyślu został ks. Adam Cieślak, po raz drugi mianowano dyrektorem Zakładu Salezjańskiego w Oświęcimiu?

Przyczyn było wiele, ale najważniejszą z nich był fakt, że erygowanej 24 listopada 1952 roku przez ks. Arcybiskupa Eugeniusza Baziaka parafii MBW Wiernych w Oświęcimiu, liczącej przeszło trzy tysiące wiernych, administratorem – proboszczem został mianowany ks. Józef Ożóg, a jego wikariuszem ks. Julian Ciesek, którzy z pomocą księży pracujących w zakładzie i szkole salezjańskiej mieli się bezpośrednio troszczyć o duszpasterstwo w parafii.

---

<sup>59</sup> Elenco Generale della Società, cyt., 1951, vol. I, s. 262; Ks. Z. Kuzak, Kartoteka osobista, cyt., s. 2; Ks. A. Śmigielski, Kazania z okazji pogrzebu ks. Z. Kuzaka, Kraków-Dębniaki 1988.03.22., w: Biuletyn salezjański „Nostra” maj (1988), Śp. Zygmunt Kuzak, s. 55-60; Słódko wygłoszone w 1988 roku w Krakowie do współbraci przez ks. Z. Kuzaka o swoim duszpasterstwie w Przemyślu; Ustawy i Regul., cyt., art. 109. Ks. Kuzak Zygmunt, w: 75 lat działalności Salezjanów w Polsce – Księga Pamiątkowa. Łódź-Kraków 1974, s. 309.

Niestety, to nagle niespodziewane uniezależnienie się parafii od zakładu, który z powodu braku księży w okolicznych parafiach spieszył im z pomocą duszpasterską, głównie w niedziele i święta, spowodowało określone trudności. Ks. dyrektor Cieślar, mimo najlepszej chęci, nie był w stanie w niedziele adwentu, wielkiego postu i w inne uroczystości obsadzić od godz. 6.00 rano aż do godz. 14.00 wszystkich Mszy świętych oraz dziesięciu konfesjonałów, przed którymi stały długie kolejki mieszkańców parafii, miasta Oświęcimia, okolicznych wiosek, a nawet wiernych ze Śląska.

Obserwując te trudności ks. inspektor Ślósarczyk, ks. dyrektor Adam Cieślar, a nawet ks. proboszcz Józef Ożóg doszli do wniosku, że będzie dobrą i pożyteczną rzeczą, by przy powiększonej liczbie personelu pracującego w szkole i duszpasterstwie, przez jakiś czas obowiązki dyrektora zakładu oraz proboszcza pełnił jeden przełożony, który musi więcej angażować kapłanów pracujących w szkole do pracy duszpasterskiej w niedziele i różne uroczystości w powierzonej salezjanom parafii, pamiętając również o pomocy duszpasterskiej sąsiednim proboszczom. Za takiego przełożonego, który mógłby to zrealizować, uznano ks. Zygmunta Kuzaka, który podczas okupacji jako dyrektor zakładu nie tylko zorganizował w nim tajne nauczanie teologii zgromadzonych w nim kleryków salezjańskich, ale razem z innymi kapłanami, mimo różnych piętrzących się trudności, z narażeniem własnego życia organizował pracę duszpasterską w otwartej salezjańskiej świątyni MBW Wiernych w Oświęcimiu.

Ks. Zygmunt Kuzak, po objęciu w 1957 roku urzędowania, troszcząc się jako dyrektor o kierowanie zakładem, który miał swoje problemy i trudności, a jako proboszcz o duszpasterstwo w parafii, dojeżdżając do Krakowa z wykładami homiletyki oraz będąc spowiednikiem nadzwyczajnym sióstr urszulanek w Krakowie, sióstr boromeuszek w Mysłowicach i sióstr elżbietanek w Tychach,

przekonał się, że te obowiązki przerastają siły jednego kapłana. Biorąc to pod uwagę, po trzech latach pracy, podczas której starał się w miarę możliwości jak najbardziej zaangażować wszystkich kapłanów do pracy duszpasterskiej w powierzonej parafii i w sąsiednich parafiach, proszących o pomoc duszpasterską, szczególnie w słuchaniu spowiedzi, poprosił ks. inspektora Józefa Nęcka o zwolnienie z obowiązków dyrektora zakładu w Oświęcimiu oraz proboszcza parafii MBW Wiernych, podsuwając ks. inspektorowi myśl, by na jego miejsce mianować niezależnie od dyrektora zakładu innego kapłana proboszczem parafii.

Ks. inspektor Nęcek, uważając uwagę za słuszną i pożyteczną, po zwolnieniu ks. Kuzaka w 1960 roku, mianował na jego miejsce dyrektorem zakładu ks. Leopolda Kasperlika, a proboszczem parafii został mianowany przez ks. biskupa ks. Franciszek Socha, który zajął się wyłącznie sprawami parafii oraz z pomocą ks. dyrektora i innych współpracowników sprawami duszpasterskimi. W tym też czasie, wykorzystując stolarnię zakładową, podjęto dzieło budowy nowego majestatycznego głównego ołtarza w świątyni MBW Wiernych.<sup>60</sup>

---

<sup>60</sup> Elenko Towarzystwa św. Franciszka Salezego w Polsce 1958/59 – do użytku wewnętrznego – s. 20 i 22; Elenko Tow. św. Franciszka Salezego Prowincji św. Jacka 1961/62; Ks. Z. Kuzak kartoteka osobista, cyt., z 1957-1960, s. 2; Dekret erekcyjny Parafii MBW Wiernych w Oświęcimiu z dnia 24 XI 1952 roku L 9625/52; Dekret ks. arcybiskupa Eugeniusza Baziaka z 12 sierpnia 1958 roku, mianujący ks. Z. Kuzaka wikariuszem ekonomem Parafii M B W Wiernych w Oświęcimiu;

Ks. Ludwik Kaliński, Rodzina Salezjańska w Polsce, Warszawa Wydawnictwo Salezjańskie, 1988, s. 80; Relacja ustna byłego ks. inspektora Józefa Nęcka.

Po zwolnieniu z obowiązków dyrektora i proboszcza ks. Zygmunt Kuzak został w 1960 roku mianowany na miejsce ks. Alojzego Łądwicka dyrektorem i proboszczem wspólnoty salezjańskiej w parafii św. Michała Archanioła we Wrocławiu.

Niezależnie od obowiązków dyrektora i proboszcza prowadził wykłady homiletyki w Diecezjalnym Seminarium we Wrocławiu oraz w Salezjańskim Instytucie Teologicznym w Krakowie. Oprócz tego był spowiednikiem alumnów Seminarium Duchownego we Wrocławiu, spowiednikiem sióstr urszulanek, elżbietanek i salezjanek.

W 1966 roku obowiązki ks. Kuzaka we Wrocławiu nieco się zmniejszyły, gdyż dyrektorem wspólnoty salezjańskiej pracującej w parafii św. Michała we Wrocławiu został mianowany ks. Henryk Piegłowski, a ks. Kuzak jako proboszcz z pomocą innych kapłanów zajął się wyłącznie sprawami duszpasterskimi związanymi z administracją parafii.

Ks. Zygmunt Kuzak pełniący gorliwie obowiązki dyrektora we Wrocławiu przez 6 lat, a proboszcza przez lat 10, pod koniec swego urzędowania we Wrocławiu, z powodu szwankującego, mocno zniszczonego w obozach koncentracyjnych zdrowia, prosił ks. inspektora Józefa Króla o zwolnienie go z obowiązków proboszcza dużej parafii we Wrocławiu i powierzenie mu w zgromadzeniu salezjańskim mniej odpowiedzialnych zajęć.

Ks. inspektor Król biorąc pod uwagę uzasadnioną prośbę, wniósł 30 maja 1970 roku pismo do Kurii Metropolitalnej we Wrocławiu, prosząc o udzielenie pracującemu w parafii św. Michała we Wrocławiu ks. proboszczowi Zygmunutowi Kuzakowi bezterminowego urlopu oraz mianowanie na jego miejsce wikariuszem, substytutem ks. Władysława Nowaka, dotychczasowego administratora parafii pod wezwaniem MBW Wiernych w Twardogórze. Po pozytywnym załatwieniu wyżej wspomnianej sprawy, ks. inspektor



Król, pismem z dnia 24 czerwca 1970 roku, powiadomił ks. Kuzaka, że zebrana w dniach 22 i 23 czerwca 1970 roku Rada inspektorialna uwzględniając jego prośbę oraz potrzeby inspektorii proponuje, by ks. proboszcz po zwolnieniu z obowiązków administratora parafii we Wrocławiu zajął się pracą w Archiwum w Inspektorii św. Jacka oraz podjął się obowiązku kierownika duchowego-spoowiednika w Instytucie Teologicznym w Krakowie na Łosiówce i opracowania biograficznego salezjanów, którzy zginęli w obozach koncentracyjnych podczas drugiej wojny światowej. Gdy chodzi o zamieszkanie, to chociaż pozostawiono ks. Kuzakowi pewną swobodę wyboru z możliwością zamieszkania w Krakowie przy ul. Konfederackiej 6 i dochodzenie z posługą duszpasterską na Łosiówkę lub zamieszkanie na Łosiówce, skąd może dochodzić do pracy w Archiwum na ul. Konfederackiej 6, a nawet możliwość zamieszkania w nowej plebanii u ks. Marchaja Stanisława w Pychowicach, to jednak Rada Inspektorialna, biorąc pod uwagę duży autorytet wychowawczy ks. Kuzaka, podtrzymanie i przekazanie tradycji salezjańskich kształcącym się na Łosiówce klerikom jest zdania, by ks. profesor zamieszkał raczej w seminarium wśród młodych kształcących się współbraci.<sup>61</sup>

Ks. Zygmunt, po otrzymaniu zwolnienia z obowiązków proboszcza i pożegnaniu się ze współbraćmi oraz wiernymi parafii św. Michała we Wrocławiu, opuścił Wrocław i dnia 17 sierpnia 1970

---

<sup>61</sup> Ks. Z. Kuzak, Kartoteka osobista, cyt., z 1960-1970, s. 2; Elenko Towarzystwa św. Franciszka Salezego Inspektorii św. Jacka 1961/62, s. 14; Spis Towarzystwa św. Franciszka Salezego Inspektorii św. Jacka 1966/67, Kraków, s. 20; ASIK A 2025/37: Zygmunt Kuzak Dokumenty: Pismo ks. inspektora J. Króla z dnia 30.05.1970 roku do ks. proboszcza Z. Kuzaka oraz pismo ks. inspektora J. Króla do ks. Kuzaka z dnia 24.06.1970 roku.

roku przybył do Krakowa, gdzie zgodnie z życzeniem przełożonych zamieszkał w Salezjańskim Seminarium Duchownym przy ul. Tynieckiej 39, w którym wykładał homiletykę, pełnił obowiązki spowiednika oraz pomagał w pracy duszpasterskiej w zewnętrznej kaplicy – kościele przyseminaryjnym.

Niezależnie od wspomnianych zajęć, pełnił obowiązki archiwisty Inspektorii św. Jacka w Krakowie oraz na prośbę siostr i zgodą biskupa był spowiednikiem siostr albertynek mieszkających na Prądniku w Krakowie, Rzęsce oraz siostr norbertanek, do których gościł również konferencje ascetyczne.

Ks. Kuzak dochodzący każdego dnia po śniadaniu pieszo błotnistą drogą po wale Wisły do pracy w archiwum przy ul. Konfederackiej 6, nie mieszkał długo w seminarium, gdyż następca ks. Józefa Króla, ks. inspektor Augustyn Dziędziel polecił ks. Kuzakowi opuścić seminarium, i od dnia 7 stycznia 1971 roku zamieszkać w inspektoracie znajdującym się przy ul. Konfederackiej 6 i zająć się bezpośrednio z ks. Józefem Długołęckim organizacją Archiwum Inspektorii. Mówię „organizacją”, gdyż dotąd właściwie były zgromadzone i przechowywane w Inspektoracie różne dokumenty, ale nie było zorganizowanego archiwum, gdyż podczas okupacji hitlerowskiej z powodu przeprowadzanych rewizji oraz z obawy przed zniszczeniem przez okupantów różnych dokumentów przechowywano je w ukryciu w koszach, paczkach i luźno w suterenach pod kuchnią, w wieży nad kościołem oraz na niskim poddaszu znajdującym się nad zakrystią i w innych skrytkach. Piszący te słowa, jeszcze w latach 1959-1964 z okazji pisania pracy doktorskiej na KULu o Zgromadzeniu Salezjańskim, z wielką trudnością, a często przypadkowo docierał do różnych źródłowych dokumentów mówiących o różnych wydarzeniach w Zgromadzeniu Salezjańskim w Polsce.

Ks. inspektor Król, widząc tę nienormalność, polecił w 1966 roku ks. Józefowi Długołęckiemu po zwolnieniu go z obowiązków proboszcza w Pogrzebieniu i zamieszkaniu w Krakowie, ukończyć na KULu kurs bibliotekarza oraz archiwisty i zająć się organizowaniem Archiwum Inspektorii św. Jacka w Krakowie.

Zgodnie z poleceniem, ks. Długołęcki, otrzymawszy potrzebne fundusze zakupił do archiwum potrzebne żelazne regały i początkowo z niektórymi klerykami, a od 1970 roku z nowym archiwistą, ks. Zygmuntem Kuzakiem, zaczęli gromadzić znajdujące się w różnych pomieszczeniach dokumenty w jednym miejscu tj. w dużych pomieszczeniach w kopule wieży kościelnej. Mimo że do zorganizowanego archiwum w kopule wieży kościelnej było trudne i niewygodne dojście, to jednak z konieczności, z powodu braku innego lokalu trzeba tam było zorganizować tymczasowe archiwum.

Tej trudnej, ale jakże ważnej dla historii Zgromadzenia Salezjańskiego w Polsce pracy, podjął się z wykształcenia historyk ks. Zygmunt Kuzak, który mimo podeszłego wieku z heroicznym poświęceniem i ofiarnością oddał się pracy archiwalnej sortując i katalogując według tematów zgromadzone różne dokumenty, ściągając z niektórych domów cenne akta mówiące o historii i działalności salezjanów w Polsce oraz udostępniając klerykom i innym osobom piszącym prace magisterskie i doktorskie potrzebne materiały źródłowe, na podstawie których również ks. Kuzak opracował referat pt. „Początki Towarzystwa Salezjańskiego w Polsce”, który wygłosił między innymi do salezjanów zgromadzonych w Oświęcimiu z okazji 75. rocznicy działalności salezjanów w Oświęcimiu.

Niestety, częściowo uporządkowane i skatalogowane archiwum nie mieściło się długo w wieży, gdyż przedstawiciele straży pożarnej podczas kontroli zabudowań i bezpieczeństwa przeciwpożarowego zażądali usunięcia zgromadzonych łatwopalnych materiałów z kopuły wieży, która z powodu konstrukcji żelbetowej w razie po-

żaru pod wpływem wysokiej temperatury może się cała zawalić i zniszczyć nie tylko kościół, ale część zabudowań mieszkalnych domu.

Na szczęście w tej trudnej sytuacji udało się dokumenty znajdujące się w wieży archiwum przenieść do niektórych ciasnych ale bezpiecznych pomieszczeń wybudowanego Inspektoratu, który poświęcono i oddano do użytku inspektorii i salezjańskiej Poligrafii 8 grudnia 1985 roku. Przeniesieniem archiwum po śmierci ks. Zygmunta Kuzaka zajął się już nowy kierownik Archiwum ks. Michał Szafarski, który w 2006 roku pod przewodnictwem mianowanego w 2003 roku nowego kierownika Archiwum ks. Kazimierza Szczerby, razem z ks. Arturem Świeżym i ks. Waldemarem Żurkiem zatroszczyli się o dalszy rozwój i organizację Archiwum inspektorii św. Jacka znajdującego się przy ul. Bałuckiego 8 w Krakowie.<sup>62</sup>

---

<sup>62</sup> ASIK B 2849: Ks. Z. Kuzak SDB, Kraków Konfederacka 6, 1970-1984, s. 1-4; Ks. Z. Kuzak, 75-lecie Zgromadzenia Salezjańskiego w Polsce, 1974. Referat liczy 7 stron. Elenko Towarzystwa św. Franciszka Salezego Inspektorii Polskie, 2000-2001, Warszawa 2000, s. 13; Elenko Towarzystwo Salezjańskie i Córki Maryi Wspomożycielki 2005-2006, Warszawa 2005, s.19; Ks. Marek Chrzan, Ks. Józef Długołęcki, List pośmiertny wysłany do współbraci z okazji śmierci ks. J. Długołęckiego, która nastąpiła 10 czerwca 2004 roku; Ks. J. Krawiec, Powstanie Towarzystwa Sal., cyt., s. 314; Tenże: Działalność duszpastersko-wychowawcza Salezjanów w Pogrzebieniu w latach 1930-2005, w: Dzieje Salezjanów na ziemi raciborskiej, Pogrzebień 2006, s. 90; Osobiste wspomnienia piszącego pełniącego obowiązki dyrektora wspólnoty zakonnej i proboszcza Parafii św. Stanisława Kostki na Dębnikach w Krakowie w latach 1982-1988.

Ks. Zygmunt Kuzak, po uroczyscie celebrowanym w 1980 roku jubileuszu 50-lecia kapłaństwa, który na zaproszenie kapłanów i sióstr zakonnych uroczyscie odprawił aż w 17 kościołach i kaplicach sióstr zakonnych, oraz przebytej w 1978 roku operacji z powodu kamieni w przewodach moczowych, mimo że powoli zaczął podupadać na zdrowiu, to jednak dalej bardzo gorliwie pracował. Nieraz z powodu różnych dolegliwości i zawrotów głowy, nie mogąc iść pewnie po niewygodnych i stromych schodach prowadzących do Archiwum, prosił współbraci, by go podprowadzili do wieży, gdzie dalej gorliwie pracował, powtarzając często: „Gdy mnie nie zauważycie w jadalni na obiedzie lub kolacji, to szukajcie mnie w konfesjonale lub w Archiwum, gdzie mogę zaniemóc.”

Dzięki Bogu, za mojego pobytu w Krakowie w parafii w latach 1982-1988 roku to się nie zdarzyło, mimo że ks. Senior coraz bardziej opadał na siłach.

Niezależnie od pracy w archiwum, ks. Kuzak jak za młodych lat rwał się do pracy i pomocy duszpasterskiej. Każdego dnia rano lub wieczorem odprawiał dla wiernych jedną z Mszy świętych, którą ubogacał i urozmaicał krótkim, zwięzłym i bardzo dobrze przygotowanym wprowadzeniem liturgicznym. Rano od godz. 6.00 podczas odprawianych Mszy świętych oraz wieczorem podczas wszystkich nabożeństw zawsze siedział w swoim konfesjonale, przed którym czekali na spowiedź u niego parafianie i stali penitenci lub penitentki pochodzący z Pychowic, Kostrza i innych parafii sąsiednich, których był nie tylko spowiednikiem ale bardzo cenionym kierownikiem duchowym.<sup>63</sup>

---

<sup>63</sup> ASIK A2025/37: Ks. Z. Kuzak Dokumenty, List ks. inspektora Mieczysława Kaczmarzyka z 30.11.1978 roku do Zofii Kuzak, szwagierki ks. Zygmunta Kuzaka; ASIK B 2849: Te. Ks. Zygmunta Kuzak SDB,

Dnia 14 marca 1988 roku, w godzinach popołudniowych, ks. Kuzak korzystając z wewnętrznego telefonu domowego, zadzwonił do mnie z pokoju, prosząc, by na chwilę wpaść do niego. To zaproszenie trochę mnie zaskoczyło i zdziwiło, bo ks. Seniora często odwiedzałem, a on, znając moje zainteresowanie historią Zgromadzenia Salezjańskiego w Polsce, bardzo często opowiadał mi różne wydarzenia z życia salezjańskiego, a przede wszystkim swoje osobiste przeżycia obozowe. Niektóre fakty powtarzał wielokrotnie, mówiąc: „Proszę ks. dyrektora, ja wiem, że o tym już kiedyś księdzu wspominałem, ale opowiadam to jeszcze dlatego, by ksiądz to dobrze zapamiętał i te wydarzenia, których nie opisałem, i już nie opiszę, kiedyś przekazał młodszym współpracownikom, którzy tych faktów nie znają.”

Kiedy wszedłem do pokoju, ks. Zygmunt, siedząc przy biurku, poprosił mnie bym usiadł i patrząc na mnie, swoim stylem, poważnie powiedział: „Proszę księdza, ks. Kuzak już dzisiaj nie siedział w konfesjonale, ani rano nie odprawił Mszy świętej, co świadczy o tym, że chociaż go nic nie boli, to jednak powoli gaśnie i chyba wkrótce odprowadzicie mnie do salezjańskiego grobowca na cmentarzu Rakowickim”. Po tych słowach powiedziałem:

– Proszę księdza Profesora, to kiedyś nastąpi, ale na pewno ksiądz jeszcze niejednego z nas młodszych przeżyje.

– Tak! To prawda, że przeżyłem swoich wychowawców, kolegów, a nawet wielu uczniów, ale obecnie już chyba nikogo nie przeżyję, gdyż bardzo szybko zbliża się czas mego odejścia do krainy umarłych, skąd nikt nie powraca, ale i wy kiedyś tam do mnie dołączycie.

---

50-lecie kapłaństwa; Ks. Adam Śmigieński, Kazanie z okazji pogrzebu ks. Zygmunta Kuzaka, cyt., s. 60-61; własne wspomnienia piszącego.

To mówiąc, otworzył szufladę swojego biurka, w którym było wszystko bardzo wzorowo poukładane i wskazując na zeszyty powiedział:

– Tu są adresy różnych osób, które w razie mojej śmierci należy powiadomić.

Po tym oświadczeniu wskazał mi piękny duży różaniec mówiąc:

– Proszę księdza, to jest różaniec, który ofiarowała mi moja matka, na którym się zawsze modliłem i z modlitwy różańcowej nawet w obozach koncentracyjnych czerpałem siłę i moc przetrwania gehenny i piekła obozowego... Bardzo proszę, by ten pamiątkowy różaniec rodzinny przekazała mojej bratanicy, by ona tak jak ja i moja matka dalej się na nim modliła i kiedyś przekazała go swoim krewnym.

Po tych słowach ks. Kuzak zamknął szufladę. Następnie wstał, i udał się do szafy, po otwarciu której pokazując znajdujące się w niej rzeczy powiedział:

– Proszę niepotrzebne i stare rzeczy wyrzucić i spalić bez ich przeszukiwania, gdyż oprócz kilkunastu złotych znajdujących się w portmonetce, nigdzie żadnych pieniędzy nie posiadam, gdyż tak jak zawsze również obecnie całą otrzymywaną emeryturę – nawet jej nie oglądając – oddawałem przełożonym na potrzeby inspektorii.

Po zamknięciu szafy usiadł spokojnie przy biurku mówiąc:

– Teraz ostatnią moją prośbę kieruję do ks. dyrektora prosząc, by po mojej śmierci nie pisał o mnie tradycyjnego listu pośmiertnego. Nie znaczy to, byście o mnie zapomnieli, przeciwnie, proszę ks. dyrektora, by ksiądz lub ktoś inny, po odnalezieniu pliku moich wspomnień – kilkanaście krótkich maszynopisów mówiących o moim życiu, a przede wszystkim o strasznych przeżyciach obozowych – które ktoś z archiwum wypożyczył, lub gdzieś chwi-

lowo wśród różnych dokumentów w archiwum się zawieruszyły, po ich odnalezieniu je przepisał i opracował, by jak w jednym ze wspomnień pt.: „Porzucisz jednego brata a zdobędziesz ich tysiące” napisałem:

„NIECH KARTY TE NIE ZGINĄ! NIECH NABIORĄ TRWAŁOŚCI PERGAMINU!

NIECH SŁOWA TE ZŁOCĄ SIĘ I JAŚNIEJĄ, JAK JAŚNIAŁA I ZŁOCIŁA SIĘ WASZA DOBROĆ”.

Na nieoczekiwaną i zaskakującą mnie prośbę odpowiedziałem krótko:

– Księżę Profesorze! Jeszcze z księdzem rozpoczniemy poszukiwać chwilowo zawieruszonego pliku maszynopisów, by je jako cenne dokumenty historyczne przepisać i troskliwie je przechowywać.

Po zakończonych odwiedzinach, zadzwoniłem wieczorem do przyjaciela ks. Kuzaka parafianina, pana dra Mariana Antosiewicza, który od wielu lat troskliwie opiekował się zdrowiem ks. Zygmunta Kuzaka. Pan doktor, po zbadaniu pacjenta stwierdził, że chociaż ks. Kuzak czuje się dobrze, ma apetyt, nie ma gorączki, ani nadciśnienia i innych dolegliwości, to jednak jego 87-letni organizm jest tragicznymi przeżyciami obozów koncentracyjnych, różnymi chorobami oraz ciężką długoletnią pracą tak zniszczony i wycieńczony, że pewnego dnia bez żadnych dolegliwości spokojnie na zawsze zaśnie. I rzeczywiście tak się stało, gdyż niedomagający ks. Zygmunt Kuzak poczuł się słabiej i w obecności przebywającego w jego pokoju piszącego oraz innych współbraci zaczął z nami tracić kontakt, jakby chciał na chwilę zasnąć. W tej sytuacji lekarz wezwanego natychmiast pogotowia ratunkowego, które przyjechało bardzo szybko, po zastosowaniu różnych środków reanimacyjnych stwierdził zgon. Nastąpił on w uroczystość św. Józefa, Patrona Dobrej śmierci 19 marca o godzinie pierwszej



w nocy w 87 roku życia, 67 roku profesji zakonnej i 57 roku kapłaństwa.<sup>64</sup>

Pogrzeb gorliwego i zasłużonego dla Zgromadzenia Salezjańskiego ks. Zygmunta Kuzaka, do którego, mimo że dla zbrodniarzy hitlerowskich był przez jakiś czas nic nie znaczącym numerem obozowym 39884, można odnieść słowa psalmisty: „Miarą naszego życia jest lat siedemdziesiąt osiemdziesiąt gdy jesteśmy mocni”, odbył się 22 marca 1988 roku o godz. 10.00 w kościele parafialnym św. Stanisława Kostki na Dębnikach w Krakowie. Uroczystej Mszy świętej koncelebrewanej, w której uczestniczyło przeszło 50 kapłanów, przewodniczył Delegat ks. generała ks. Augustyn Dziędziel. Kazanie mówiące o życiu i działalności Zmarłego wygłosił ks. inspektor Adam Śmigielski – obecny biskup sosnowiecki. W żałobnej liturgii pogrzebowej uczestniczyło również kilkunastu kapłanów diecezjalnych, klerycy Salezjańskiego Seminarium Duchownego w Krakowie, w którym ks. Kuzak długo pracował, siostry albertynki, serafitki, salezjanki i urszulanki oraz przybyłe liczne delegacje z parafii, w których kiedyś Zmarły pełnił obowiązki proboszcza, tj. Przemyśla, Oświęcimia, Wrocławia i miejscowi parafianie, a nawet penitenci i penitentki ks. Zygmunta z sąsiednich parafii.

Do wspólnej mogiły salezjańskiej na cmentarzu Rakowickim w Krakowie w uroczystej procesji od bramy cmentarnej poprowadził zmarłego ks. bp Kazimierz Górny. Nad wspólnym grobowcem, w którym wśród 40 starszych i młodszych salezjanów spoczął ks. Zygmunt Kuzak, przemówił jego przełożony, tj. piszący, który na wyraźne życzenie i prośbę Zmarłego w jego imieniu podziękował ks. biskupowi, kapłanom, klerykom, siostrom zakonnym, służbie zdrowia, delegacjom i wszystkim za bardzo liczny udział

---

<sup>64</sup> ASIK B 2849; Ks. Z. Kuzak, Porzucisz jednego brata., cyt., s. 3; Własne wspomnienia piszącego.

w pogrzebie, prosząc zgromadzonych o dalszą modlitwę w intencji zmarłego gorliwego kapłana, by dobry Bóg jak najprędzej obdarzył go radością i szczęściem życia wiecznego.

Mam nadzieję, że ks. Zygmunt Kuzak, który pojawił się kiedyś nieoczekiwanie, jak przecudna tęcza na bardzo pochmurnym, burzliwym, a równocześnie pogodnym, słonecznym horyzoncie historii Zgromadzenia Salezjańskiego w Polsce i po długiej gorliwej pracy w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej oraz po jej zakończeniu cicho i spokojnie zgasł jak gasnąca tęcza, to jednak przecudnie błyszczące krople tęczowego deszczu jego gorliwego zakonnego życia, bohatersko i ofiarnie zniesionych cierpień i prześladowań obozowych oraz gorliwej pracy duszpasterskiej dla dobra Kościoła, będą ożywiać pracę Zgromadzenia Salezjańskiego w Polsce, na którego glebie urodzajnej i użyźnionej świętością i męczeńską krwią wielu salezjanów będą się rodzić, wzrastać, rozwijać i formować nowe zastępy młodych kapłanów salezjańskich, którzy wpatrzeni w przykład swoich zmarłych bohaterskich poprzedników będą z pomocą Bożą w zmieniających się warunkach życia dalej gorliwie i owocnie pracować dla dobra Kościoła Katolickiego i Zgromadzenia Salezjańskiego.<sup>65</sup>

---

<sup>65</sup> Psalm 90; Śp. Ks. Zygmunt Kuzak, art. cyt., w: Biuletyn Salezjański „Nostra” maj (1988) s. 55; Tamże, ks. Adam Śmigielski kazanie cyt., s. 56 i 58; Wspomnienia piszącego współpracującego w ostatnich latach z śp. Zygmuntem Kuzakiem.

## POSŁOWIE

Mówiąc o tym tragicznym miejscu na ziemi, jakim był obóz koncentracyjny w Auschwitz-Birkenau, należy wspomnieć, że to największe cmentarzysko świata, przygotowane przez hitlerowską cywilizację śmierci dla kilku milionów w okrutny i barbarzyński sposób wymordowanych niewinnych ludzi należących do różnych narodów i wyznań religijnych, odwiedziło dwóch ostatnich papieży, tj. Jan Paweł II oraz Benedykt XVI.

Obaj najwyżsi zwierzchnicy Kościoła Katolickiego nie tylko z głęboką wiarą modlili się na przesiąkniętej potem i łzami ziemi uświęconej męczeńską krwią setek tysięcy niewinnych ofiar, pomordowanych i w krematorium spalonych, ale w swoich przemówieniach wezwali współczesną ludzkość do wierności Bogu i pilnego zachowania jego niezmiennego prawa, które zapewnia życie w zgodzie, braterskiej miłości, jedności i pokoju.

Ojciec Święty Jan Paweł II, nasz drogi Rodak, do przeszło milionowej rozmodlonej rzeszy pielgrzymów zgromadzonych na terenie byłego Obozu Oświęcimskiego w Brzezince 7 czerwca 1979 roku mówił:

„To jest zwycięstwo nasze – wiara nasza” (por. J 5,4).

Te słowa z listu św. Jana przychodzą mi na myśl i cisną się do serca, gdy stoję wraz z Wami na tym miejscu, na którym dokonało się szczególne zwycięstwo człowieka przez wiarę. Przez wiarę, która rodzi miłość Boga i bliźnich: jedną miłość, miłość „największą” – taką, która gotowa jest „życie poświęcić za brata swego” (por. J 15, 13; 10, 11). A więc zwycięstwo przez miłość, która ożywia wiarę aż do granic ostatecznego świadectwa.

To zwycięstwo przez wiarę i miłość odniósł w tym miejscu człowiek, któremu na imię *Maksymilian Maria*, nazwisko: Kolbe, „z zawodu” (jak pisano o nim w rejestrach obozowych): ksiądz katolicki, z powołania: syn św. Franciszka, z urodzenia: syn prostych, pracowitych, bogobojnych ludzi, włókniarzy z okolic Łodzi, z Łaski Bożej i osądu Kościoła: błogosławiony.

To zwycięstwo przez wiarę i miłość odniósł ów człowiek w tym miejscu, które było zbudowane *na zaprzeczeniu wiary* – wiary w Boga i wiary w człowieka – i *na radykalnym podeptaniu* już nie tylko miłości, ale wszelkich oznak człowieczeństwa, ludzkości; w tym miejscu, które było zbudowane na nienawiści i na pogardzie człowieka w imię obłąkanej ideologii; w tym miejscu, które było zbudowane na okrucieństwie. Miejsce, do którego prowadzi wciąż jeszcze brama z szyderczym napisem „Arbeit macht frei”, rzeczywistość bowiem była radykalnym zaprzeczeniem treści tego napisu.

W tym miejscu straszliwej kaźni, która przyniosła śmierć czterem milionom ludzi z różnych narodów, o. Maksymilian Kolbe odniósł duchowe zwycięstwo, *podobne do zwycięstwa samego Chrystusa*, oddając się dobrowolnie na śmierć w bunkrze głodu – za brata. Ten brat żyje do dzisiaj na polskiej ziemi, i jest wśród nas.

Czy tylko On jeden – Maksymilian Kolbe – odniósł zwycięstwo, które odczuli natychmiast współwięźniowie i do dzisiaj odczuwa

je Kościół i świat? Zapewne wiele zostało tu odniesionych podobnych *zwycięstw*, jak choćby – śmierć w krematorium obozowym siostry Benedykty od Krzyża, karmelitanki, w świecie *Edyty Stein*, z zawodu – filozof, znakomita uczennica Husserla, która stała się ozdobą współczesnej niemieckiej filozofii, a pochodziła z żydowskiej rodziny zamieszkałej we Wrocławiu.

Nie chcę zatrzymać się na tych dwóch nazwiskach, gdy stawiam sobie pytanie, czy tylko on jeden, czy tylko ona jedna...? Ile tutaj odniesiono podobnych *zwycięstw*? Odnosili je ludzie różnych wyznań, różnych ideologii, zapewne nie tylko wierzący.

Pragniemy ogarnąć uczuciem najgłębszej czci każde z tych *zwycięstw*, każdy przejaw człowieczeństwa, które było zaprzeczeniem systemu systematycznego zaprzeczania człowieczeństwa.

Na miejscu tak straszliwego podeptania człowieczeństwa, godności ludzkiej – *zwycięstwo człowieka!*

Czyż ktoś na świecie może się jeszcze dziwić, że papież, który tu, na tej ziemi urodził się i wychował, papież, który przyszedł na Stolicę Piotrową z Krakowa, z tej Archidiecezji, na terenie której znajduje się obóz oświęcimski, że ten papież pierwszą encyklikę swego pontyfikatu zaczął od słów „*Redemptor Hominis*” – i że poświęcił ją w całości sprawie człowieka, *godności człowieka, zagrożeniom człowieka* – prawom człowieka wreszcie! *Niezbywalnym prawom*, które tak łatwo mogą być podeptane i unicestwione... przez człowieka! Wystarczy ubrać go w inny mundur, uzbroić w aparat przemocy, w środki zniszczenia, wystarczy narzucić mu ideologię, w której prawa człowieka są podporządkowane wymogom systemu... podporządkowane bezwzględnie, tak że faktycznie nie istnieją.

Przybywam tu dzisiaj jako pielgrzym. Wiadomo, że nieraz tutaj bywałem... bardzo wiele razy! Wiele razy schodziłem do celi śmierci Maksymiliana Kolbe, wiele razy klękałem pod murem za-

głady i przechodziłem wśród rozwalonych krematoriów Brzezinki. *Nie mogłem tutaj nie przybyć* jako papież.

Przybywam więc *do tego szczególnego sanktuarium*, w którym narodził się – mogę powiedzieć – patron naszego trudnego stulecia, podobnie jak dziewięć wieków temu narodził się pod mieczem na Skałce Stanisław, Patron Polaków.

Ale przybywam nie tylko po to, żeby czcić patrona naszego stulecia. Przybywam, ażeby razem z Wami, bez względu na to, jaka jest Wasza wiara, jeszcze raz popatrzeć w oczy sprawie człowieka.

Oczywiście, że przybywam, aby się modlić wspólnie z Wami wszystkimi, którzy tu dziś jesteście – i wspólnie z całą Polską – i wspólnie z całą Europą. Chrystus chce, abym stawszy się następcą Piotra świadczył przed całym światem o tym, co jest *wielkością* człowieka naszych czasów – i co jest jego *nędzą*. Co jest jego *klęską* i co jest jego *zwycięstwem*.

Przychodzę więc i klękam na tej Golgocie naszych czasów, na tych mogiłach w ogromnej mierze bezimiennych, jak gigantyczny grób nieznanego żołnierza. Klękam przy *wszystkich* po kolei *tablicach* Brzezinki, na których napisane jest wspomnienie ofiar Oświęcimia w następujących językach: polskim, angielskim, bułgarskim, cygańskim, czeskim, duńskim, francuskim, greckim, hebrajskim, jidysz, hiszpańskim, flamandzkim, serbo-chorwackim, niemieckim, norweskim, rosyjskim, rumuńskim, węgierskim, włoskim.

Zatrzymam się wraz z Wami, Drodzy Uczestnicy tego spotkania, na chwilę *przy tablicy z napisem w języku hebrajskim*. Napis ten wywołuje wspomnienie Narodu, którego synów i córki przeznaczono na całkowitą eksterminację. Naród ten początek swój bierze od Abrahama, który jest „ojcem wiary naszej” (por. Rz 4, 12), jak się wyraził Paweł z Tarsu. Ten to Naród, który otrzymał od Boga Jahwe przykazanie „Nie zabijaj”, w szczególnej mierze do-

świadczył na sobie zabijania. Wobec tej tablicy nie wolno nikomu przejść obojętnie.

I jeszcze jedna tablica – wybrana... Tablica z napisem w języku rosyjskim. Nie dodaję żadnego komentarza. Wiemy, o jakim Narodzie mówi ta tablica. Wiemy, jaki był udział tego Narodu w ostatniej straszliwej wojnie o wolność ludów. I wobec tej tablicy nie wolno nam przejść obojętnie.

I wreszcie tablica w języku polskim. Polaków zginęło czasu ostatniej wojny sześć milionów: jedna piąta część Narodu. Jeszcze jeden etap wiekowych zmagani się tego Narodu, mojego Narodu, o podstawowe swoje prawa wśród narodów Europy. Jeszcze jeden bolesny *rozrachunek z sumieniem współczesnej ludzkości*. Wybrałem trzy tablice. Należałoby zatrzymać się przy każdej i tak też uczynimy.<sup>66</sup>

Oświęcim jest rozrachunkiem z sumieniem ludzkości poprzez te tablice, które świadczą o ofiarach, jakie poniosły narody. Oświęcim jest miejscem, którego nie można tylko zwiedzać. Trzeba przy odwiedzinach pomyśleć z lękiem o tym, *gdzie leżą granice nienawiści*.

Oświęcim jest *świadectwem wojny*. To wojna niesie z sobą ów nieproporcjonalny przyrost nienawiści, zniszczenia, okrucieństwa. A jeśli nie da się zaprzeczyć, że objawia również inne możliwości ludzkiej odwagi, bohaterstwa, patriotyzmu, to jednak rachunek strat przeważa. Coraz bardziej przeważa – im bardziej wojna staje się rozgrywką wyrachowanej techniki zniszczenia. Za wojnę są odpowiedzialni nie tylko ci, którzy ją bezpośrednio wywołują,

---

<sup>66</sup> Po uroczystości Ojciec Święty udał się pod Pomnik Męczeństwa Narodów, aby w ten sposób oddać hołd i modlić się za wszystkich, którzy tu ponieśli śmierć.

ale również ci, którzy nie czynią wszystkiego co leży w ich mocy, aby jej przeszkodzić.

Niech mi wolno będzie na tym miejscu powtórzyć słowa, które wypowiedział *Paweł VI* wobec *Organizacji Narodów Zjednoczonych*: „Wystarczy przypomnieć, że krew milionów ludzi, że niesłychane i niezliczone cierpienia, że daremne masakry i straszliwe ruiny sankcjonują ten układ, który łączy was taką przysięgą, jaka winna zmienić przyszłą historię świata: nigdy więcej wojny, nigdy więcej wojny! Pokój, tylko pokój winien kierować losami narodów i całej ludzkości” (por. AAS 57 (1965) 881).

Jeśli jednakże to wielkie wołanie Oświęcimia, krzyk umęczonego tu człowieka, ma przynieść owoce dla Europy (a także dla świata), trzeba wyciągnąć wszystkie słuszne konsekwencje z Deklaracji Praw Człowieka, jak do tego wzywał Jan XXIII w encyklice „*Pacem in terris*”. Czytamy tam między innymi: „Deklaracja ta uroczyście przyznaje wszystkim bez wyjątku ludziom godność osoby ludzkiej; potwierdza prawo każdego człowieka do swobodnego poszukiwania prawdy, do zachowania norm moralności, do pełnienia sprawiedliwości, do wymagania warunków życia godnych człowieka: są to prawa powszechne, nienaruszalne i niezbywalne” (por. AAS 55 (1963) 295-296).

A ja wróciłbym jeszcze do mądrości starego mistrza, Pawła Włodkowica, rektora krakowskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego w XV w., który głosił, iż trzeba *zabezpieczyć* następujące *prawa narodów*: do istnienia, do wolności, do niepodległości, do własnej kultury, do godziwego rozwoju. <<Gdzie mocniej działa siła, niż miłość – pisze Włodkowic – tam szuka się tego, co stanowi własny interes, a nie Jezusa Chrystusa, i stąd łatwo odstępuje się od

reguły prawa Bożego. (...) Wszelkie jednak prawo potępia tych, którzy napadają na pragnących żyć w pokoju: tak prawo naturalne, które głosi: <<Czyń drugiemu to, czego sam pragniesz!>>, jak



i prawo Boskie, które potępia wszelką grabież zakazem: <<Nie kradnij!>>, a zabrania przemocy przykazaniem: <<Nie zabijaj!>> (Paweł Włodkowiec, *Saeventibus* (1415), Tract. II, solutio quaest. 4ae. (por. L. Ehrlich, *Pisma wybrane Pawła Włodkowica*, Warszawa 1968, t. 1, str. 61; 58-59)).

Ale nie tylko o prawo tutaj chodzi, ale także i przede wszystkim o miłość: tę miłość bliźniego, w której się wyraża i dochodzi do głosu miłość Boga; ta miłość, którą ogłosił Chrystus w swoim przykazaniu, jakie każdy człowiek ma wypisane w swoim sercu – przykazaniu, które sam Bóg Stwórca w tym sercu wyrzeźbił.

Przykazanie to konkretyzuje się także w poszanowaniu drugiego, poszanowaniu jego osobowości, jego sumienia; konkretyzuje się w dialogu z drugim, umiejętności poszukiwania i uznania tego, co może być dobre i pozytywne także w kimś, kto wyznaje idee różniące się od naszych; a nawet w kimś, kto w dobrej wierze – błądzi...

Nigdy jeden naród nie może rozwijać się kosztem drugiego, nie może rozwijać się za cenę jego uzależnienia, podboju, zniewolenia, za cenę jego eksploatacji, za cenę jego śmierci.

To są myśli Jana XXIII, Pawła VI o pokoju w świecie współczesnym. Słowa te wypowiada zaś ich niegodny Następca. Ale mówi je równocześnie syn Narodu, który doznał w swych dziejach, dalszych i bliższych, wielorakiej udręki od drugich. Pozwólcie jednak, że nie wymienię tych drugich po imieniu – pozwólcie, że nie wymienię... Stoimy na miejscu, na którym o każdym narodzie i o każdym człowieku pragniemy myśleć jako o bracie. A jeżeli w tym, co powiedziałem, była także gorycz – moi drodzy Bracia i Siostry, *nie powiedziałem tego, żeby kogokolwiek oskarżać – powiedziałem po to, żeby przypomnieć.*

Mówię bowiem nie tylko ze względu na tych, którzy polegli w czterech milionach ofiar na tym olbrzymim polu; mówię w imie-

niu wszystkich narodów, których prawa są zapoznawane i gwałcone. Mówię, bo obowiązuje mnie, obowiązuje nas wszystkich – prawda. Mówię, bo obowiązuje mnie, obowiązuje nas wszystkich troska o człowieka.

I dlatego proszę wszystkich, którzy mnie słuchają, ażeby skupili się, ażeby skupili wszystkie siły w trosce o człowieka. Tych zaś, którzy słuchają mnie z wiarą Jezusa Chrystusa, proszę, ażeby skupili się w modlitwie o pokój i pojednanie.

Moi drodzy Bracia i Siostry, nie mam już nic więcej do powiedzenia.

Przychodzą mi tylko na myśl słowa Suplikacji:

Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny!...

Od powietrza, głodu, ognia i wojny

...i wojny, wybaw nas, Panie! Amen.

Po prawie 27 latach od pamiętnej pielgrzymki papieża Jana Pawła II w oświęcimskim obozie koncentracyjnym, papież Benedykt XVI, 28 maja 2006 roku nie tylko w milczeniu i modlitewnej zadumie przeszedł krokiem pielgrzyma po największym cmentarzysku świata, ale w swoim pamiętnym historycznym przemówieniu wygłoszonym w obozie koncentracyjnym w Brzezince powiedział:

„Mówić w tym miejscu kaźni, niezliczonych zbrodni przeciwko Bogu i człowiekowi, nie mających sobie równych w historii, jest rzeczą prawie niemożliwą – a szczególnie trudną i przygnębiającą dla chrześcijanina, dla papieża, który pochodzi z Niemiec. W miejscu takim jak to brakuje słów, a w przerażającej ciszy serce woła do Boga: Panie, dlaczego milczałeś? Dlaczego na to przyzwoliłeś? W tej ciszy chylimy czoło przed niezliczoną rzeszą ludzi, którzy tu cierpieli i zostali zamordowani. Cisza ta jest jednak głośnym wołaniem o przebaczenie i pojednanie, modlitwą do żyjącego Boga, aby na to nie pozwolił nigdy więcej.

Dwadzieścia siedem lat temu, 7 czerwca 1979 roku, był tutaj Jan Paweł II. Powiedział wówczas: „Przybywam tu dzisiaj jako pielgrzym. Wiadomo, że nieraz tutaj bywałem... bardzo wiele razy! Wiele razy schodziłem do celi śmierci Maksymiliana Kolbe, wiele razy klękałem pod murem zagłady i przechodziłem wśród rozwalonych krematoriów Brzezinki. Nie mogłem tutaj nie przybyć jako papież”. Papież Jan Paweł II pielgrzymował tu jako syn narodu, który obok narodu żydowskiego najwięcej wycierpiał w tym miejscu i ogólnie podczas wojny. „Polaków zginęło czasu ostatniej wojny sześć milionów: jedna piąta część narodu” – przypomniał wtedy Papież. Potem skierował do całego świata apel o poszanowanie praw człowieka i narodów, do czego wcześniej wzywali jego poprzednicy, Jan XXIII i Paweł VI, i dodał: „Wypowiada te słowa syn narodu, który doznał w swych dziejach, dalszych i bliższych, wielorakiej udręki (...). Nie powiedziałem tego, żeby kogokolwiek oskarżać – powiedziałem po to, żeby przypomnieć. (...) Mówię w imieniu wszystkich narodów, których prawa są zapoznawane i gwałcone”.

Jan Paweł II był tu jako syn polskiego narodu. Ja przychodzę tutaj jako syn narodu niemieckiego i właśnie dlatego muszę i mogę powtórzyć za moim poprzednikiem: Nie mogłem tutaj nie przybyć. Musiałem tu przyjść. Był to i jest obowiązek wobec prawdy, wobec tych, którzy tu cierpieli, obowiązek wobec Boga: jestem tu jako następca Jana Pawła II i jako syn narodu niemieckiego – syn tego narodu, nad którym grupa zbrodniarzy zdobyła władzę przez zwodnicze obietnice wielkości, przywrócenia honoru i znaczenia narodowi, roztaczając perspektywy dobrobytu, ale też stosując terror i zastraszenie, by posłużyć się narodem jako narzędziem swojej żądzy zniszczenia i panowania. Tak, nie mogłem tu nie przybyć. 7 czerwca 1979 roku przybyłem tu jako arcybiskup Monachium-Fryzycji wśród wielu biskupów, którzy towarzyszyli

Janowi Pawłowi II, słuchali go i modlili się z nim. W 1980 roku powróciłem tu jeszcze raz, na to miejsce zbrodni z delegacją biskupów niemieckich, poruszony ogromem zła i wdzięczny za to, że nad tymi ciemnościami zabłyśła gwiazda pojednania. Dlatego też jestem tu dziś: aby prosić o łaskę pojednania – aby prosić przede wszystkim Boga, bo tylko On może otworzyć i oczyścić nasze ludzkie serca; ale również prosić o przebaczenie ludzi, którzy tu cierpieli. Modłę się o dar pojednania wszystkich, którzy w tej godzinie naszych dziejów wciąż cierpią pod panowaniem nienawiści i przemocy zrodzonej przez nienawiść.

Ileż pytań nasuwa się w tym miejscu! Ciągle powraca jedno: Gdzie był Bóg w tamtych dniach? Dlaczego milczał? Jak mógł pozwolić na tak wielkie zniszczenie, na ten tryumf zła? Przychodzą na myśl słowa Psalmu 44, zawierające skargę cierpiącego Izraela: „(...) starłeś nas na proch w miejscu szakali i okryłeś nas mrokiem. Lecz to z Twego powodu ciągle nas mordują, mają nas za owce na rzeź przeznaczone. Ocknij się! Dlaczego śpisz, Panie? Przebudź się! Nie odrzucaj na zawsze! Dlaczego ukrywasz Twoje oblicze, zapominasz o nędzy i ucisku naszym? Albowiem dusza nasza pogrążyła się w prochu, a ciało przywarło do ziemi. Powstań, przyjdź nam na pomoc i wyzwól nas przez swą łaskawość!” (Ps 44, 20.23-27). Ten krzyk trwogi cierpiącego Izraela, który wzywa Boga w godzinie ogromnej udręki, jest równocześnie wołaniem o pomoc wszystkich ludzi, którzy w historii – wczoraj, dziś i jutro – płacą cierpieniem za umiłowanie Boga, prawdy i dobra; a jest ich bardzo wielu, również dziś.

Nie potrafimy przeniknąć tajemnicy Boga – widzimy tylko jej fragmenty i błędzimy, gdy chcemy stać się sędziami Boga i historii. Nie obronimy w ten sposób człowieka, przeciwnie, przyczynimy się do jego zniszczenia. Nie – ostatecznie powinniśmy wytrwale, pokornie, ale i natarczywie wołać do Boga: Przebudź się!

Nie zapominaj o człowieku, którego stworzyłeś! To nasze wołanie do Boga, winno jednocześnie przenikać i przemieniać nasze własne serca, aby obudzić ukrytą w nas obecność Boga – by Jego moc, którą złożył w naszych sercach, nie została stłumiona i zagrzebana w nas przez muł egoizmu, strachu przed ludźmi, obojętności i oportunistów. Zanosimy to wołanie do Boga, skierujemy je również do naszych serc właśnie teraz, gdy pojawiają się nowe zagrożenia, gdy w ludzkich sercach zdają się panować na nowo moce ciemności: z jednej strony nadużywanie imienia Bożego dla usprawiedliwienia ślepej przemocy wobec niewinnych osób; z drugiej cynizm, który nie uznaje Boga i szydzi z wiary w Niego. Wołajmy do Boga, aby pomógł ludziom opamiętać się i zrozumieć, że przemoc nie buduje pokoju, ale rodzi tylko dalszą przemoc – potęguje się zniszczenie, które sprawia, że w ostatecznym rozrachunku przegrywają wszyscy. Bóg, w którego wierzymy, jest Bogiem rozumu – takiego jednak rozumu, który na pewno nie jest tylko naturalną matematyką wszechświata, ale który stanowi jedność z miłością i dobrem. Prosimy Boga i wołamy do ludzi, aby ten rozum – rozum miłości i afirmacji mocy pojednania i pokoju – przeważał nad grożącym nam irracjonalizmem czy fałszywym rozumem, oderwanym od Boga.

Stoimy dziś w miejscu pamięci. Czas miniony nie jest tylko przeszłością. W jakiś sposób dotyczy to nas wszystkich i wskazuje drogi, którymi nie należy iść, jak też drogi, którymi pójść można. Tak jak Jan Paweł II przeszedłem przed rzędem tablic, które w różnych językach upamiętniają zamordowanych: są tu płyty z napisami w języku białoruskim, czeskim, niemieckim, francuskim, greckim, hebrajskim, chorwackim, włoskim, jidysz, węgierskim, niderlandzkim, norweskim, polskim, rosyjskim, romskim, rumuńskim, słowackim, serbskim, ukraińskim, judeo-hiszpańskim, angielskim. Wszystkie te pamiątkowe tablice mówią o ludzkim

cierpieniu, wskazują na cynizm władzy, która traktowała ludzi jak przedmioty, nie jako osoby, nie dostrzegając w nich Bożego obrazu. Niektóre z tablic należy wspomnieć w sposób szczególny. Jedną nich jest tablica z napisem w języku hebrajskim. Władze Trzeciej Rzeszy chciały całkowicie zniżyć naród żydowski; wyeliminować go z grona narodów ziemi. Słowa Psalmu: „Przez wzgląd na Ciebie ciągle nas mordują, mają nas za owce na rzeź przeznaczone” w okrutny sposób się spełniają. W istocie, bezwzględni zbrodniarze, unicestwiający ten naród, zamierzali zabić Boga, który powołał Abrahama, a przemawiając na Górze Synaj, ustanowił zasadnicze kryteria postępowania ludzkości, obowiązujące na wieki. Skoro ten naród, przez sam fakt swojego istnienia, stanowi świadectwo Boga, który przemówił do człowieka i wziął go pod swoją opiekę, to trzeba było, aby Bóg umarł, a cała władza spoczęła w rękach ludzi – w rękach tych, którzy uważali się za mocnych i chcieli zawładnąć światem. Wyniszczając Izrael, chcieli w rzeczywistości wyrwać korzenie wiary chrześcijańskiej i zastąpić ją stworzoną przez siebie wiarą w panowanie człowieka – człowieka mocnego. Jest tu także tablica z napisem w języku polskim. W pierwszej fazie starano się wyeliminować przede wszystkim elity intelektualne, by w ten sposób zlikwidować naród jako samodzielny podmiot historyczny, aby sprowadzić go, o ile wciąż będzie istniał, do poziomu niewolników. Do szczególnej refleksji pobudza tablica w języku Sinti i Romów. Również ten lud, wędrujący pośród innych narodów, został skazany na zagładę. W ideologii, w której liczył się tylko zysk wymierny, a wszystko inne, według niej, uważane było za życie bezwartościowe, niewarte istnienia, naród ten uważany był za niepotrzebny element historii powszechnej. Jest też tablica w języku rosyjskim, upamiętniająca ogromną liczbę żołnierzy rosyjskich, którzy polegli w walce z reżimem narodowosocjalistycznym. Rodzi się tu równocześnie refleksja nad tragizmem

ich misji: wyzwalając narody spod jednej dyktatury, musieli służyć nowej dyktaturze – dyktaturze Stalina i ideologii komunistycznej, która narzucała tym narodom swoją władzę. Wszystkie inne tablice w różnych językach europejskich mówią o cierpieniu ludzkim na całym kontynencie; poruszyłyby się nasze serca jeszcze bardziej, gdybyśmy przywołali na pamięć ofiary nie zbiorowo, ale mogli zobaczyć twarze poszczególnych osób, które zginęły w mrokach terroru. Odczuwałem wewnętrzną potrzebę, by zatrzymać się zwłaszcza przed tablicą z napisem w języku niemieckim. Tu staje nam przed oczami oblicze Edyty Stein, siostry Teresy Benedykty od Krzyża, Żydówki i Niemki, która wraz z siostrą zginęła w ciemnościach osnuwających obóz koncentracyjny. Jako chrześcijanka i Żydówka zgodziła się umrzeć razem ze swym narodem i za niego. Niemcy, którzy wówczas byli zesłani do Auschwitz-Birkenau i tu zostali zamordowani, uważani byli za *Abschaum der Nation* – wyrzutek społeczeństwa. Dziś wspominamy ich z wdzięcznością jako świadków prawdy i dobra, które przetrwało również w naszym narodzie. Jesteśmy im wdzięczni za to, że nie podporządkowali się władzy zła i dziś są niczym światło w ciemnościach nocy. Z głębokim szacunkiem i wdzięcznością chylimy czoło przed wszystkimi, którzy podobnie jak trzej młodzieńcy, zagrożeni śmiercią w rozpalonym piecu, odpowiedzieli: „Tylko Bóg nasz może nas wybawić, ale nawet gdyby nas nie wybawił, wiedz, królu, że nie będziemy czcić twego boga, ani oddawać pokłonu złotemu posągowi, który wzniosłeś” (por. Dn 3, 17n.).

Tak, te tablice upamiętniają losy nieprzeliczonych rzesz ludzi. Ci ludzie wstrząsają naszą pamięcią, wstrząsają naszym sercem. Nie chcą wywoływać w nas nienawiści, ale raczej pokazują, jak straszne jest dzieło nienawiści. Chcą, aby rozum uznał zło za zło i je odrzucił; chcą budzić w nas odwagę dobra i opór wobec zła. Chcą wzbudzić w nas uczucia, które wyrażają słowa włożone przez

Sofoklesa w usta Antygony: „Nie jestem tu, aby razem nienawidzić, lecz by razem miłować”.

Bogu niech będą dzięki, że oczyszczanie pamięci, do którego wzywa nas to miejsce, rodzi tu także wiele inicjatyw, które mają na celu przeciwstawienie się złu i przyczynianie się do budowania dobra. Przed chwilą miałem okazję pobłogosławić Centrum Dialogu i Modlitwy. W niedalekim sąsiedztwie prowadzą życie ukryte siostry karmelitanki, które czują się w sposób szczególnie zjednoczone z tajemnicą Krzyża i przypominają nam wiarę chrześcijan, która głosi, że sam Bóg zstąpił do piekła ludzkiego cierpienia i cierpi razem z nami. W Oświęcimiu istnieje franciszkańskie Centrum św. Maksymiliana i Międzynarodowe Centrum Nauczania o Auschwitz i Holokauście. Znajduje się tu też Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży. Przy jednym z dawnych Domów Modlitwy mieści się Centrum Żydowskie. Tworzy się aktualnie Oświęcimska Akademia Praw Człowieka. Możemy więc mieć nadzieję, że z miejsca kaźni będzie wyrastać i dojrzewać konstruktywna refleksja, i że pamięć przeszłości pomoże przeciwstawiać się złu i sprawi, że zatryumfuje miłość.

W obozie Auschwitz-Birkenau ludzkość przeszła przez „ciemną dolinę”. Dlatego na zakończenie pragnę właśnie w tym miejscu modlić się z ufnością słowami Psalmu, modlitwy Izraela, która jest jednocześnie modlitwą chrześcijan: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć: orzeźwia moją duszę. Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię. Chociażbym przechodził przez ciemną dolinę zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i twoja laska są tym, co mnie pociesza... Zamieszkać w domu Pańskim po najdłuższe czasy” (Ps 23, 1-4.6)”.



Podczas przemówienia Ojca Świętego oraz modlitwy przedstawicieli różnych wyznań religijnych o pojednanie i pokój zakończonych modlitwą papieża –

Boże pokoju, Ty sam jesteś pokojem,  
Którego nie może pojąć człowiek kłótlivy, gotowy do zwady,  
Spraw, aby żyjący w zgodzie trwali w pokoju,  
A skłócenie weszli na drogę pojednania.

Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen –

szalejąca nad obozem ulewna burza z błyskawicami i grzmotami powoli się uciszała i o godz. 17.25 Ojcu Świętemu i wszystkim zgromadzonym na terenie obozu ukazała się kolorowa tęcza. To naturalne przecudne zjawisko – tęcza, która w Piśmie Świętym Starego Testamentu jest symbolem miłosierdzia Bożego – ukazała się przed wiekami Noemu i jego rodzinie, gdy po szczęśliwym przeżyciu tragicznego potopu Noe i jego rodzina wyszli z arki i w dowód wdzięczności i miłości swemu Stwórcy i Panu Noe zbudował ołtarz, na którym złożył Bogu dziękczynną ofiarę.

Po tym fakcie Bóg nie tylko pobłogosławił Noego i jego rodzinę, której polecił rozmnażać się i napełniać ziemię i czynić ją sobie poddaną, ale zawarł z ludźmi przymierze, zapewniając ich przez wszystkich widocznym znakiem – łukiem kolorowej tęczy, że gdy będą wierni jak Noe Bogu, to już nigdy żadna istota żywa nie zostanie zniszczona wodami potopu, ani nie będzie nigdy potopu niszczącego ziemię.

Przecudna tęcza – symbol miłosierdzia Bożego – która ukazała się Ojcu Świętemu Benedyktowi XVI oraz tysiącom rozmodlonych osób zgromadzonych na terenie byłego obozu oświęcimskiego w Brzezince – które jak Noe po szczęśliwym przeżyciu razem z Ojcem Świętym tragicznego potopu zła i zbrodni popełnionych podczas drugiej wojny światowej, uznały Boga za swego Stwórcę i Pana – oby była dla współczesnej ludzkości zapewnieniem Boga

bogatego w miłosierdzie, że gdy uzna Boga za swego Stwórcę i Pana i będzie zło dobrem zwyciężać oraz będzie dokładnie zachowywać wszystkie niezmiennie przykazania Boże, to na pewno wszyscy ludzie na ziemi będą żyć w dobrobycie, szczęściu, miłości braterskiej, jedności i pokoju, który jest największym skarbem i dobrem całej ludzkości.

## BIBLIOGRAFIA

### ŹRÓDŁA DRUKOWANE

- Codex Iuris Canonici Auctoritate Ioannis Pauli PP. II Promulgatus,  
Libreria Editrice Vaticana 1983.
- Elenchus Venerabilis Cleri Dioeceseos Cracoviensis pro anno  
1920
- Elenco generale della Società di San Francesco di Sales Antico  
Continente 1921, 1922.
- Elenco Generale della Società di San Francesco di Sales 1930,  
1931.
- Elenco Generale della Società di San Francesco di Sales 1951.
- Elenko Towarzystwa św. Franciszka Salezego w Polsce 1958/59.
- Elenko Towarzystwa św. Franciszka Salezego Prowincji św. Jacka  
1961/62.
- Elenko Towarzystwa św. Franciszka Salezego inspektorii Polskie  
2000/2001.
- Elenko Towarzystwo Salezjańskie i Córki Maryi Wspomożycielki  
2005/2006.

Informator Diecezji Radomskiej 2004/5, Radom 2004, s. 76 i 77.  
Konstytucje Towarzystwa św. Franciszka Salezego zatwierdzone  
przez Stolicę Apostolską 25.11.1984, Rzym 1986.  
Salesiani di don Bosco, Annuario 2005 volume primo, Roma  
2004.

### **ŹRÓDŁA NIEDRUKOWANE**

#### **ARCHIWUM NOWICJATU W CZERWIŃSKU:**

Kronika nowicjatu Salezjańskiego w Kleczy Dolnej od 24.08.1919  
roku.

#### **ARCHIWUM SALEZJAŃSKIEJ INSPEKTORII KRAKOWSKIEJ – ASIK:**

Kartoteka osobista ks. Zygmunta Kuzaka 1901-1988 r, mps.

Te. A 41 Klecza Dolna, Kontrakt dzierżawy z 1 X 1918 roku, mps.

Kronika Salezjańskiego Nowicjatu w Pleszowie 1916-1917.

Kronika salezjańskiego Instytutu teologicznego 1929-1939.

Te. B 2849 Kuzak Z., Przysucha 1901-1916, mps.

Te. B 2849 Kuzak Z., Oświęcim 1916-1919, mps.

Te. B 2849 Kuzak Z., 11 listopad 1918 – Vivat Polonia!, mps.

Te. B 2849 Kuzak Z., Klecza Dolna k. Wadowic 1919-1920, mps.

Te. 2025/37 Kuzak Z., Dokumenty, Curriculum vitae 15 II 1923,  
mps.

Te. B 2849 Kuzak Z., Kraków Tyniecka 39 „Łosiówka” 1920-1923,  
mps.

Te. B 2849 Kuzak Z., Oświęcim – Kraków 1923-1926, mps.

Te. B 2849 Kuzak Z., Włochy – Crocetta 1926-1930, mps.

Te. B 2849 Kuzak Z., Poznań Wroniecka 9, 1930-1934, mps.

Te. B 2849 Kuzak Z., Kraków – Tyniecka 39, 1933-1939, mps.

Te. B 2849 Kuzak Z., Oświęcim VII 1939 –30 VIII 1941, mps.

- Te. B 2849Kuzak Z., Przez zieloną granicę – wspomnienia współbraci.
- Te. B 2849Kuzak Z., Kraków Studentat Teologiczny i „jego filie” w latach 1939-1945 – Oświęcim, Lublin, Przemyśl, mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., „Jak Dante za życia przeszedłem przez piekło” – 1941-1945, Kraków 1948, mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., Pomoc więźniom obozów koncentracyjnych 1939-1945, mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., Przesłuchanie na gestapo – Sie! Herr Direktor! Herr Kuzak, mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., Uciezki, mps.
- Te. B 2226Kuzak Z., „Byli wśród nich ludzie” „Ze świecą w biały dzień szukaj porządnego Niemca”, mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., Porzucisz jednego brata a znajdziesz ich tysiąc, mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., Dzięki Wam jestem z Wami, mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., Ten ksiądz uratował mi życie, mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., A jednak przeżyłeś, mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., „Ty nie jesteś księdzem”, mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., Sanatoria 1945-1948 (w Niemczech), mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., Konfederacka 6, 1970-1984, mps.
- Te. B 2849Kuzak Z., 50-lecie kapłaństwa (ks. Z. Kuzaka obchodzonego w 1980 roku) – różne pisma i gratulacje.
- Te. A 42Sprawozdania kasowe domu w Kleczy Dolnej 1919-1925. Strauch J., Curriculum vitae, mps.
- Archiwum Zakładu Salezjańskiego w Oświęcimiu ul. Jagiełły 10: Kronika Zakładu Oświęcimskiego 1939.

## **OPRACOWANIA**

- Benedykt XVI., Trwajcie mocni w wierze, w: Benedykt XVI w Polsce, s. 75, Kraków 2006.
- Buhler P., Polska droga do wolności 1939-1995, Warszawa 1999.
- Dachau, w: Encyklopedia Powszechna PWN wyd. 3 Państwowe Wydawnictwo Naukowe, t. 1, s. 564, Warszawa 1984.
- Jan Paweł II, „To jest zwycięstwo nasze – wiara nasza, w: Jan Paweł II na ziemi polskiej, s. 204, Libreria Editrice Vaticana 1979.
- J. Piłsudski 1867-1935, Małopolska Oficyna Wydawnicza Kraków 1935.
- Kluz W., Czterdzieści siedem lat życia, Wydawnictwo oo. Franciszkanów wyd. II Niepokalanów 1989.
- Kozłowiecki A., Ucisk i strapienie – Pamiętnik więźnia 1939-1945, WAM Kraków 1967.
- Krawiec J., Zarys historyczny Salezjańskiego Instytutu Teologicznego w Krakowie, w: „Nostra” 2 (1962).
- Krawiec J., Cierpieć i być wzgardzonym, Kraków 1999.
- Krawiec J., Błogosławieni świadkowie Chrystusa, Kraków 2000.
- Krawiec J., Powstanie Towarzystwa św. Franciszka Salezego oraz jego organizacja i działalność na ziemiach polskich, Kraków 2004.
- Krawiec J., Działalność Salezjanów w Daszawie, w: „Wiadomości Inspektorialne” listopad 2004, s. 35-36.
- Krawiec J., Działalność religijno-patriotyczna salezjanów w Oświęcimiu, Kraków 2006.
- Krawiec J., Działalność duszpastersko-wychowawcza salezjanów w Pogrzebieniu w latach 1930-2005, w: Dzieje salezjanów na ziemi raciborskiej, Pogrzebień 2006.
- Kuzak Z., 75-lecie Zgromadzenia Salezjańskiego w Polsce 1974 mps., w: ASIK Teka 2227.

- Kuzak Z., Wspomożycielka św. Jana Bosko, Wydawnictwo salezjańskie, Warszawa 1937.
- Kuzak Z., Jak Dante za życia przeszedł przez piekło, w: Jacewicz W., Jan Woś, Martyrologium polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską 1939-1945 zeszyt III w serii Kościół Katolicki na ziemiach Polski w czasie drugiej wojny światowej, t. V, s. 406-446, Akademia Teologii Katolickiej, Warszawa 1978.
- Kuzak Zygmunt, w: 75 lat działalności salezjanów w Polsce – Księga pamiątkowa – Łódź-Kraków 1974, s. 309.
- Mauthausen, w: Encyklopedia Powszechna PWN wyd. 3, s. 42, Warszawa 1985.
- Nowak B., Dom seminarium salezjanów na Dębnikach w latach 1918-1939, praca magisterska, Kraków 1994, mps.
- Nowe placówki salezjańskie w Polsce, w: „Pokłosie Sal.”, nr 9 (1926), s. 110-112.
- Nowicjat w Kleczy Dolnej, w: Dwudziestopięciolecie działalności salezjanów w Polsce 1898-1923, s. 59, Mikołów 1923.
- Podbóg-Malinowski W., Najnowsza historia polityczna Polski okres 1864-1914, Gdańsk 1991.
- Przysucha, w: Nowa Encyklopedia Powszechna PWN Warszawa 1997, t. V, s. 385.
- Przysucha, J. Kwiatek it. Lijewski, w: Leksykon miast polskich, s. 689, Warszawa 1998.
- Przysuskie Lasy, w: Encyklopedia II wojny światowej, s. 525, Warszawa 1975.
- Puchała J., Fundacja księcia Aleksandra Lubomirskiego w 100-lecie Gmachu Akademii Ekonomicznej w Krakowie, Kraków 1993.

- Różanystok, w: Dwudziestopięćciolecie działalności salezjanów w Polsce 1898-1923, s. 67, Mikołów 1923.
- Ryłko J., Wyższe Seminarium Duchowne Towarzystwa Salezjańskiego w Krakowie „Łosiówce” w perspektywie stulecia obecności salezjanów w Polsce, w: „Seminare” nr 14 (1998), s. 64.
- Studentat Filozoficzny w Krakowie, w: Dwudziestopięćciolecie działalności salezjanów w Polsce 1898-1923, Mikołów 1923, s. 55.
- Stella P., Don Bosco nella storia della religiosità cattolica, volume III, Las-Roma 1988.
- Śmigielski A., Kazanie z okazji pogrzebu ks. Z. Kuzaka wygłoszone 22.03.1988, w: Biuletyn Salezjański, „Nostra” maj (1988).
- Ślósarczyk J., Historia Prowincji św. Jacka Towarzystwa Salezjańskiego w Polsce, t. III, Pogrzebień 1966, mps.  
t. IV, Pogrzebień 1966, mps.  
t. V, Pogrzebień 1968, mps.
- Świda A., Ks. Stanisław Rokita, w: Inspektorzy polskich prowincji salezjańskich cz.3, Warszawa 1990.
- Wilk S., Materiały do bibliografii publikacji salezjanów polskich za lata 1897-1974 w: 75 lat działalności salezjanów w Polsce – Ks. Zygmunt Kuzak, s. 309-310, Łódź-Kraków 1974.
- Wróbel W., Troska biskupa Adama Sapiehy o wysiedlonych uchodźców w latach 1914-916, Kraków 1999.
- Zakład salezjański w Daszawie, w: Dwudziestopięćciolecie dział. Salezjanów w Polsce 1898-1923, Mikołów 1923, s.23.
- Żurek W., Salezjańskie szkolnictwo ponadpodstawowe w Polsce 1900-1963, Lublin 1996.
- Żurek W., Dzieje fundacji księcia Lubomirskiego w Krakowie 1893-1950, praca magisterska 1981, mps.





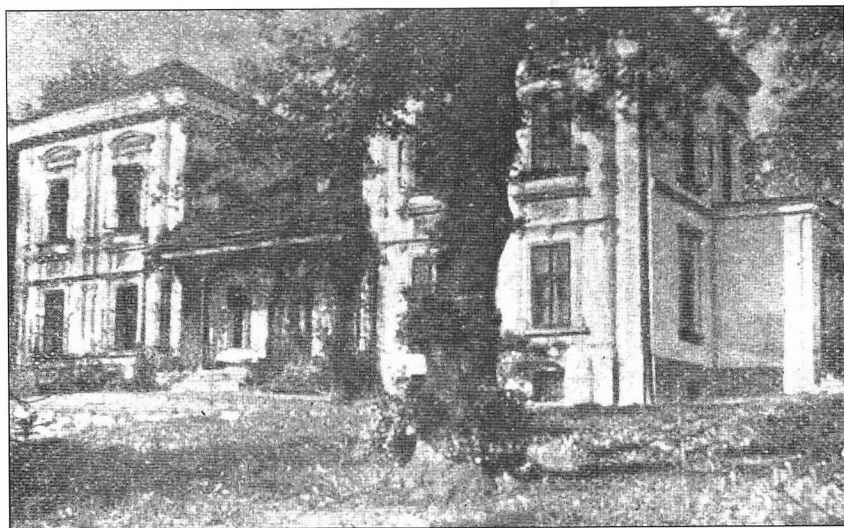
1. Rodzice ks. Zygmunta Kuzaka Maria Brandys i Piotr Kuzak



2. Kościół parafialny w Przysusze wybudowany 1786 roku



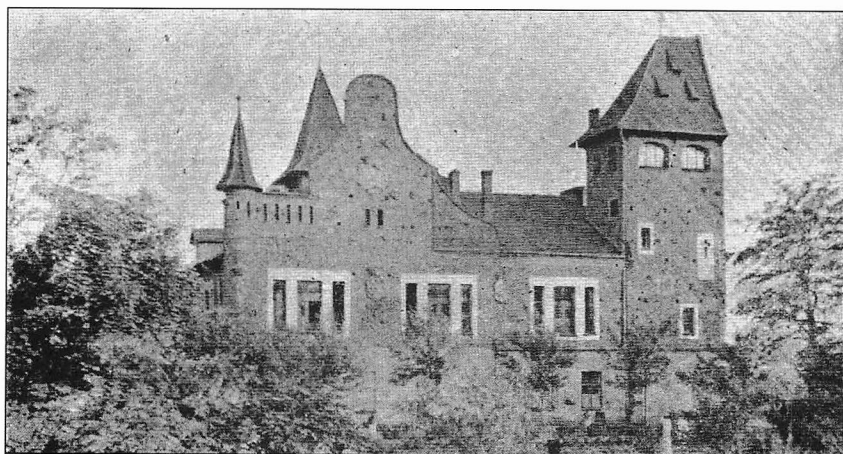
3. Zakład Salezjański im. Ks. Bosko w Oświęcimiu w 1912 roku



4. Dom Salezjańskiego Nowicjatu w Kleczy Dolnej w 1919 roku



5. Przełożeni i nowicjusze pierwszego nowicjatu salezjańskiego  
w Kleczy Dolnej k. Wadowic 1919/1920 rok



6. Dom Salezjańskiego Instytutu Filozoficznego  
w Krakowie, "Łosiówka" 1923 rok



7. Klerycy Salezjańskiego Instytutu Filozoficznego w Krakowie  
w armii gen. Hallera w 1920 roku



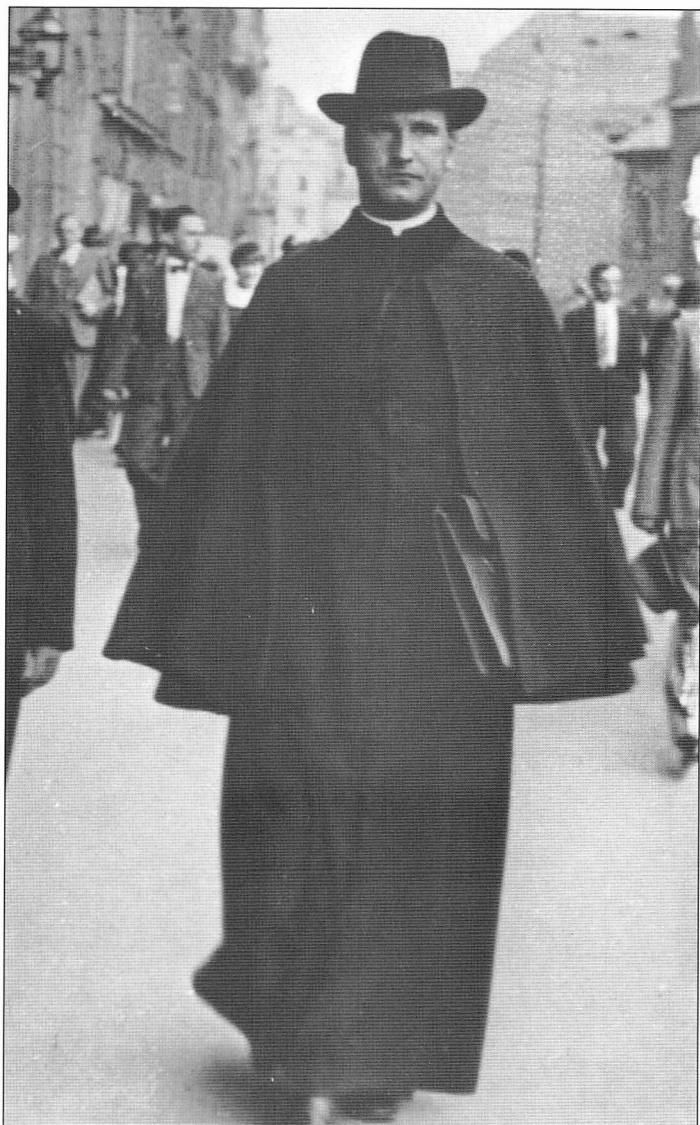
8. Międzynarodowy Salezjański Instytut Teologiczny w Turynie  
przy ul.Caboto 27



9. Polscy neoprezbiterzy wyświęceni na kapłanów  
6.07.1930 roku w Turynie



10. Ks. Zygmunt Kuzak w 1933 roku

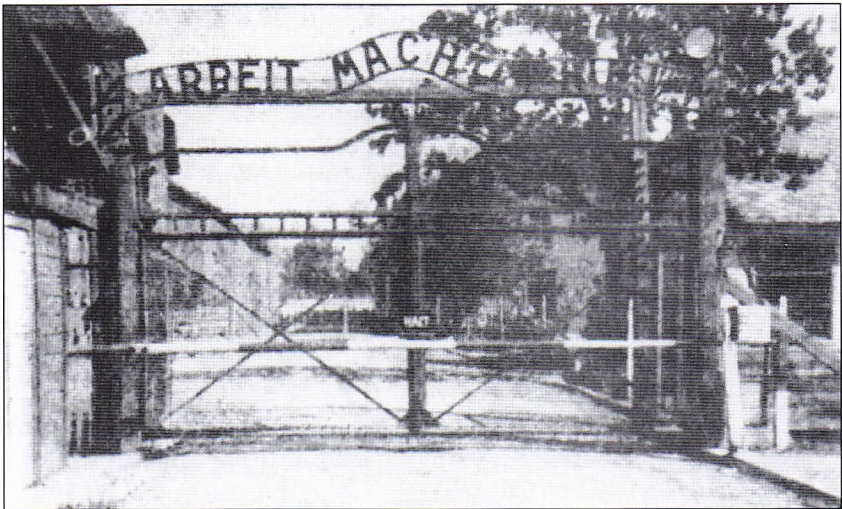


11. Ks. Zygmunt Kuzak – w drodze na uniwersytet w Poznaniu





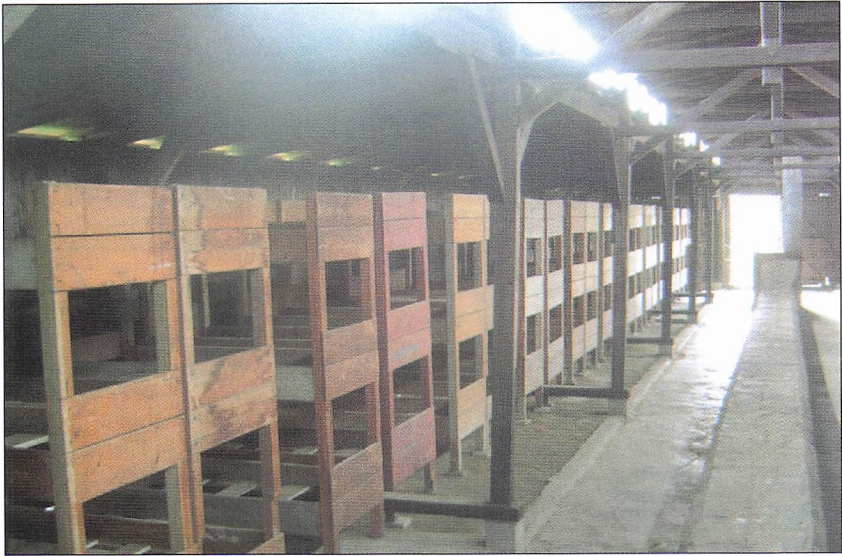
12. Numer obozowy ks. Zygmunta Kuzaka – 39884



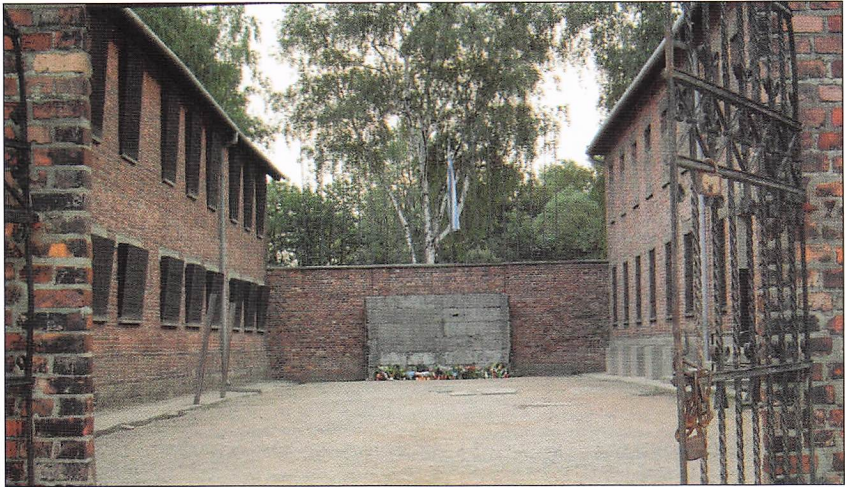
13. Oświęcim. Brama wejściowa do KL Auschwitz  
(zdjęcie wykonane po wyzwoleniu)



14. Brama wejściowa do obozu Oświęcim – Brzezinka



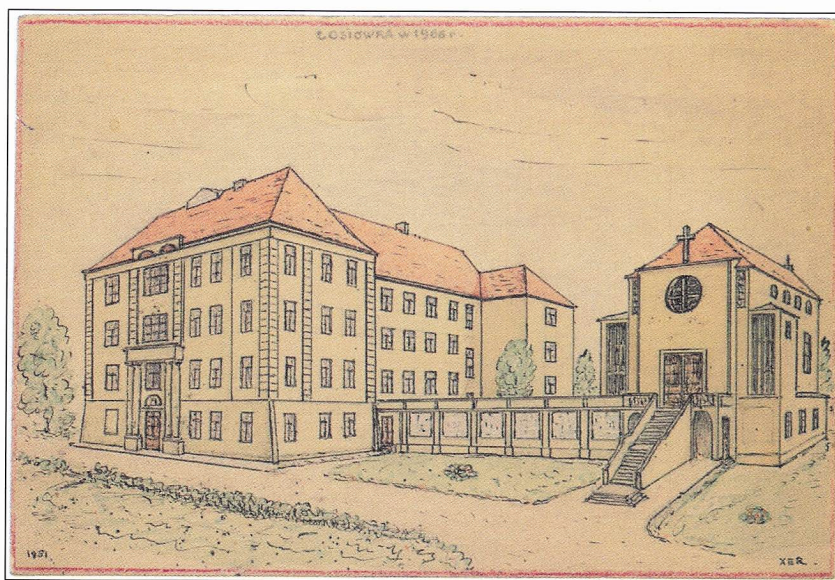
15. Wnętrze baraku obozowego w Birkenau



16. Oswiecim. Dziedziniec bloku nr 11 i „ściana śmierci”



17. Widok baraków obozowych w Birkenau



18. Łosiówka 1966 roku



19. Ksiądz Zygmunt Kuzak przed kościołem parafialnym św. Stanisława  
Kostki w Krakowie na Dębnikach w 1979 roku



20. Ks. Zygmunt Kuzak – Msza święta jubileuszowa odprawiana z okazji 50 lat kapłaństwa w kościele św. Stanisława Kostki w Krakowie na Dębnikach



21. Zdjęcia Papieża Benedykta XVI w obozie w Oświęcimiu (fot. R. Bieliń)



23. Tęcza w czasie wizyty Papieża Benedykta XVI w obozie w Oświęcimiu – Brzezince (fot. R. Bielen)



22. Zdjęcia papieża Jana Pawła II W Obozie w Oświęcimiu (fot. W. Żurek)



